

K A R O L F I T R Z Y K

KA MIE NIARZ

MH
MROczne HISTORIE

K A R O L F I T R Z Y K

KA
MIE
NIARZ

MH
MROczne HISTORIE

Copyright © by Karol Fitrzyk, 2023
Copyright © WYDAWNICTWO WASPOS, 2023
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone, zabrania się kopiowania oraz udostępniania publicznie bez zgody Autora oraz Wydawnictwa pod groźbą odpowiedzialności karnej.

Redakcja: Kinga Szelest

Korekta: Aneta Krajewska

Projekt okładki: Magdalena Czmochowska

Zdjęcie na okładce: © by Adobe Firefly

Wektor przy nagłówkach: © by pngtree.com

Skład i łamanie oraz wersja elektroniczna: Adam Buzek/skladpublikacji@o2.pl

Wydanie I – elektroniczne

ISBN 978-83-8290-385-0

Wydawnictwo WasPos

Wydawca: Agnieszka Przyłucka

Warszawa

kontakt@waspos.pl

www.waspos.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

I

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

II

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

III

Wtedy

Teraz

Wtedy

IV

Teraz

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

V

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

VI

Teraz

Wtedy

Teraz

Później

Epilog

I



Teraz

Płyta w odtwarzaczu trzeci raz rozpoczęła intro. Hipnotyzujący głos Franka Oceana z każdym kolejnym utworem drażnił coraz bardziej. Być może to efekt odstawienia rzucił balast irytacji na Bogu ducha winnego wokalistę. Głód nikotynowy stawał się nie do zniesienia. To już prawie trzy godziny od ostatniego papierosa. Przy zachowaniu obecnej prędkości za godzinę zapalę. Początek grudnia tego roku był wyjątkowo hojny w opady śniegu. Droga wojewódzka numer siedemset sześćdziesiąt osiem tradycyjnie nie nadawała się na nic więcej niż ślizgawkę dla dzieciaków. Smagający wiatr targał drzewami, jakby były jedynie kępką trawy na tatrzańskich halach. Padający od kilku godzin śnieg skutecznie zakrył czarną nawierzchnię asfaltu. Gdyby nie to, że znałem trasę jak własną kieszeń, z pewnością wylądowałbym na jednym z przydrożnych drzew. A pomyśleć, że mogłem wyruszyć z samego rana kosztem zaliczonego piątkowego melanżu ze znajomymi. Trudno jednak cieszyć się życiem, gdy przeszłość depta po piętach.

Kamieniec – miejsce, gdzie stawiałem swoje pierwsze kroki. Miejsce, gdzie pochowałem część swojego życia wraz z trupami w szafie. Kamieniec bywał moją kochanką, spełniał zachcianki i karmił poczucie wyjątkowości. Miałem tutaj swój prywatny folwark próżności. Jako dziecko dyrektora szkoły i lekarki byłem kimś w rodzaju lokalnego celebryty. Panie ze sklepu przymykały oko na brak drobnych, ksiądz nigdy nie czepiał się podczas spowiedzi, a koledzy obdarowywali mnie przesadnym szacunkiem. Wszyscy patrzyli na mnie jak na przedstawiciela najwyższej kasty. Wszyscy poza nią. Emilia była wyjątkowa, nawet gdy słowo „wyjątkowość” nie istniało w świadomości dziecka.

Ta historia nie wydarzyłaby się bez niej. Obecność Emilii to coś więcej niż zwykła fascynacja. To już religia, dyktowana wyrzutami sumienia i poczuciem straty. Stałem się kapłanem i wyznawcą w jednej osobie. Lecz to mój wytworzony Bóg opuścił mnie, gdy go wezwałem.

– Noż kurwa!

Kierownica nagle szarpnęła, samochód odbił w lewą stronę i stanął w poprzek drogi. Silnik zgasł, dławiąc się z braku mocy. Pustkę na drodze zakłócała muzyka płynąca z głośników. Czas zatrzymał się w miejscu, a może to ja wróciłem do tego dnia. Wszystkie te lasy były takie podobne do siebie. Jakby kroczyły za nami. Nawet wrony

sprawiwały wrażenie, jakby podążały za nami, by wyjawić nasze grzeszki. Ja jednak akurat miałem co wyjawić.

Odpaliłem silnik, kierownica z trudem dała się obrócić w przeciwną stronę. Zanim sprawdziłem, co jest grane, musiałem zjechać na pobocze, by nie stać się żywą tarczą na oblodzonej nawierzchni. Wsiadając z samochodu, czułem, jakby wiatr wymierzał mi cios za ciosem. Surowe powietrze szybko mnie otrzeźwiło. W porównaniu z krakowskim smogiem jawiło się niczym narkotyczny opar. Zbyt czyste powietrze zabrudziłem nikotynowym posmakiem. Ulga była na tyle przyjemna, że przesywający chłód szybko minął. Kiedyś czytałem, że podczas palenia papierosów zwężają się żyły, przez co odczuwalne zimno jest mniejsze.

Podszedłem do lewego nadkola. Gruba bryła śniegu wbiła się pomiędzy kołem a nadkolem. Impet, z jakim uderzyła, był na tyle silny, że uszkodził zawieszenie koła.

Szlag.

Teraz będę musiał zadzwonić do brata. A tak bardzo chciałem tego uniknąć.

Wtedy

W zasadzie od tego powinienem był rozpocząć tę historię. Mam na imię Szczepan. Jak wcześniej wspominałem, byłem dzieckiem ważnych lokalnych person. Nie miałem traumatycznego dzieciństwa. Nikt mnie nie molestował. Rodzice mnie kochali, pomimo że ich życie było wypełnione obowiązkami zawodowymi. Tata uczył matematyki, więc pomimo braku talentu do przedmiotów ścisłych, zawsze miałem piątki z matmy. Mama przyjmowała w wiejskiej przychodni w siedzibie OPS-u. Dodatkowo pracowała jako lekarz od „męskich chorób” w pobliskim mieście. Nikt mi nie wytłumaczył, na czym polegały te męskie choroby. Wielokrotnie słyszałem, że jak dorosnę, to się przekonam. Wówczas uznałem, że najpoważniejszą męską chorobą jest łysienie, dlatego że w kościele roiło się od łysych panów w wieku taty. Mężczyźni w mojej rodzinie byli „zdrowi”. Bujne owłosienie było przekazywane z pokolenia na pokolenie. Może dlatego mama nigdy nie wyganiała nas do specjalistów?

Miałem dwóch starszych braci, z którymi od zawsze miałem dobry kontakt. Marek był ode mnie starszy o jedenaście lat, więc jako dziecko patrzyłem na niego jak na dorosłego. Mimo różnicy wieku brat z chęcią spędzał ze mną czas. Nauczył mnie łowienia ryb, opowiadał ciekawe historie. A nawet krył przed rodzicami, gdy coś przeskrobałem. Wiktor, starszy o osiem lat, również był dla mnie dobrym bratem. Traktował mnie podobnie jak Marek – jako równego sobie, z tą różnicą, że w relacji z Wiktorem nigdy nie czułem się jak dziecko. Zabierał mnie na spotkania z rówieśnikami, przez co pewnie nieraz musiał się tłumaczyć. Bo kto z nastolatków targanych hormonami chciałby mieć piąte koło u wozu w postaci dziecka nierozumiejącego świata opowieści o biustach koleżanek lub bójkach po szkole. Dzięki temu, że spędzałem czas ze swoimi starszymi braćmi, czułem się cool. To słowo usłyszałem na jednym z zagranicznych kanałów, lecz od razu wiedziałem, co znaczy. Określało pewien prestiż, status, o którym marzył każdy dzieciak na wsi. Mnie ten status został przypisany z góry.

W mojej rodzinie krążyła opinia, że Marek dostał geny ojca, mnie przypadły cechy charakterystyczne dla matki, a Wiktor odziedziczył zarówno najlepsze, jak i najgorsze cechy ojca oraz matki. Być może dlatego zawsze łągałem do Wiktora, bo wówczas czułem, że mam obu rodziców przy sobie.

Wychowaliśmy się w rodzinnej miejscowości Kamieniec. Być może przesadziłem z tym słowem „miejscowość”. Była to wioska, gdzie znajdowały się jeden kościół z kilkoma kaplicami; trzy sklepy spożywcze, w których można było kupić wszystko na zeszyt; zespół szkół; dwa przystanki i lodziarnia na umownym rynku. Kiedy byłem dzieckiem, to wydawało mi się, że więcej nie potrzeba do szczęścia. Gdy skończyłem osiem lat, Marek wyjechał do Krakowa na studia. Wówczas stał się dla mnie jeszcze bardziej wyjątkowy. Brat łączył studia z pracą, więc jego obecność w rodzinnym domu ograniczała się jedynie do świąt. Pomimo nie za dobrej sytuacji finansowej brat przysyłał mi komiksy, o których we wsi mogłem tylko pomarzyć. Wówczas poznałem inną część świata, gdzie superbohaterowie przeganiają zło. Było w tym sporo religijnego mistycyzmu. Naiwny sądziłem, że to duch święty przemawia przez superbohaterów. Komiksy o Spider-Manie lub Hulku stały się początkiem mojego nowego życia. Życia w krainie wyobraźni. Sam zacząłem rysować postacie o nadprzyrodzonych umiejętnościach. Na lekcjach wymyślałem swoich bohaterów i ich antagonistów. Nigdy nie marzyłem o tym, by tworzenie komiksów stało się sposobem na życie, lecz w praktyce sen się ziścił. O tym jednak innym razem.

Kamieniec, bo to o nim chciałem opowiedzieć, miał magiczny klimat. Magiczny dla mnie i osób, które miały z nim pierwszy kontakt. Największą, a w zasadzie jedyną atrakcją miasteczka był dziwny kamień. Wielkości prawie dwóch metrów, przypominający konającego człowieka. Jakby wyszedł spod ręki wprawionego artysty.

Bez wytężenia wyobraźni można było dostrzec kontury członków, zarys twarzy lub fakturę szat. Kamień działał na każdego, kto na niego spojrzał. Jakby Matka Natura chciała przekazać komunikat, którego nikt nie jest w stanie zrozumieć. Ktoś kiedyś stwierdził, że na to, czego rozum nie jest w stanie wytłumaczyć, znajdzie się rozwiązanie w postaci mitu. I w ten o to sposób powstała miejscowość Kamieniec. Położona ponad trzydzieści kilometrów od Krakowa w stronę Tarnowa, gdzie diabeł mówi dobranoc. Według mitu para kochanków się pokłóciła. Serce dziewczyny krwawiło z rozpacz i odrzucenia. On, w wyniku kłótni, dopuścił się zdrady. Cierpiąca dziewczyna rzuciła klątwę na chłopaka, by on, tak jak jej serce, stał się kamieniem.

Romantyzm zawsze był w cenie, dlatego zmyślona historia utrwalana od niepamiętnych czasów krążyła, tworząc mit, który pewnego dnia miał zniszczyć życie moje i kilku innych osób. Gdy dorastałem, mit o skamieniałym kochanku działał jak lep na muchy na naiwnych turystów, którzy zgubili się po drodze. Gdy dostrzegali, że poza dziwnym kamieniem miejscowość nie ma nic ciekawego do zaoferowania, a jedynym lokalem, gdzie można zjeść ciepły posiłek, jest knajpa, w której sztucce pamiętają towarzysza Gierka, szybko pryskali gdzie pieprz rośnie.

Dla mnie mit nie był tylko banalną historią wyssaną z palca. Okej, na poziomie racjonalnym nie kupowałem tego, ale gdy stałem nad kamieniem, czułem pewną siłę krążącą wokół. Jakby jakaś moc kipiała z kamienia.

Przez lata kamień znudził się miejscowym na tyle, że przestali o nim opowiadać swoim potomkom. Skamieniały kochanek stał się ławką dla biwakowiczów lub młodzieży, która przyszła się zabawić z dala od kontroli dorosłych.

Dookoła kamienia walały się kawałki szkła, puszki po piwie, wypalone pety oraz zużyte prezerwatywy. Do czasu.

Wakacje, które zmieniły moje życie, zaczęły się lepiej, niżbym mógł sobie to wymarzyć. Akurat wyobrażnię mam nieograniczoną. Dzięki świadectwu z czerwonym paskiem – dla syna dyrektora był to obowiązek – i wygranemu konkursowi na opowiadanie inspirowane Piotrusiem Panem mogłem sobie pozwolić na codzienną dawkę lodów. Kieszonkowe, które dostałem od rodziców i dziadków, było okazałe. Dodatkowo Marek przysłał mi nowe komiksy z Batmanem, zatem nawet deszczowe dni miałem zajęte.

W ramach nagrody za świadectwo tata kupił mi namiot. Nie taki byle jaki, lecz namiot wyposażony w moskitierę, porządny stelaż, wodoodporny materiał i takie tam. Namiotu zazdrościli mi wszyscy rówieśnicy, lecz w zasadzie do niczego nie był mi potrzebny. Na wakacje nie jeździliśmy, więc pozostało nocowanie z kolegami przed domem, gdzie nocami musieliśmy się bronić przed wypuszczonymi psami, które upodobały sobie obsikiwanie namiotu.

Za początek mojego koszmaru mogłem uznać pewne lipcowe południe. Słońce grzało niemiłosiernie, temperatura od kilku dni utrzymywała się powyżej trzydziestu stopni. Gra w piłkę dzień w dzień stała się już nudna. Tym bardziej że nasz bramkarz Maciek wyjechał do dziadków na kilka tygodni. A nikt inny nie palił się do stania między słupkami. Pod pretekstem zbliżającego się obiadu pozostawiłem kolegów na pastwę losu. Było to głupie i egoistyczne z mojej strony. Wracając na swoim świeżutkim rowerze, dostrzegłem Emilkę. Szła, machając radośnie reklamówką. W przeciwieństwie do swoich rówieśników nie krępowałem się obecnością płci przeciwnej. Nie posiłkowałem się irytującymi zaczepkami lub wymuszonym młodocianym szowinizmem.

Zwolniłem, uśmiechając się do niej. Gdy Emilka odwzajemniła uśmiech, zawróciłem, robiąc efektowną ósemkę.

– Cześć. Gdzie idziesz?

– Wracam ze sklepu. Mama mnie wysłała.

– Aha.

- Byłeś z chłopakami? Pewnie graliście w piłkę.
- Tak, ale mi się znudziło.
- Mnie też by się znudziło.
- Grałaś kiedyś z koleżankami?
- Dziewczyny nie grają w piłkę.
- Grają. Serio, widziałem w telewizji na Eurosporcie.
- To dziwne. Lepiej zagrać w klasy albo pochodzić po wsi.
- W klasy też fajnie zagrać.
- Słyszałam o twoim namiocie.
- Tak... – Speszyłem się lekko, choć sam nie wiedziałem dlaczego.
- Podobno jest super! – Emilka się rozpromieniła.
- Tak, jest.
- Zaprosisz mnie?
- Serio? Chcesz mnie odwiedzić? – zdziwiłem się, bo czym innym jest kolegowanie się z dziewczynkami w szkole lub na osiedlu, a czym innym zapraszanie ich do domu. To już w świecie dzieci bliska znajomość, która wśród kolegów może powodować pewną inność.
- Tak. Chyba że nie chcesz.
- Chcę. Jasne, że chcę. Moja mama może zrobić szarlotkę, jeśli lubisz.
- Bardzo lubię.
- Super. To kiedy możesz wpaść?
- Może dziś wieczorem, jeśli rodzice mi pozwolą.
- Okej. Jesteśmy umówieni.
- Super. Pa, Szczepan.
- Pa, Emilka.

Udawałem, że wymiana zdań nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia, lecz w rzeczywistości cały płonąłem. To była moja pierwsza w życiu randka. Jechałem dumnie na rowerze, jakbym wygrał etap w Tour de France. Włosy stawały dęba, z trudem przelykałem ślinę. Miałem już za sobą pierwszą fascynację płcią przeciwną. Gdy odwiedziliśmy wujka Edwarda w Kielcach podczas zimowych ferii, spotkałem na sankach dziewczynkę, która miała przepiękne warkocze. Śmiała się z moich opowieści i lubiła, gdy ścigaliśmy się pod górę.

Emilka to zupełnie inna para kaloszy. Jej rodzice prowadzili duże gospodarstwo i dodatkowo pracowali na etacie, więc nią i siostrami opiekowali się dziadkowie. Jej babcia piekła świetne ciasta, o czym wielokrotnie przekonywaliśmy się podczas przerw w szkole. To dziwne, ale na przerwach Emilka była tylko koleżanką, nikim więcej. Po

ostatnim dzwonku w roku szkolnym coś się zmieniło, lecz nie wiem, czy we mnie, czy w niej.

Emilkę podrzucił dziadek, pomimo faktu, że do naszego do domu miała raptem dziesięć minut spokojnym tempem. Mama wyjątkowo nie była w pracy, więc zapowiadana szarlotka zagościła na stole.

Witek szykował się na koncert. Od kilku tygodni ugadywał rodziców, by pozwolili mu wyjechać na kilka dni. Tata miał duszę buntownika, więc subkultura punków była w zgodzie z jego przekonaniem. Dlatego Witek pomimo średniego świadectwa i jedynie dzięki solidnej maturze dostał zgodę. Wychodząc, poklepał mnie po plecach, mówiąc:

– Powodzenia. Pierwsza miłość to superrzecz.

– Witek, przestań.

– Już. Nie krępuj się. Wiesz, że zawsze cieszę się z twojego szczęścia.

Silny braterski uścisk sprawił, że poczułem się dojrzałe. Odwaga przysła sama.

W prawdzie ani ja, ani ona nie wypowiedzieliśmy słowa „randka”, lecz wisiało ono nad nami. Byliśmy jak para kundli bawiąca się ze sobą pierwszy raz. Cały wieczór przesiedzieliśmy w namiocie. Jedynie naleśniki mamy wyciągały nas z zabawowych pieleszy.

W pewnym momencie padło to pytanie, na które oboje tak czekaliśmy.

– Będziesz mnie odwiedzać?

Poczułem ulgę, że to ona o to zapytała.

– Bardzo bym chciał. Wiesz... – wydukałem, jakby to było dla mnie obojętne. Wzrok miałem utkwiony w butelce oranżady.

– Ja też. Wiesz. Koleżanki są nudne. Nie lubię spędzać z nimi czasu. A z tobą jest inaczej. Inni chłopcy tylko robią na złość.

– Ja nie będę.

Tamtego wieczoru zrozumiałem, dlaczego Marek i Witek spotykają się z dziewczynami. Wprawdzie całowanie nadal wydawało mi się odrażające, lecz mieszanina uczuć i emocji była na tyle intensywna, że cały świat stawał się piękniejszy. Nagle zapomniałem o najnowszych komiksach, meczu na mundialu i kolegach, którzy liczyli na moje bramki.

Ta sympatia była piękna w swojej prostocie i naiwności. Zawierała wszystko, co może zawierać słowo „lubie” wypowiedziane do koleżanki. Była wyzbyta wpajanych w dorosłym życiu przesłanek seksualnych czy też egoistycznych względów. Chciałem, by świat stanął w miejscu. By dorosłość na zawsze pozostała daleką perspektywą. Niestety, te wakacje szybko zmieniły mnie w dorosłego.

Teraz

Obojętność to przekleństwo naszych czasów. Gdy czekałem na brata, mijały mnie dziesiątki samochodów. Żaden nie zatrzymał się, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. W sumie to się nie dziwiłem. Być może sam podobnie podszedłbym do sprawy. Kolejny papieros hamował rosnący głód. Od ostatniego posiłku minęło ponad dziesięć godzin. Miałem wrażenie, że czuję słynne pierogi ruskie bratowej polane sosem grzybowym. Na ucztę musiałem jeszcze trochę poczekać, o ile śnieg nie zasypie mnie wraz z popsutym autem.

Brat zjawił się po kolejnym kwadransie. Wysiadł z samochodu w aurze dymu spalinowego. Jego postura zawsze robiła wrażenie, lecz teraz przypominał stereotypowego drwala z powieści miłosnych dla kobiet. Zarost sprawiał wrażenie starannie zadbanego, puchowa kurtka w połączeniu z czapką bejsbolową podkreślała charakterystyczne wiejskie pochodzenie. Dodatkowo miał dziarski chód, który budził skojarzenia z typowymi samcami alfa z amerykańskich filmów o kowbojach.

– No proszę. Pan z miasta wreszcie się pojawił.

– Cześć.

– Co tak słabo? Tylko „cześć”? Bracie!

– Wybacz, zmarłem i zgłodniałem...

Ucisk brata przerwał moje uzalanie się nad sobą. Wyczułem zapach domowego ciasta i trocin – wszystkiego, co definiowało codzienność Wiktora.

– Już zobaczę, co się stało. – Schylił się i zaczął mocować się z oponą. – Opona zerwała się z felgi, rolując się na tyle, by wszystko przyblokować – dodał po chwili. – Na szczęście masz brata, który przewidział taki scenariusz...

– To znaczy?

– To znaczy, że zerwę to, co zostało z opony, i zaholuję cię do domu. A potem zjemy kolację. Tata od południa czeka na twój przyjazd. Nagle wnuki poszły w odstawkę.

– Przeze mnie?

– Nie bierz tego do siebie. Źle się wyraziłem. Tata po prostu tęskni za tobą. Mnie i Marka ma na co dzień. Wnuki to przedłużenie tego, co miał przez całe życie zawodowe. Po śmierci mamy co raz częściej wspomina ciebie.

– Żali się?

– W zasadzie tak.

Brat, dysząc, zrywał rozszarpaną oponę.

– Też żałuję, że tak wyszło.

– Szczepak, możesz to zmienić. Przecież wiesz, że zawsze chętnie cię przywitamy. Twoja praca umożliwia ci częste wizyty. Mieszkasz blisko... Tak, wiem, masz swoje życie. Nie chcę ci robić wykładu o obowiązkach rodzinnych. Chcę, żebyś wiedział, że tutaj też ktoś na ciebie czeka. Tata nie będzie żył wiecznie. Pamiętaj.

– Ale...

– Wiem, wiem, co powiesz.

Jego machnięcie ręką zatrzymało wszelkie moje argumenty. Obaj wiedzieliśmy, że dalsza dyskusja w tej kwestii mija się z celem.

– Wsiadaj. Kolacja czeka. Dzieciaki też nie mogą się doczekać wujka.

Jego uśmiech był szczery, lecz nie ukoił nerwów, które towarzyszyły od kilku dni. Powrót do Kamieńca stał się faktem.

*

Im bardziej zbliżaliśmy się do Kamieńca, tym bardziej krajobraz stawał się przytłaczający. Zasypane domy, zniszczone przystanki, dominująca pustka wylewająca się, gdziekolwiek rzuciłem okiem. Wsie czy miasta żyły dzięki swoim mieszkańcom, ci tutaj szukali drogi do lepsza świata, życia w miejscu, gdzie praca dawała coś więcej niż przeżycie do kolejnej wypłaty. Ten lepszy świat był całkiem blisko, w pobliżu dużych miast, gdzie młode pokolenie Kamieńca osiadało po zakończeniu edukacji. Życie w Kamieńcu przypadało tym, których korzenie weszły za głęboko, oraz tym, dla których świat poza granicą wsi stanowił za wysokie progi.

Dom rodziców w ogóle się nie zmienił. Wiktor z szacunku do nich nie chciał niczego zmieniać, dopóki ostatnie z rodziców nadal żyło. Czerwona cegła idealnie kontrastowała z zielonym mchem, który zdobił dach w wiosenne miesiące. Teraz śnieg zakrył to, co uznawałem za największą ozdobę domu. Dopiero gdy opuściłem samochód, dostrzegłem nowe ogrodzenie. Czarne bele drewna dodawały charakteru staremu domowi. Zwiększały poczucie bezpieczeństwa, którego od tak dawna potrzebowałem.

– No wreszcie.

Znajomy głos dobiegający z za pleców wyrwał mnie z zamyślenia.

– Cześć, tato.

– Cześć.

Uścisk ojca był mocny, jakby chciał poprzez ten gest pokazać, jak bardzo czekał na mój powrót.

W drzwiach pojawiły się kolejne postacie. Bratowa w fartuchu oparła się o futrynę, jej uśmiech był szczery, mówiący więcej niż dziesiątki słów. Tuż za nią pojawiła się mała gromadka osłaniająca się nogami matki. Wiktor z Agnieszką długo starali się o potomków. Lata konsultacji lekarskich, kilka terapii, aż wreszcie dali za wygraną.

– Bóg nie dam nam dziecka i musimy się z tym pogodzić – mawiała bratowa.

Aż wreszcie któregoś dnia telefon Wiktora sprawił mnie w osłupienie.

– Będiesz wujkiem, to już szósty miesiąc. Nie mówiliśmy nic do tej pory, bo nie chcieliśmy po raz kolejny przeżyć rozczarowania.

Nie pamiętałem, co odpowiedziałem bratu, ale w tamtej chwili poczułem ukłucie. Obawę, którą znałem od dawien dawna. Dzieci w Kamieńcu zawsze były narażone na zło. Sęk w tym, że tylko ja to zło dostrzegałem.

– Wchodźcie, bo zimne powietrze wpada do domu.

– Podobno miałeś przygodę po drodze – powiedział nieśmiało ojciec.

– Tak, wiesz, jak jest. Te cholerne ulice. Jak zawsze drogowcy są zaskoczeni.

– Rozgość się.

Ton głosu brata świadczył o tym, że teraz to on jest gospodarzem domu.

– Chwila. Co to za gość bez prezentów?

– Szczeppek, nie musisz.

– Wyluzuj. To nie dla ciebie.

Z torby wyjąłem to, co wydawało mi się adekwatne do wieku dzieci. Dla Amelki lalka o stricte dziewczęcym usposobieniu, co nijak pasowało do obdarowywanej. Amelka przypominała swojego ojca. Chłopczyca w pełnym tego słowa znaczeniu. Nawet fryzura sprawiała wrażenie, że z trudem można było ją odróżnić od płci przeciwnej. Niemniej dziewczynka ucieszyła się, ściskając mnie, jakbym był Świętym Mikołajem. Dla bliźniaków, Olka i Arka, miałem klocki lego. Mało wymagający prezent dla kupującego, w zasadzie klocki lego zawsze były strzałem w dziesiątkę, w każdym razie tak twierdził jeden z internautów na forum dla rodziców. Na szczęście się nie mylił. Chłopcy, rozpromienieni z radości, z miejsca nazwali mnie „najukochańszym wujkiem”. Udało się, pierwsze trudności mam już za sobą.

Stół był nakryty dla pięciu osób. Wcześniej usłyszałem, że dzieciaki jadły już kolację, a nowe zabawki sprawią, że towarzystwo dorosłych będzie im tylko przeszkadzać. Ostatnią osobą przy stole będzie Marek. Od kiedy stracił żonę, mocno podupadł na zdrowiu zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Wkrótce minie rok jego trzeźwości. Powoli stawał na nogi. Kochałem obu braci, lecz w przypadku Marka ta miłość owiana była wyrzutami sumienia. Być może gdyby nie pewien letni wieczór w lesie, jego żona nadal by żyła. Podobnie jak Emilka.

Wtedy

Moja znajomość z Emilką szybko przerodziła się w przyjaźń. Z kolegami spędzałem coraz mniej czasu. Uwielbiałem grać w piłkę, więc nie unikałem spotkań spędzonych na szkolnym boisku. Co innego z bezcelowym włóczęstwem się po wsi. Na to nie miałem ochoty. Twierdziłem, że jestem już na to za duży. Wyniośle uważałem się za doroślejszego, niż byłem w rzeczywistości. Przecież miałem już dziewczynę, z którą spotykałem się regularnie.

Czas z Emilką zawsze był udany.

Pokazałem jej komiksy, które chyba nie przypadły jej do gustu, lecz jako dobrze wychowana potrafiła utrzymać pozory zainteresowania. Jeździliśmy rowerami po okolicy, spacerowaliśmy po lesie.

Naszym naturalnym przystankiem leśnych spacerów był kamień. Pomimo znajomości leśnej atrakcji, oboje lubiliśmy przychodzić w to miejsce. Ta aura tajemnicy i magicznej siły sprawiała, że czuliśmy się jeszcze bardziej związani ze sobą.

Pewnego dnia na spacer zabrałem naszego psa. Gumiak był kundlem o sporych rozmiarach. Był jak słoń w składzie porcelany, wiecznie w coś włożył, morusał lub przynosił odrażające zdobycze. Pomimo irytujących tendencji był wymarzoną psem, wiernym, uwielbiającym pieszczoty i łagodnym, nawet dla obcych. Gdy szliśmy ścieżką, Gumiak nagle wyrwał się do przodu. Moje wołanie okazało się bezowocne. Pies, jakby w transie, pognął między drzewa.

– Poczekaj. Pobiegnę za nim.

– O... okej...

W głosie Emilki usłyszałem niepokój.

Ruszyłem niczym sprinter w finałowym biegu na igrzyskach. Pokonywałem wystające korzenie i nierówności z gracją sarny, aż dostrzegłem Gumiaka, a przed nim mężczyznę. Był ubrany w ciemny płaszcz, jego brodę zdobił siwy zarost, na głowie miał kaptur, przez co jego twarz była niemal całkowicie niewidoczna. Mężczyzna podpierał się na lasce. W prawej dłoni trzymał koszyk pełen grzybów.

Zdziwiłem się, ponieważ zawsze w niedzielę chodziłem z tatą na grzyby, lecz wiedziałem, że pora na grzyby jeszcze nie nastąpiła. Zawsze przypadała na końcówkę wakacji.

Gumiak przysiadł na tylnych łapach. Z jego pyska wydobywał się złowrogi warkot, ślina między zębami bulgotała. Gdy zbliżyłem się do psa, mężczyzna mnie dostrzegł.

– Dzień dobry, mały człowieku.

– Dzień dobry panu – odpowiedziałem nieśmiało.

Nie czułem w tamtym momencie lęku, lecz pewną dawkę zainteresowania. Jakbym zaglądał do studni, w której zamiast wody miało znajdować się lustro prowadzące do innej czasoprzestrzeni.

– To twój pies?

– Tak, proszę pana.

Gumiak syknął, gdy mężczyzna ruszył laską. Do tej pory łagodny olbrzym nigdy nie dawał upustu zwierzęcej agresji. Nawet kościelny, który doprowadzał do furii wszystkie psy na wsi, u Gumiaka powodował jedynie nieśmiałe szczeknięcie.

– Bardzo ładny. Musisz być z niego dumny.

– Tak, to dobry pies.

– Jak masz na imię?

– Szczepan. A pan?

Sam zdziwiłem się, że zadałem to pytanie.

– Mów mi Lapis.

– Lapis? To pana imię?

– Tak, mój drogi.

– Ale nie ma takiego imienia.

– Znasz wszystkie imiona świata?

– Mamy w domu kalendarz z imionami i nigdy nie widziałem takiego imienia.

– Na pewno jakieś przeoczyłeś, nikt nie zna wszystkich imion. – Mężczyzna subtelnie uśmiechnął się, jakby triumf w rozmowie z dzieckiem był godny dumy.

– Widzę, że przyglądasz się mojemu koszykowi. Jesteś ciekaw, co mam w środku?

– Nie... to znaczy tak.

– Zbieram kamienie.

– Kamienie? Myślałem, że to grzyby.

– Nie dziwię ci się. Z łatwością można je pomylić.

– Po co panu kamienie?

– Sam nie wiem. Mieszkam sam. Czasem wyobrażam sobie, że to moi towarzysze.

– Mieszka pan we wsi?

– Nie. Tutaj, w lesie.

– Przykro mi, że nie ma pan towarzystwa.

– Mnie również. Od kiedy opuściła mnie ukochana, stronię od ludzi. Chyba rozumiesz, że dorośli łączą się w pary, by żyć razem? Wyglądasz na młodego kawalera, któremu rodzice przekazali już taką wiedzę.

– Tak. Rozumiem.

– No widzisz.

– A co się stało z pana ukochaną?

Zanim skończyłem zdanie, poczułem, że pożałuję swojej wścibskości.

– Opuściła mnie, ponieważ zdradziłem ją z inną. Chyba wiesz, co to znaczy. Czasem mężczyzna robi głupie rzeczy, bo nie myśli, lecz podaje się naturalnym instynktom. Jak będziesz dorosły, to przekonasz się, jak wielką odpowiedzialność nosisz ze sobą. Powiedz mi... masz już jakąś koleżankę?

– Tak mam. Ma na imię Emilka.

– To fajnie. Dbaj o nią. I pamiętaj, by być dla niej dobrym. Mężczyzna musi dbać o innych.

– Szczepan! Jesteś tutaj?! – Głos Emilki świadczył o tym, że znajdowała się w znacznej odległości.

– Przepraszam. To moja... koleżanka.

– Rozumiem, mój drogi. Zmykaj i uważaj na siebie.

Mężczyzna obrócił się jakby w zwolnionym tempie. Oddalał się wolnym krokiem. Pies warczał coraz głośniej. Kucnąłem, by go uspokoić, lecz to nie pomogło. Dopiero gdy mężczyzna zniknął za wzniesieniem, pies się wyciszył.

Po kilku minutach odnalazła nas Emilka. Sprawiała wrażenie wystraszonej.

– Hej. Gdzie byliście?

– Pies wyczuł jakiegoś człowieka. Musiałem go uspokoić.

– Serio? Przecież on jest łagodny.

– Wiem.

– Może wpadniesz do mnie wieczorem? Babcia mówiła, że robi sernik z truskawkami. A ja mam na wideo Jumanji. Podobno bardzo fajne.

– Jeśli mi rodzice pozwolą, to chętnie. Z przyjemnością oglądnę to Jumanji.

– Dziadek cię odwiezie po wszystkim.

– To zapytam tatę, czy mi pozwoli.

Tata oczywiście się zgodził. Wiedział, że rodzina Emilki jest godna zaufania i dobrze się mną zaopiekuje. Przed wyjściem do Emilki przywiązałem psa do budy. Pomimo łagodności Gumiak nie mógł chodzić luzem. Jego tendencja do szlajania się po okolicy i gonienia kur mogła wpakować go w tarapaty.

Czas u Emilki był wypełniony słodkościami jej babci, grą w planszówki i oglądaniem filmu. Byliśmy na tyle pochłonięci zabawą, że nie dostrzegliśmy późnej pory. Dziadek zadzwonił do moich rodziców z prośbą, bym przenocował u nich. Ku mojemu zdziwieniu rodzice nie wyrazili sprzeciwu. W pokoju Emilki znajdowały się dwa łóżka. Jej starsza siostra Agnieszka wyjechała do chrzestnych na Śląsk, więc bez problemu mogliśmy spać w jednym pokoju. Do późnych godzin opowiadaliśmy sobie różne historie ze szkoły. Nie mogliśmy przestać się śmiać, gdy temat schodził na sprawy związane z panem woźnym. Przypominał Janosika, lecz zachowaniem sprawiał wrażenie wiecznie pijanego. Być może faktycznie często tak było.

Pomimo miłej atmosfery miałem z tyłu głowy pana Lapisa. Zachowanie psa była zaskakujące. Miał już swoje lata, lecz nigdy nie zareagował w taki sposób. Czy to niepewność przed nieznanym i fakt bycia na obcym terytorium tak na niego wpłynęły? Psy, jak wiele innych zwierząt, broniły swojego terytorium. Tamtego wieczora zasnąłem tuż po Emilce. Śnił mi się las. Gdziekolwiek postawiłem stopy, trafiałem na kamień. Las wyglądał, jakby zamiast ściółki miał tylko kamienie.

Nazajutrz dziadek Emilki odwiózł mnie do domu. Gdy wchodziłem na podwórko, coś przykuło moją uwagę. Zawsze witało mnie radosne szczęknięcie, choćby moja nieobecność trwała tylko godzinę. Tym razem panowała głucha cisza. Pomyślałem, że pies śpi w budzie. Podszedłem delikatnie, by go nie wystraszyć. Ku mojemu zdziwieniu łańcuch leżał luzem. Zamiast psa przed budą widniał kamień. Gdy zaglądnąłem do budy, dostrzegłem kałużę krwi. Po psie nie było śladu.

Teraz

Marek przybył, jeszcze zanim zasiedliśmy do stołu. Z trudem go poznałem.

Gdy wiedzieliśmy się ostatnim razem, był wrakiem. Wystające kości policzkowe, wyblakła skóra, podkrążone oczy. Ubrania wisiały na nim jak na manekinie. Teraz stał przede mną dobrze zbudowany mężczyzna, staranie wygolony, w pachnących ubraniach. Kompletnie nie przypominał Marka, którego widziałem ostatnim razem.

- Już myślałem, że o nas zapomniawsz.
 - Nie żartuj. Wiesz, jak jest.
 - Wiem. Wybacz, głupio powiedziałem.
 - Nie gniewam się. Dobrze wyglądasz.
 - Dzięki. Nowa praca mi służy.
 - Słyszałem, że budujecie centrum handlowe w okolicach Brzeska.
 - Największe w okolicy, trzypoziomowe – wtrąciła się Agnieszka.
 - No całkiem spore jak na naszą okolicę – dodał skromnie Marek.
 - No pochwal się, że to realizacja twojego projektu.
 - Wiktor, ty to zawsze od razu zdradzasz wszystko.
 - Taka ze mnie papla. Jak widzisz, u nas po staremu. Opowiadaj, co u ciebie. Kiedy dostaniemy zaproszenie na ślub?
 - Też chciałbym wiedzieć – odparłem z uśmiechem na ustach.
 - To chyba od ciebie zależy między innymi.
 - Nie wiem, czy jesteśmy z Anią już gotowi na taki krok.
 - Uuuuu... Ania... Po raz pierwszy powiedziałaś, jak ma na imię. W takim tempie to może za trzy lata przywieziesz ją do nas, a za dekadę kto wie... zapowiedzi? – Agnieszka mrugnęła do mnie z lekkim sarkazmem.
 - Mogę wam obiecać, że jeśli coś poważnego będzie się kroić, pierwsi się o tym dowiedziecie.
- Wiedziałem, że w tym momencie muszą paść słowa ojca o drugiej połówce i wartości, jaką daje stały związek. Oczywiście, nie myliłem się.
- Na to liczę, synu. Praca pracą, ale dobrze, żebyś miał kogoś przy sobie. Komiksy masz, mam nadzieję, że kiedyś twój syn będzie je przeglądał.
 - A może córka? – wtrąciła z rozżaleniem Agnieszka.

– Wiesz, Aguś, co mam na myśli. Po prostu chcę, by Szczepiek nie żył tylko pracą. Osiągnął już sukces. Teraz warto zadbać o swoje sprawy prywatne. To jest najważniejsze w życiu, większego sukcesu od własnej rodziny nie można osiągnąć.

Na stole pojawiły się słynne pierogi ruskie Agnieszki. Nasza mama miała wiele talentów, lecz pod względem gotowania wypadła dosyć słabo na tle mojej bratowej. Wilczy głód spowodował, że rzuciłem się na ciepły posiłek bez chwili namysłu.

Rozmowy między domownikami przelatowały mi przez głowę. Myślam byłem w innym miejscu. Przeklęty kamień, który już czekał, aż się zjawię. Odwiedzałem to miejsce setki razy w ostatnich latach. W snach i podczas zamyślenia zawsze było takie realistyczne, pełne detali, z namacalną fakturą. Moja wyobraźnia była przekleństwem, knuła przeciwko mnie. Wielokrotnie fantazjowałem, że las dotyka trzęsienie ziemi, a kamień ginie połknięty przez szczeliny ziemi. Następnie zostaje strawiony tonami żyznej gleby i nowymi drzewami, które sprawiają, że o skamieniałej pamiętce pozostanie tylko wspomnienie. Kilkakrotnie sprawdzałem, czy w serwisach internetowych ktoś wystawił las na sprzedaż. Przez lata nie miałem pojęcia, do kogo należy ten fragment, gdzie znajdował się kamień. Dopiero wizyta w administracji gminy sprawiła, że poznałem prawdę.

Grzelakowie. Rodzina patologiczna. Zdziwiłem się, że stary Grzelak nie zapił się do tej pory na śmierć. Liczyłem, że ładna sumka okaże się wystarczająco atrakcyjna, by sprzedał jedną z niewielu rzeczy, której do tej pory nie przepił. Poprosiłem kolegę z wydawnictwa, by odwiedził Grzelaka w celu nabycia przeklętego miejsca. Nie chciałem, by Grzelak wiedział, że to ja chcę kupić jego las. Stary pijak nie lubił ludzi na wsi. Wielokrotnie podczas chłania obrażał większość mieszkańców do tego stopnia, że grzecznościowe „dzień dobry” nigdy nie padało w jego stronę.

Ku mojemu zdziwieniu stary Grzelak pogonił mojego kolegę. Twierdził, że nie sprzeda spuścizny swojego ojca. To zabawne, bo tartak, który był oczkiem w głowie jego ojca, sprzedał bez chwili namysłu. Swoją ofertę ponowiłem po dwóch latach. Tym razem przedstawiła ją Ania. Rezultat był ten sam. Las nie był na sprzedaż.

– Co o tym sądzisz, Szczepiek?

– Sądzę? O czym?

– Halo, ziemia do przybysza. Co sądzisz o tym, że Aga chce startować na sołtysa? – Marek uzupełnił swoją wypowiedź groteskowym ruchem rękoma mającym zapewne na celu przypominać czułki kosmity.

– Zostawcie go. Na pewno jest zmęczony. Jutro go pomęczycie. – Bratowa przybyła z odsieczą, przynosząc na stół świeżą kaszankę z cebulą.

– Świetny pomysł, jest lubiana, skończyła administrację. Zawsze postrzegałem cię, Agnieszka, jako osobę, która potrafi zarządzać. Jak widać po domu – omiotłem wzrokiem salon, w którym czuć było kobiecą rękę – potrafisz zadbać o wszystko.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Moja wypowiedź zabrzmiała jak na wiecu wyborczym. Z bratową miałem dobre stosunki, lecz nigdy nie potrafiłem się zbliżyć na tyle, by obnażyć swoją tajemnicę. Gdy dowiedziałem się, że Wiktor spotyka się z siostrą Emilki, poczułem, jakby mroczna fala zalewała mnie, ciągnąc ze sobą koszmar z przeszłości. Minął rok, o Emilce wszyscy przestali gadać. Udawano, że nie ma tematu. Nawet jej rodzice i dziadkowie unikali rozmów o tej sprawie.

Agnieszka pojawiła się w naszym domu pewnego niedzielnego południa. Wiktor od rana sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Mama chyba wiedziała, co się święci, bo delikatnie się uśmiechała. Wiktor jako jedyny nie wybrał się z nami na poranną mszę. Tuż po sumie pojawił się wraz z Agnieszką i przedstawił ją jako swoją dziewczynę. Wszyscy tamtego dnia byli weseli, rozmowy trwały w nieskończoność, na twarzach gościły szczere uśmiechy. Wyłącznie ja nie potrafiłem odnaleźć się w tej sytuacji. Kolejna osoba z tej rodziny w naszym domu nie zapowiadała dobrych rzeczy.

Wiktor wyczuł mój nastrój. Gdy poszedłem, by posiedzieć przed domem, usiadł obok mnie. Wiedziałem, że od tej rozmowy nie ucieknę.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Chyba nie mówisz całej prawdy. Pewnie myślisz o Emilce.

Tak, myślałem o niej, lecz bałem się, że z ust brata padnie obawa, którą miałem w głowie.

– Wiesz, że to już przeszłość. Może pewnego dnia dowiemy się, co się wydarzyło. Kto wie, może sama pojawi się. A może będziemy musieli żyć do końca w nieświadomości.

Nie pamiętałem, co mu odpowiedziałem. Pamiętałem jedynie, że tamtego wieczoru bałem się zasnąć. A kiedy wreszcie zapadłem w sen, pojawiła się ona.

Szliśmy lasem, Emilka milczała. Próbowałem ją chwycić za dłoń, lecz wyslizgiwała się. Nagle obróciła się w moją stronę. Na jej twarzy pojawiły się łzy, spływały bardzo wolno. Gdy pierwsza spadła na ziemię, zamieniła się w kamień. Za nią kolejne. Strumień łez zamieniających się w kamienie płynął w nieskończoność.

Marzyłem o tym, by się wybudzić.

Próbowałem zahamować jej płacz, wówczas padły z jej ust słowa, które towarzyszyły mi do dziś.

– To ty zamieniłeś mnie w kamień.

Gdy się przebudziłem, koszmar nadal trwał. Przed swoim łóżkiem dostrzegłem Lapisa. Milczał, ja również bałem się otworzyć usta. Wolnym krokiem zbliżył się do okna i wyszedł przez nie.

Długo zastanawiałem się, czy to były zwidy, czy faktycznie towarzysz z lasu odwiedził mnie późną nocą. Wątpliwości rozwiął poranek. Gdy ubierałem się do szkoły, dostrzegłem kamień leżący przed moim łóżkiem. A więc to była prawda, koszmar istniał.

– Szczepek. Widzę, że na serio słabo kontaktujesz.

Marek wyrwał mnie z zamyślenia.

– Nie gniewajcie się. Ostatnio dużo pracuję i ta podróż...

– Rozumiemy. Twój pokój jest gotowy.

– Mój pokój? Myślałem, że któryś z dzieciaków go przejął.

– Nie. Tata w nim sypia, bo jego sypialnię przejęły bliźniaki, ale na twój powrót to znowu twoje miejsce. – Głos Agnieszki był ciepły. Jakby chciała mi przekazać, że wie. Wie o tym, co noszę w sobie. Nie miała jednak pojęcia.

– Okej. W takim razie dziękuję za pyszną kolację. Widzimy się rano.

Pożegnały mnie liczne poklepywania po plecach. To w naszej rodzinie gest oznaczający miłość, troskę i przeświadczenie, że nigdy nie będziemy sami, cokolwiek się wydarzy. Niestety, sam wyłamałem się z tej więzi.

Wchodząc na piętro, poczułem się, jakby czas cofnął się o kilka lat. Schody nadal skrzypiały, a na ścianie na wysokości piątego stopnia wciąż znajdował się ślad po uderzeniu głową. Wiktor nie lubił włączać światła, nawet przy egipskich ciemnościach. Twierdził, że jest jak nietoperz. Jego nadmierne przekonanie o swoich zdolnościach sprawiło, że omal nie trafił na tamten świat. Na szczęście skończyło się tylko na wybitej trójce i licznych potłuczeniach.

Na piętrze widoczne były ślady upływającego czasu. Brat odnowił niemal wszystko, nadając domowi aurę ciepłego gniazda rodzinnego. Mój pokój znajdował się na wprost. Zbliżałem się do niego, jakbym stąpał po polu minowym. Klamka delikatnie zaskrzypiała. Wzięłem głęboki oddech przed włączeniem światła. Ku mojemu zdziwieniu, niewiele się tu zmieniło. Plakaty Wu-Tang Clanu i 2Paca nadal zdobiły ściany. Stare biurko zostało ozdobione fotografiami rodzinnymi. Moje komiksy z dzieciństwa leżały na półkach, a obok nich moje wydawnictwa wyeksponowane w najbardziej widocznym miejscu. Miło, że tata ustawił je na widoku.

Po chwili wytchnienia stwierdziłem, że już czas. Schowałem kamień w drewnianej szkatułce przyklejonej do tyłu biurka. Nikt nie miał prawa tego znaleźć. Wiedziałem, że zarówno bracia, jak i ojciec z szacunku dla mnie nigdy nie ruszą biurka.

Przykucnąłem, wyciągając lewą dłoń za biurko. Wyczułem znajomą bryłę, kwadratowa i szorstka wielkością przypominająca paczkę cukru. Taśma klejąca ledwo trzymała, więc bez trudu zerwałem szkatułkę.

Usiadłem na łóżku, serce waliło mi bez opamiętania, na skroniach czułem ucisk. Miałem wrażenie, że zaraz zapadnę się w otchłań, w której będzie na mnie czekał Lapis. Przez lata zastanawiałem się, co go spotkało. Czy kolejne osoby podzieliły los Emilki, a może to na nas przypadł koniec koszmaru. Uchylając pudełko, dostrzegłem go. Kamień nadal tu był. Znałem jego kontury na pamięć. Z zamkniętymi oczami mogłem odróżnić go od setek innych. Nie zabrałem go ze sobą do Krakowa w obawie przed Lapisem. Nie chciałem, by podążał za mną po ulicach starego miasta, by czyhał na mnie w Sukiennicach. Nie był to jedyny kamień od starca, lecz akurat ten jedyny zachowałem. Ten jedyny, będący czymś więcej niż tylko dowodem realności koszmaru.

Wtedy

Tata szukał psa przez cały dzień, bez skutku. Przepadł jak kamień w wodę. Byłem załamany, Gumiak był moim psem, najukochańszym pupilem, prawdziwym oczkiem w głowie. Towarzyszył mi, odkąd pamiętałem, bawił się ze mną, ruszał na spotkanie z kolegami, a nawet sypiał zimą w nogach, choć mama tego zabraniała. Emilka pojawiła się po południu, chciała mnie pocieszyć. Przyniosła ze sobą ciastko z truskawkami i dziwnym serem smakującym niesamowicie. Nie wylałem ani jednej łzy, choć wewnątrz rozpaczliwie opłakiwałem stratę pupila.

Emilka zabrała mnie na spacer. Pewnie myślała, że jakimś cudem znajdziemy Gumiaka albo przynajmniej zajmę czymś na chwilę głowę. Tamtego dnia centrum wsi było wyjątkowo puste. W tle słychać było pracujące traktory i wyjące krowy. Spacerując drogą, mijaliśmy kolejnych rolników udających się na pole po przerwie obiadowej. Milczałem, idąc jak skazaniec, ona również milczała, aż wreszcie jedno z nas nie wytrzymało.

- Wiesz. Jeśli ci będzie miło, to mogę dać ci swojego psa.
- Dzięki, ale to twój pies.
- Mamy aż trzy psy. Tata żartuje, że przypada po jednym psie na córkę.
- Dziękuję, ale ja nie chcę.
- A kota?
- Kota? No nie wiem...
- Nasza Smerfetka okociła się parę dni temu. Ma śliczne młode, wkrótce trzeba będzie je rozdać, bo rodzice zabronili nam je zatrzymać. Mówią, że mamy za dużo zwierząt domowych, a jak zostawimy kolejne, to się znowu „namnożą”.
- Nigdy nie mieliśmy kota. Ale je lubię.
- Ja też. Smerfetka jest taka kochana. Sypia w moich nogach i leży mi na kolanach, gdy czytam książkę.
- To fajnie.
- To ci mogę przynieść, co nie?
- Nie wiem, muszę zapytać rodziców.
- Pytałam już twoją mamę i się zgodziła.
- Serio?

– Tak. Powiedziała, że to superpomysł. Podobno sama lubi koty i już dawno o tym myślała. Na pewno ją polubisz!

– Dzięki, Emilka. Cieszę się, że będę miał swojego kota.

– To ja cieszę! Nie chcę, żebyś dalej był smutny.

Pozostawiłem surowy uśmiech – pierwszy lepszy kot nie mógł zastąpić mojego wiernego towarzysza. Gumiak towarzyszył mi od lat, był psem, które można było oglądać w filmach rodzinnych. Zaakceptowałbym wypadek, chorobę lub upływający czas, ale tajemnicze zniknięcie było jak kara bez wykroczenia. Byłem jednak świadom, że sumienie ludzkie nigdy nie jest czyste.

Żałowałem, że się nie sprzeciwiłem. Podobno zło przychodziło w przebraniu przyjaciela. Nie miało na sobie rogów, wideł, nie ziało ogniem. Było zupełnie przyziemne. Tamtego dnia nie dostrzegłem niczego, co mogłoby zapowiadać nadciągający mrok.

Odkąd pojawił się temat kota, nasza rozmowa stała się luźna. Jakby żałoba po psie została zaliczona w kilka godzin.

Stwierdziliśmy, że wybierzemy się na lody. Było wyjątkowo gorąco, a lody zawsze poprawiały nastrój. Na rynku przesiadywały starsze panie. Pomimo żaru z nieba miały na sobie chusty i wełniane swetry. Przed lodziarnią stał Romek Grzelak. Był raptem rok starszy od nas, lecz znacznie wyższy. Spora tusza wizualnie dodawała mu kilku kolejnych wiosen.

Romek był dzieckiem upośledzonym. Nie rozumiałem, co to znaczy, dopiero mama wytłumaczyła mi, że to opóźnienie w dorastaniu i takie tam. Romka bali się wszyscy, wielokrotnie zaczepiał dzieciaki w szkole, kradł im drugie śniadanie i drobne. Również szkolny sklepik padał ofiarą Romka. Jego rodzice wydeptali sobie ścieżkę do szkoły. Mój tata wzywał ich niemal co tydzień. Prawie zawsze to mama Romka chodziła, by słuchać zażaleń na syna. Stary Grzelak, jeśli pojawiał się w szkole, to z trudem utrzymywał się na nogach. Taki już był, alkohol częściej gościł w jego żyłach niż woda święcona na głowach wiernych.

Dla mnie Romek był zawsze miły, być może wiedział, że zaczepianie syna dyrektora to niewłaściwy pomysł, a być może po prostu mnie lubił. Nie byliśmy kolegami, raczej znajomymi ze szkoły, których dzieliło niemal wszystko poza dziecięcą mentalnością.

Romek stał, patrząc na witrynę sklepu, nie trudno było się domyślić, że nie ma pieniędzy na lody. Jedyne kieszonkowe, jakie miał, to skrojone od rówieśników pieniądze, a że rok szkolny się skończył – fundusze również.

– Cześć – rzuciła radośnie Emilka.

– Czeeeść. – Z ust chłopaka wylewała się stróżka śliny.

– Jakie dzisiaj mają smaki?

– Te dobre.

Chłopak nawet nie był świadom, że powiedział suchara.

Nigdy nie należałem do skąpych dzieciaków, wielokrotnie częstowałem kolegów i fundowałem im colę. Romek nie był moim kolegą, lecz coś mi podpowiadało, że należy tak zrobić. Tata powtarzał mi, że miarą człowieka jest to, ile może dać drugiemu. Tata stosował tę zasadę w swojej pracy, starając się być pedagogiem pełną gębą, często nawet kosztem własnej rodziny. Wielokrotnie miałem mu to za złe, lecz wiedziałem, że to my jesteśmy na pierwszym miejscu, a ojciec robi wszystko, by dzieciaki w szkole stały się dobrymi ludźmi w dorosłym życiu, by doświadczyły tego, co ich dom i nieprzygotowani do swojej roli rodzice nie mogli im dać.

– Może ja ci kupię dwie gałki?

– Seeee... se... serio?

– Tak. Mam na tyle.

– To dzięki, Wojtek.

Dla Romka imiona były kulkami w maszynie losującej. Wielokrotnie strzelał nimi na oślep, rzadko trafiając we właściwe. Nigdy nie było wiadomo, czy gdy kogoś wołał, padło właściwe imię, czy kompletnie od czapy. Michał mógł być równie dobrze Weroniką lub Bartkiem. Im bardziej zdenerwowany był Romek, tym rzadziej trafiał.

– Ja chcę dwie truskawkowe i jedną waniliową.

– A ja... ja chcę marchewkowe.

– Nie mamy takich. Są tylko te, które widać – odrzekła z irytacją pani za ladą.

– No tooo te.

– Dwie gałki?

– Noooo.

Ja wybrałem moje ulubione, czyli włoskie. Podobno lody włoskie z Włochami miały tyle wspólnego, co śnieg z latem, ale ja i tak je uwielbiałem.

Usiedliśmy z lodami na jednej z ławek. Żar z nieba lał się niemiłosiernie, psy biły się o skrawek cienia. Dla nas słońce było rzeczą pożądaną, całą wiosnę czekaliśmy na moment, gdy wyrwiemy się ze szkolnych wnyków. Więc nawet tropikalne temperatury nie były w stanie nas wygonić z rozgrzanej patelni.

– Szczepan?

– Tak.

– Po lodach pójdziemy do mnie?

– Chętnie.

– A ja... jaaa mogę z wami?

Emilka spojrzała na mnie porozumiewawczo. Z pewnością liczyła, że coś wymyślę na poczekaniu albo wybawię ją od niezręcznej sytuacji. Nasze spotkania były przeznaczone tylko dla nas, żaden dorosły nie ingerował w nasze sprawy, rodzeństwo nie uczestniczyło w naszych zabawach, choć to raczej było spowodowane różnicą wieku. Pozostali koledzy i koleżanki byli zbyteczni, bawiliśmy się świetnie we dwójkę. Piąte koło u wozu każdemu z nas było zbyteczne. Już jako dorosły uważałem, że mężczyźnie nie potrzeba nic więcej niż tylko ta jedyna, świat stawał się wówczas przyjaznym miejscem. Emilkę traktowałem jak swoją dziewczynę, więc konkurencja w postaci Romka była niepożądana. Nawet jeśli w praktyce była to kiepska konkurencja.

– Wiesz, mama Emilki nie pozwala, by ktoś ją odwiedzał oprócz mnie.

– Tooo... to może zapytasz mamę?

– Noo...

Wiedziałem, że Emilka zaraz zapędzi się w kozi róg.

– Zapytamy i najwyżej następnym razem pójdiesz z nami, okej?

– Noooooo – wydusił ze smutkiem.

Miałem wyrzuty sumienia, że splawiłem dzieciaka. Dodatkowo świadomość jawnie popełnionego grzechu ciążyła mi na sumieniu. Był środek miesiąca, a więc do spowiedzi pozostały prawie trzy tygodnie. I znowu ta cholerna cyfra trzy... Podobno bardzo niebezpieczna.

– A co robicie u Emilki?

– Takie tam, oglądamy filmy, gramy w badmintona i wiele innych rzeczy – odparła dumnie moja dziewczyna.

– Co to ten badminpnton?

– Taka gra sportowa.

– Można grać tylko we dwóch – zaznaczyłem, by nie było furtki na dodatkowy pretekst do dołączenia.

– A to supprrrr.

Lody topiły się błyskawicznie. Biedny Romek nie nadążał z ich jedzeniem. Po jego dłoniach spływały klejące się resztki gałki.

– Emilka, idziemy?

– Chętnie, ale po drodze wstąpimy do sklepu, bo babcia prosiła mnie, bym kupiła proszek do prania.

– Paaa, Romek – rzuciłem, zanim chłopak zdążył po raz kolejny rozpocząć temat dołączenia do nas.

Być może zachowałem się nie fair, a tata byłby na mnie zły. Chciałem jednak mieć Emilkę tylko dla siebie. Nie czułem, że jest w tym coś złego.

Przez wieś szliśmy żółwim tempem, beztraska wywołana wizytą w lodziarni szybko minęła. Utrata psa powróciła ze zdwojoną siłą. Zachciało mi się płakać, lecz nie chciałem wyjść na mięczaka przy dziewczynie. W ciągu kilku ostatnich dni stałem się mężczyzną w oczach drobnej dziewczynki i ta rola cholernie mi się podobała.

Całe popołudnie spędziliśmy na grze. Lotka co chwilę gubiła się w kwiatkach babci Emilki. Musieliśmy ją bardzo uważnie wyciągać, bo kwiaty były oczkiem w głowie starszej kobiety, oczywiście tuż po wnukach.

W pewnym momencie lotka wyleciała poza ogrodzenie. Działka, na której wylądowała, należała do zmarłego kilka lat temu mężczyzny. Od momentu jego śmierci nikt nie odwiedzał domu. Posesja zarosła wysokimi trawami. Podobno nocami z domu dobiegały dziwne dźwięki i czasem widać było poruszające się zasłony w oknach, ale tak mówiło się niemal o każdym opuszczonym miejscu. Baliśmy się pójść po lotkę, lecz to była jedyna, która nam pozostała. Sklep sportowy w pobliskim mieście zbankrutował, a do Tarnowa lub Krakowa po samą lotkę raczej nasi rodzice się nie wybiorą.

Baliśmy się węży, które mogły czyhać w zaroślach, oraz kleszczy, których tego lata nie brakowało. Pomimo strachu ktoś musiał znaleźć lotkę i nie trzeba było długo myśleć, by wybór padł na mnie.

Obszedłem ogrodzenie, z tyłu domu w zasadzie go nie było. Siatka leżała na ziemi, zardzewiałe słupki krzywo wystawały, przypominając powbijanie wykałaczki. Przeszedłem przez umowną granicę, jakbym wchodził do siebie. Czułem, że robię coś niewłaściwego, ale mimo wszystko stawiałem kolejne kroki. Wprawdzie nie można było tego nazwać włamaniem, lecz wchodzenie na cudzą posesję bez zgody właściciela było, delikatnie mówiąc, niegrzeczne.

Starałem się robić jak największe kroki, skutecznie omijając kawałki szkła i rozrzucone graty. Miałem na sobie krótkie spodenki i trampki, przez co z łatwością mógłbym stać się celem dla wijącego się szkodnika. Słońce odbijało się od kawałków szkła rozrzuconych po całym podwórku. Starałem się uniknąć niechybnego, lecz trafiłem, szkło wbiło się w moją nogę na wysokości kostki. Jęknąłem najciszej, jak tylko mogłem, a z moich ust wydobył się przypadkowy wulgaryzm, którego, miałem nadzieję, nie usłyszał nikt z dorosłych. Byłem pośrodku drogi, więc odwrót mijał się z celem. Lotka powinna być kilka metrów przede mną. Gdy stawiałem kolejne kroki, usłyszałem trzaski łamanych gałęzi. Oglądnałem się zza siebie, lecz nie dostrzegłem

nikogo. Byłem sam, Emilka została na ganku. Wydawało mi się, że mogę bezkarnie wkroczyć na cudze podwórko i zabrać to co moje, jakby tak był skonstruowany świat.

Myliłem się.

– Dzień dobry, młodzieńcze.

Ze strachu niemal wpadłem w trawy. Głos rozległ się nagle i omal nie posikałem się w majtki. Gdy spojrzałem w prawo, skąd dochodził nieznamy głos, spostrzegłem Lapisa. Jego postura była jeszcze bardziej imponująca, stał w miejscu, gdzie wcześniej stała plastikowa szklarnia, jego broda odbijała światło, jakby stanowiła portal do innej czasoprzestrzeni.

– To pan?

– Tak, i zdaje się, że nie jesteś w swoim domu.

– Tak, to znaczy nie. – Nagle głos uwiązł mi w gardle. Nie potrafiłem pozbierać myśli. – Lotka wpadła nam w trawę. Wiem, że nie powinno się wchodzić na cudze podwórko, ale musiałem. To była nasza ostatnia lotka.

Moje słowa pędziły, jakby gonił je rozwścieczony pies. Poczuję się jak na spowiedzi, gdy niewygodna część dotycząca wstydliwych zachowań zostaje wypowiedziana w trybie ekspresowym, by największe przewinienie nie zostało wychwycone.

– Znalazłem ją, drogi chłopcze. Proszę, podejdź po nią.

– Pan tu mieszka?

Tym luźnym pytaniem starałem się rozładować poczucie popełnionego przestępstwa.

– Podobnie jak ty, jestem tu tylko gościem. Były właściciel był moim przyjacielem. Czasem odwiedzam to miejsce, myśląc o nim.

Podszedłem do obcego, nieśmiało wyciągając rękę. Dłoń mężczyzny była czarna, brud sprawiał, że z trudem można było dostrzec skórę.

– Dziękuję panu.

– Nie ma za co.

Okrzyki Emilki sprawiły, że poczułem się przyłapany na gorącym uczynku.

To dziwne, ale ten starzec sprawiał, że czułem się osobiście. Jakby dokonywał czynu nagannego, za który powinna spotkać mnie odpowiednia kara.

– Ktoś się o ciebie upomina.

– To Emilka. Moja... koleżanka.

– Chyba nie tylko koleżanka. – Szyderczy uśmiech zagościł na jego twarzy. – Bawcie się dobrze.

– Proszę pana?

– Tak, mój drogi?

– Szczepan! – Głos Emilki stawał się donioślejszy.

Jej irytacja, a może raczej obawa o mój los objawiała się coraz bardziej natarczywie.

– Już idę! – odkrzyknąłem przyjaznym tonem.

– Masz lotkę?

– Tak, mam. Już idę do ciebie.

Gdy odwróciłem głowę w stronę Lapisa, jego już nie było. Bezszelestnie wymknął się, pozostawiając mnie stojącego w rozkroku, jakbym został przyłapany przez dorosłego podczas masturbacji. Emilka pojawiła się przed zerwanym ogrodzeniem, patrząc na mnie jak na wariata.

– Z kim rozmawiałeś?

– Ja? Nie... Z nikim...

– Wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz.

– Wiesz. Czasem mówię sam do siebie. Ale nie mów nikomu o tym.

– Masz takiego zmyślnego przyjaciela?

– Tak jakby.

– Babcia przygotowała lemoniadę i świeżą drożdżówkę z truskawkami.

– Serio? Zgłodniałem już.

– Babcia powiedziała, że wypuści cię dopiero, jak będziesz najedzony.

Cała babcia Emilki. Gości traktowała jak swoje wnuki. W domu Emilki nigdy nie czułem się jak gość, byłem jednym z domowników. Nie krępowałem się, gdy musiałem skorzystać z łazienki, pomagałem w porządkach, a nawet w dojeniu krów. Lubiłem to, dodatkowo mogłem spędzać czas ze swoją sympatią, co było największą atrakcją, na jaką mogłem trafić.

Wychodząc z krzaków, potknąłem się o jedną z wystających gałęzi. Upadając, poczułem coś twardego w prawej kieszeni. Podczas upadku przedmiot wbił się w udo, sprawiając, że przeszył mnie ból.

– Nic ci nie jest?

– Nie. Tylko obdarłem sobie rękę.

– Chodź. Wyczyścimy, bo brzydko wygląda.

Nie odpowiedziałem. Twardziel musiał zagryźć zęby niezależnie od sytuacji. Zdrapałem skórę wzdłuż całej ręki, dodatkowo okazało się, że rana po szkłe była na tyle głęboka, iż potrzebne były szwy. Mama przyjechała po kwadransie. Była zmartwiona i trochę mi się oberwało, ale na szczęście jej złość szybko minęła. Gdy mama zaszywała mi ranę, położyłem ręce na udach, sprawiając, że dla postronnych wyglądałem na odpornego na ból. Po części było to prawdą, ponieważ nie odczuwałem zbyt dużego dyskomfortu.

Wówczas jednak to poczułem. Twardy przedmiot nadal znajdował się w mojej kieszeni. Bałem się, że jak go wyciągnę przy wszystkich, to mi się oberwie, choć sam nie wiedziałem za co. Pod pretekstem potrzeby fizjologicznej udałem się do ubikacji. W popłochu zasunąłem zamek. Wkładając dłoń do kieszeni, czułem, jak serce mi wali, miałem wrażenie, że pomieszczenie się zwęża, zacząłem się pocić jak nigdy dotąd. Przedmiot był niewielki, lecz twardy i kanciasty. Krawędzie były ostre, a powierzchnia chropowata. Gdy go wreszcie wyjąłem, zdziwienie przeszło przeze mnie niczym piorun. Kamień, zwykły kamień, jakich były miliardy. Dla mnie był to kolejny kamień. Kolejny, który pojawił się po kontakcie z Lapisem.

Teraz

Gdyby nie tabletki nasenne zapewne nie zmrużyłbym oka. Chemiczny wywar z hydrokcyzyny uzupełniłem nalewką Wiktora, którą zostałem poczęstowany przez bratową. Obudziłem się jeszcze bardziej zmęczony, niż byłem przed snem. Miałem zakwasy w nogach i obolałe prawe ramię. Jakbym poprzedniego dnia przebył solidny spacer z wielkim plecakiem, ale nic takiego miejsca nie miało. Moja aktywność fizyczna opiera się na zaspokajaniu życiowych potrzeb, niestety status kanapowca stał się mi zbyt bliski.

Zwlekłem się z łóżka tuż po ósmej, co dla domowników oznaczało stosunkowo późną porę. Z pewnością śniadanie będę musiał zjeść w samotności. Cisza na korytarzu potwierdziła moje przypuszczenia, każdy zajmował się już swoimi obowiązkami. W jadalni nie byłem jednak sam, spotkałem bratową; to dziwne, ale gdy myślałem o niej, widziałem ją właśnie w kuchni. Nigdy nie podzielałem stereotypowego myślenia na temat roli kobiety w życiu rodzinnym, sam dorastałem w domu, w którym kobieta głównie realizowała się zawodowo. Agnieszka jednak sprawiała wrażenie, że to dom jest jej ukochanym miejscem na ziemi, miejscem, w którym się spełnia. Zadovolone twarze dzieci i męża były dla niej czymś więcej niż tylko wypełnieniem roli matki i żony. Radość, jaka promieniowała od Agnieszki, sprawiała, że człowiek chciałby choć w pewnym stopniu poczuć to co ona. Być może dlatego tak bardzo Agnieszka przyciągała ludzi. Była ciepła i prawdziwa aż nadto.

- Chyba się wyspałeś? Na co masz ochotę?
- Na pewno na kawę.
- Nie na pusty żołądek.
- Najpierw porządne śniadanie, a potem kawa. Ciasto będzie akurat gotowe, więc zjesz świeżutkie.
- Zrobię sobie kanapki.
- Na pierwszej półce jest świeża kiełbasa od Wojasów.

Do smakoszy kiełbas z pewnością nie mogłem się zaliczyć, ale kiełbasa od rodziny Wojasów skusiłaby nawet zatwardziałego weganina. Wystarczyło uchylić lodówkę, by poczuć domieszkę przypraw, czosnku i wędzarni opalanej jodłami.

- To opowiadaj.
- O czym?

– Nie udawaj. O niej.

– Zawstydziałaś mnie, Aga.

Nigdy nie potrafiłem opowiadać o swoim życiu. Nawet najbliższym skrzętnie dawkowałem informacje na temat swoich przygód miłosnych.

– Nie udawaj, znam cię przecież. Zdjęcie przynajmniej możesz pokazać. Na Facebooku nadal masz status „wolny”, a w twoich znajomych Ania jest kilka.

– Okej, wygrałaś.

Wyjąłem jedno z najbardziej uroczych zdjęć wybranki mojego serca. Była to nasza wspólna fotografia z drugiej randki. Spędziliśmy wówczas popołudnie nad brzegiem Wisły. Spontaniczny piknik sprawił, że atmosfera szybko się rozluźniła, i to do tego stopnia, że miał miejsce nasz pierwszy pocałunek. To wówczas zrozumiałem, że Ania jest kimś więcej niż tylko piękną kobietą.

– No, no, no. Do kobiet to ty masz gust, mój drogi. Pewnie połowa miasta się za nią ogląda, jak idziecie razem.

– Wyłączając sporą część kobiet, gejów i zatwardziałyh aseksów, to tak.

– Dobrze jej z oczu patrzy. A to bardzo ważne. Wiem, jestem staroświecka, ale to są istotne rzeczy.

– Jest dobrym człowiekiem – przyznałem z dumą.

– To może przyznasz się wreszcie. To coś poważnego? Ale nie ściemniaj mi.

Mimika Agnieszki do złudzenia przypominała wyraz twarzy mojej mamy, gdy próbowała wydobyć z nas prawdę. Zabawne, ale być może z chwilą zmiany nazwiska kobiety w tej rodzinie zostawały obdarzone pewnymi cechami.

– To poważne, ale nie zamierzamy się spieszyć.

– Nikt ci nie każe się spieszyć. Nie spieprz tego po prostu.

– Nie zamierzam.

– Ja zmykam, muszę odebrać zasłony od krawcowej.

Bratowa rozkroiła dopiero co wyciągnięte z pieca ciasto. Para roznosiła zapach po całej jadalni, a ja w pośpiechu kończyłem ostatnią kanapkę. Zaparzac do kawy sprawiał wrażenie nieużywanego, jakby dopiero opuścił półkę sklepową. Ale wiedziałem, że to również sprawka Agnieszki. Porządek w tym domu był nieskazitelny.

Popijałem kawę, obiegając spojrzeniem jadalnię. Z wiszących na ścianach zdjęć przyglądała mi się rodzina. Moje zdjęcia przypadły na okres wczesnomłodzieńczy, gdy włosy na głowie dumnie targał wiatr, a twarz nie nosiła stygmatów czasu. Wyłącznie jedna fotografia pochodziła z okresu po szkole średniej. Była z wakacji po pierwszym roku studiów.

Tamtego lata przyjechałem do domu jako laureat stypendium, miałem już na koncie pierwszy wydany komis i całkiem przyzwoitą sumkę w skarbonce. Większość problemów bytowych moich rówieśników była dla mnie odległa. Nie byłem skazany na finansowanie przez rodziców.

Tamtego lata nie spotkałem Lapis, choć natarczywie krążyłem po lesie, by wywołać nieszczęście. Wówczas u mamy zdiagnozowano nawrót złośliwego nowotworu. Obiecałem jej rzucenie palenia, co niestety nie przyniosło długotrwałego skutku, kilka miesięcy później ponownie sięgnąłem po paczkę papierosów, na której czarny napis nabrał nowych barw. Tydzień później mama zmarła, na stypie paliłem fajkę za fajką i czułem się jak największy zdrajca na świecie.

Być może to była jedna z ostatnich chwil, gdy czułem, że może być jeszcze „normalnie” w moim życiu. Kiedy przyjechałem na wakacje, mama była jeszcze zdrowa, Lapis jawił się jako koszmar, który przeminął wraz z młodzieńczym wiekiem. Dziś siedziałem tutaj jako dorosły człowiek z dziecięcymi lękami. Ze świadomością, że zabiłem małą dziewczynkę i niosłem ze sobą zniszczenie.

Czy Ania będzie kolejną ofiarą mojej mrocznej natury? Czy żona Marka i mama już nimi były?

Czasem pytania, które człowiek musi przed sobą postawić, są na tyle niszczące, że już samo ich zadanie, jest gorsze niż odpowiedź.

– Widzę, że zostawili cię samego.

Głos taty wyrwał mnie z zamyślenia.

– Cześć. Agnieszka pojechała do krawcowej. A reszta... nie wiem. Gdy wstałem, już ich nie było.

– Reszta zajmuje się obowiązkami. Chyba nie zauważyłeś, ale jest środek tygodnia. Dzieci mają szkołę, inni pracę. Po prostu życie.

– Tak wiem, nie każdy żyje jak ja.

– Nie to miałem na myśli. Nie bierz tego do siebie, zawsze byłeś lekkoduchem. Artyści tak mają.

– Artyści? Miło, że uznajesz mnie za artystę.

– A nie jesteś nim?

– Sam nie wiem. Czasem mam wrażenie, że te komiksy to nic innego jak spowiedź. Rysuję sytuacje, które kiedyś przeżyłem lub których byłem świadkiem.

– To chyba nie odbiera ci miana artysty.

– Artysta to określenie dużego kalibru. Ludzie zbyt często rzucają nim na prawo i lewo. Czasem mam wrażenie, że artysta to puste i wyświechtane słowo.

– Ale w twoim przypadku jest na miejscu.

Tata usiadł naprzeciwko, dopiero w naturalnym świetle dostrzegłem, jak bardzo podupał na zdrowiu po śmierci mamy. Z dobrze zbudowanego mężczyzny pozostał wychudzony, posiwiały drobny człowiek.

– Może zmienimy temat.

– Dobrze, nie chciałem cię urazić.

– To nie tak. Czasem czuję się, jakbym okłamywał cały świat. Łącznie z samym sobą.

Tata przyglądał mi się badawczo. Doskonale znałem to spojrzenie. Wielokrotnie lustrował nim zarówno mnie oraz moich braci, jak i setki uczniów, nie raz dostrzegając prawdę skrytą pod powiekami. Potrafił w cudzych oczach wychwycić nawet najmniejszą namiastkę fałszu, której człowiek nie potrafił zauważyć w lustrze. Od feralnego lata przestałem być podatny na bycie rozczytywanym przez ojca. Nauczyłem się okłamywać cały świat. Być może dlatego, że sam chciałem uwierzyć w kłamstwo.

– Dobra. Co planujesz dzisiaj porabiać? Rozumiem, że twoja wizyta oznacza albo zapowiedź częstszych odwiedzin, albo wręcz przeciwnie.

– Poczułem, że muszę tu przyjechać. Nie było konkretnego powodu.

Kłamstwo.

Związek z Anią sprawił, że nie mogłem iść dalej przez życie, notując kolejne ofiary. Powrót do Kamieńca miał być pożegnaniem z przeszłością. Niezależnie od konsekwencji. Nie można było trwać w martwym punkcie do samej starości. Przyjechałem, by poznać siebie, poznać prawdę o Emilce, prawdę o Lapisie, a może tak naprawdę pogodzić się z samym sobą.

– Jadę do miasta. Po południu mamy spotkanie w ZNP, a wcześniej mam wizytę u gastrologa.

– To coś poważnego?

– Nie, rutynowa wizyta. Miewałem problemy z refluksem, ale już jest dobrze.

– Nadal bawisz się w spotkania z kolegami po fachu?

– Zawsze miło spotkać ludzi, którzy dzielą twoje doświadczenia. A to, że czasem pośpiewamy albo wybierzemy się w plener na wycieczkę, to już co innego.

– Zwykle kończy się na śpiewaniu przy kieliszku wódki.

– To tylko jeden kieliszek dla towarzystwa. A ja i tak nie piję, bo prowadzę. Zresztą... może wybierzesz się ze mną,

Uśmiech taty świadczył o chęci wpakowania mnie w grono nudnych ludzi po raz setny opowiadających tę samą historię. Wiedział, że wolałbym na mrozie odśnieżać pół wsi, niż słuchać wspominek ludzi, którzy zatrzymali się na początku XXI wieku, ale mimo wszystko postanowił zapytać.

– Wiesz, propozycja jest kusząca, ale powiem pas. – Uśmiechnąłem się szczerze na zaczepkę taty.

– Twoja strata, gdybyś zmienił zdanie, to wiesz, gdzie mamy siedzibę.

– Już jedziesz? Spotkania macie wieczorami.

– Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Do zobaczenia wieczorem. Cześć.

– Cześć.

Tata włożył wyjściową czapkę, po czym z gracją młodzieńca wyskoczył z domu, jakby wybierał się na spotkanie towarzyskie dekady. Jak bardzo samotny musiał się czuć, skoro te spotkania znaczyły dla niego tak wiele.

*

Długo zbierałem się, by wreszcie opuścić dom. Jedyne miejsce, do którego mogłem, a raczej musiałem, się wybrać, był kamień. Wychodząc z domu, poczułem, jak wiatr smaga mnie zimowym chłodem. Niebo przyjęło złowieszcze barwy, których żaden artysta nie potrafiłby dobrać. Pomimo wczesnej pory było wyjątkowo ciemno. Coś wisiało nade mną. Po raz kolejny. Panująca cisza miała w sobie coś niepokojącego, po kościach czułem, że wkrótce wydarzy się coś złego. Odwrotu jednak nie było, przyjechałem po to, by pójść do przodu.

Do kamienia czekał mnie około dwudziestominutowy spacer wolnym tempem. Niepokój sprawiał, że z każdym krokiem przyspieszałem, jakby przyciągała mnie niewidoczna siła. Las powodował, że czułem się bezbronny. Kilkucentymetrowa warstwa śniegu przysparzała mi pewnego dyskomfortu. Od czasu przeklętych wakacji miałem awersję do podłoża kryjącego niewidoczne pułapki. Gałęzie drzew zalegające od kilku wiosen przypominały stado ptaków, wiatr wskrzeszał je do życia, rozrzucając zalegający śnieg. Co chwilę do oczu wpadały mi płatki śniegu, drażniąc spojówki. Nauczony wczorajszymi doświadczeniami ubrałem się wyjątkowo ciepło. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio miałem na sobie tyle ubrań. Kalesony, grube spodnie, szalik pożyczony od taty, kurtka brata, bo moja nadawała się jedynie do przejścia z samochodu do domu. Nawet skarpety miałem cudze.

Minąłem znajome drzewo, na korze nadal widoczne były wryte znajome inicjały. A więc tylko kilka kroków dzieliło mnie od kamienia. Wystarczyło pokonać niewielkie wzniesienie, by być na miejscu. Rozglądałem się dookoła; choć wiedziałem, że to irracjonalne, ale wyczuwałem obecność Lapisa. To miejsce było z nim związane równie mocno, co z kamieniem.

Pokonawszy wzniesienie, dostrzegłem go. Kamień przysypał śnieg, lecz tworząc charakterystyczną kopułę, nadal wystawał ponad ziemię o dobry metr. Wolnym

krokiem zbliżyłem się, jakbym chciał uniknąć zbudzenia śpiącego niedźwiedzia. Kilka metrów, tylko tyle mnie dzieliło. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, nie wiedziałem, czego oczekiwałem, gdy wybierałem się w to miejsce, ale czułem, że muszę pojawić się tu raz jeszcze.

Padłem na ziemię.

Prawa stopa odjechała mi, zanim zdążyłem zareagować. Moja głowa podziwiała ciemne niebo, na którym nie było widać choćby śladu nadziei. Upadek nie był poważny, na stłuczonych czterech literach z pewnością pozostanie ślad w postaci siniaka, ale to było kompletnie nieistotne.

Podniosłem się, czując zażenowanie swoją pokracznością. Rękawem zrzuciłem śnieg. Chropowata powierzchnia kamienia była taka sama jak w moich koszmarach. Leżąca postać nadal miała przerażająco ludzkie oblicze. Nie potrzeba było wielkiej wyobraźni, by w krawędziach odnaleźć przerażenie uchwyconego nieszczęśliwca. Niezależnie od kąta, z jakiego się spoglądało, ludzkie kontury były wyraźne. Nie było bardziej wybitnego artysty od Stwórcy. Boska perfekcja widoczna była na każdym kroku – w barwach morskiej wody, powiewie wiosny lub urodzie kobiet. Chciałem wierzyć, że to nie klątwa, ale natura odlała twarz cierpiącego mężczyzny, a to, co widziałem, było jedynie przeniesieniem tego, co inni nazwali klątwą, przekuwając na mit powtarzany od lat. Chciałem, lecz nie potrafiłem.

Kucnąłem, łudząc się, że kamień z bliska stanie się mniej przytłaczający. Nadal jednak wydawał się rzeczą nieodgadnioną. Ściągnąłem rękawice, dłonią gładziłem powierzchnię niczym zboczeniec obmacujący obiekt swojej lubieżności. Bałem się tego dotyku jak diabeł wody święconej, lecz nic się nie wydarzyło, nie zamieniłem się w kamień, Lapis nie pojawił niczym dżin. To wszystko było wytworem mojej wyobraźni. Niczym więcej. Uznałem to za fakt.

Oddychałem, starając się złagodzić efekty ataku paniki. Ból głowy zatrzymał się na poziomie delikatnych objawów, wzrok powoli wracał do naturalnej ostrości. Odruch wymiotny przechodził, chyba najgorsze było już za mną. Wstając, po raz ostatni omiotłem wzrokiem okolicę. Cisza, pustka – to wszystko, co widziałem i słyszę. Żadnej paranormalnej siły lub materii nie doświadczyłem. Mogłem więc wracać do domu.

Droga powrotna stała się przyjemna. Nagle barwa nieba nie jawiła się już jako mroczna zapowiedź, drzewa przestały przypominać potwory żywcem wyjęte z bajek. To tylko las, to wszystko było wytworem mojej wyobraźni – bazą i nadbudową, którą kreowałem, niczym więcej. Teraz to wiedziałem.

Wracalem spokojnym tempem, nawet nie dostrzegajac, ze rodzinny dom pojawil sie na horyzoncie. Cisza, ktora zaklotal jedynie smagajacy wiatr, stala sie kojaca. Zbyt wiele rzeczy w zyciu zagluszalem halasem. Muzyka, gwarem miasta, pustymi rozmowami lub wiecznie wlyczonym telewizorem. Nie liczyla sie tresc, liczyl sie dzwiek zaklócajacy to, co moglo byc zbyt trudne, by zrozumiec.

Wchodzac na podwórko, czulem sie bezpiecznie, jakbym po wielu latach wrócił do miejsca, ktore bylo tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Usmiechnalem sie sam do siebie; mysl o wolnosc, ktora zyskalem dziki konfrontacji, byla bezcenna. Będąc na ganku, zobaczyłem uchylone drzwi. To dziwnie, bo przed domem nie było żadnego samochodu poza moim. Zawsze sprawdzałem kilkakrotnie, czy zamknąłem drzwi i okna – takie moje natręctwo, z którym nie chciałem walczyć. Podeszedłem cicho, jakbym to ja był intruzem na cudzej ziemi, i czekałem, choć sam nie wiedziałem na co. Wreszcie zdecydowałem się na standardowe wołanie.

– Halo, jest tu kto?

Nikt nie odpowiadał.

Zanim przekroczyłem próg, czulem, ze na cos nadepnalem. Cofnałem stope i dostrzegłem to. Kamień zabił moją namiastkę bezpieczeństwa. Koszmar na nowo rozgościł się w moim zyciu.

Wtedy

Po incydencie z lotką musiałem obiecać mamie, że nie będę się pakował w tarapaty. Miałem kompletny zakaz wchodzenia na terytorium należące do kogoś obcego. Poza tym nie poniosłem żadnej kary z powodu niesfornej wycieczki. Wspomiane popołudnie zamieniło się w wieczorne spotkanie dwóch rodzin. Rodzice Emilki po skończonej pracy oraz mój tata dołączyli do wszystkich.

Wraz z Emilką wykorzystaliśmy dodatkowe wspólne godziny. Jej mama pomogła nam zbudować amatorski namiot. Wystarczyło kilka koców, kij i linka służące do wieszania prania, by stworzyć pomieszczenie mogące przysporzyć niezrównanych emocji. Bawiliśmy się w zgadywanki. Każde z nas miało podać trzy atrybuty przydatne do odgadnięcia, jaka to rzecz. Oczywiście wybory padały na przedmioty mało ciekawe – odchody, budę psa, kanapkę lub apteczkę. Z każdą kolejną zagadką coraz bardziej wkręcaliśmy się w zabawę. Postanowiłem zmienić reguły i wyprowadzić Emilkę na manowce. Nikt nie powiedział, że rozwiązaniem zagadki nie może być osoba.

- No to teraz ja. – Upiłem łyk coli, by zyskać na czasie. – Ale będzie trudne.
- Takie lubię najbardziej.

Po minie Emilki stwierdziłem, że jest gotowa na wyższy *level* zabawy.

- Ma czarne barwy i biały pasek. Często jest w kościele. I... kojarzy się z różańcem.
- Hmm... może to Pismo Święte, ale czekaj.
- Może ci podpowiem.
- Okej, dawaj.
- Jest człowiekiem.
- Serio? Rzeczy zgadywaliśmy.
- Ale nikt nie powiedział, że rozwiązaniem zagadki nie może być człowiek.
- Racja.

Swoją wskazówką chciałem podsunąć Emilce odpowiedź. Czułem, że moje zagranie było nie fair, więc naprawienie przewinienia było obowiązkiem.

- Chodzi o księdza?
- Tak.
- No to... ma łopatę. Często chodzi w garniturze. I dobrze zarabia.
- Yyyyy... grabarz?
- Miałeś łatwe.

Uśmiech Emilki świadczył o tym, że nowe reguły gry przypadły jej do gustu.

– No to zadaj mi trudne.

– Ale takie bardzo trudne?

– Bardzo. – Wziąłem łyk coli niczym wytrawny pokerzysta sięgający po whisky przed kolejnym rozdaniem.

– Jest starszym człowiekiem. Jest twoim przyjacielem. A ja nigdy go nie widziałam.

– Michał? Mój kolega z Rzeszowa, którego poznałem, jak byłem u cioci, ale zaraz, zaraz... on nie jest stary.

Chociaż był rok starszy ode mnie, to ta odpowiedź i tak pasowała. Uwaga, odpowiedziałem:

– Michał z Rzeszowa. Ale przecież ty go nie znasz.

– Źle.

– Jak to źle?

– No źle.

– Znasz wszystkich moich przyjaciół. Zresztą mam tylko kilku.

– Ale chodzi o starego człowieka.

– Jak starego?

– Tak jak mój dziadek.

– Co?!

– Uhu.

Kiwnięcie głową pozostawiło mnie w uczuciu bezradności. Nie miałem pojęcia, o kogo chodzi.

– Poddaję się. Nie wiem, o kogo chodzi.

– Lapis.

Musiałem się przesyłzać. Emilce musiało się coś pomylić.

– Kto?

– Lapis... czy jakoś tak.

– Skąd znasz to imię?

– To nie imię.

– Nazwisko?

– Nie wiem, Szczepan.

– To skąd je znasz?

– Sam mówiłeś.

– Ja?!

– Tak, przez sen, kiedy u mnie nocowałeś.

Poczułem, jak zalewa mnie fala gorąca. Wszystko się kręciło. Namiot, Emilka, piekąca ranna. Było mi duszno i nie miałem czym oddychać. Oddychałem łapczywie, lecz płuca wpuszczały jedynie odrobinę tlenu. Gorąco rozlewało się po moim ciele, coś niewidocznego ciągnęło mnie w dół.

Aż upadałem.

Ostatnie, co pamiętałem, to twarz Emilki. Pełna zagubienia i strachu.

Gdy się obudziłem, było już jasno, a na dodatek znajdowałem się w swoim łóżku. Spojrzałem pod kołdrę, miałem na sobie nową piżamę, którą mama kupiła mi podczas ostatniego wyjazdu do Krakowa. Do tej pory jej nie wkładałem, bo było mi szkoda; wzory Supermana – to był prawdziwy skarb. Do pokoju wszedł mój tata. Jakby warował przy drzwiach. Powiedział mi, że zemdlałem poprzedniego wieczoru, podobno miałem gorączkę i mama dała mi jakiś zastrzyk. Emilka mogła mnie potem odwiedzić, jeśli mi się nie pogorszy. Ze względu na mój stan mama wyjątkowo miała przyjść wcześniej z pracy. Dodatkowo tata powiedział, że zajmie się mną Wiktor, który już wrócił, a on pojedzie do miasta i przywiezie mi najnowsze komiksy o Spider-Manie.

Starałem się pokazać tacie, że ze mną wszystko w porządku. Przecież nie chciałem spędzić wakacyjnego czasu zamknięty w czterech ścianach. Na to akurat miałem czas podczas roku szkolnego. Pragnąłem jednak na chwilę zostać sam. Gdy tata wreszcie wyszedł, rzuciłem się do przeglądania pokoju. Zarówno pod poduszką, jak i w innych zakamarkach nie było kamienia. Może zagadka, którą zadała mi Emilka, również była moim wymysłem powstałym w efekcie gorączki?

Zwlokłem się z łóżka z gracją młodego kota, na palcach delikatnie doskoczyłem do drzwi. Dyskretnie sprawdziłem korytarz. Jedyne odgłosy dobiegały z dołu. Tata z Wiktorem gadali o wczorajszym meczu. Dyskretnie podbiegłem do stolika. Telefon miał kilka metrów luźnego kabla, by każdy, kto chciał mógł rozmawiać ze swojego pokoju. Rodzice byli świadomi dorastania swoich synów i ich buzujących hormonów.

Numer do Emilki znałem już na pamięć. Wystukałem go drżącymi palcami. Po kilku sekundach i bezdusznych dźwiękach świadczących o próbie połączenia doczekałem się reakcji.

- Tak słucham? – Głos babci był jak zawsze ciepły i serdeczny.
- Dzień dobry. Czy jest Emilka?
- Szczepan?
- Tak, to ja, proszę pani.
- Jak się czujesz? Bardzo się o ciebie martwimy.
- Już lepiej.

– Zaraz dam ci Emilkę.

Babcia zawołała dziewczynkę doniosłym głosem. To dziwne, ale gdy chodziło o wnuki, starsi ludzie potrafili popisać się żywotnością młodzieńców.

– Cześć, Szczepan!

– Cześć.

– Jak się czujesz?

– Już dobrze.

– To super. Jak mi babcia pozwoli, to odwiedzę cię później.

– Super. A mogłabyś mi powiedzieć, jaka była ostatnia zagadka?

– Zagadka?

– Tak, chodzi mi o ostatnią, którą zadałaś. Wiem, że to głupie, ale chciałbym wiedzieć. – W moim głosie słyszalna była nuta niepokoju.

Czułem, że zarażam nią swoją rozmówczynię niczym śmiertelnym wirusem.

– Ostatnia? Hm, nie pamiętam.

– Na pewno?

– Tak, potem zemdląłeś. Chyba ostatnia była moja. Ta... Wiem! Ta o grabarzu.

– Ta była przedostatnia.

– Nie. Była ostatnia, potem zemdląłeś.

– Naprawdę nie pamiętasz? Emilka?!

– Tak, nie pamiętam. Jedynie tę o grabarzu.

– Aha.

– Dlaczego pytasz?

– Sam nie wiem. To przyjdiesz do mnie?

– Już pytam babcie.

Zanim Emilka odpowiedziała, usłyszałem, jak starsza kobieta mówi, że w odwiedzinie do chorego trzeba iść z jakimś przysmakiem.

– Tak, przyjdę.

– Okej, no to pa.

– Pa, przyjdę po obiedzie.

Gdy odkładałem telefon, zrozumiałem, że rozmowę przeprowadziłem w niewłaściwy sposób. Zamiast zapytać o zagadkę, powinienem był wprost zapytać o Lapisa. Na szczęście ten błąd postanowiłem naprawić po południu.

Teraz

– Jest ktoś tutaj?

Zamiast odpowiedzi głucha cisza powróciła jak bumerang. Półmrok panujący w przedpokoju sprawiał, że chciałem chwycić po coś do obrony. Odruchowo sięgnąłem po parasolkę zawieszoną na wieszaku. Musiałem wyglądać groteskowo, skradając się do rodzinnego domu, trzymając prowizoryczną broń.

– Halo?

Nadal bez odpowiedzi.

Sprawdzałem po kolei każde z pomieszczeń, w jadalni wszystko wyglądało na nienaruszone. Kubek po kawie wciąż znajdował się na stole; gdyby Agnieszka zjawiała się przede mną, z pewnością by mi się oberwało, a kubek już stałby na swoim miejscu, czysty i suchy.

Na dole nikogo nie było, a skrzypiąca podłoga zdradziłaby kroki intruza na górze. Nawet jeśli ktoś był w domu pod moją nieobecność, to już zdążył się ulotnić. Odłożyłem parasolkę, na obronę przyjdzie jeszcze pora. Być może to idiotyczne w obliczu potencjalnego zagrożenia, ale najpierw zabrałem się do posprzątania po sobie. Choćby świat się walił, to wszystko musiało być na swoim miejscu. Była to maksyma naszej rodziny niezależnie od tego, kto był gospodynią domu.

Sprawdziłem drzwi, zamek wyglądał na nienaruszony; jeśli ktoś dostał się do środka nieproszony, musiał mieć własny klucz. Postanowiłem, że poczekam do powrotu wszystkich domowników, nie wspomnę o tym incydencie, by nie robić zbytecznego fermentu. Nie wiedziałem, co wyrządziłoby większe zło – niesłuszne zamieszanie czy faktyczna obecność obcego w naszym domu.

Siedząc w jadalni, czułem otaczającą mnie pustkę.

Jakbym trafił do wnętrza własnej głowy. Cisza przytłaczała jeszcze bardziej niż hałas, w którym żyłem od lat. Dochodziła trzynasta. Godzina młoda, a domowników wciąż nie było. Nie przyjechałem tutaj, by siedzieć sam w czterech ścianach. Liczyłem na przegonienie lęków, wyrzucenie starych koszmarów. Po powrocie z lasu wciąż tkwiłem w martwym punkcie. Nadal nie wiedziałem, co jest rzeczywistością, a co nadbudową ciągnących się od dzieciństwa strachów i wyrzutów.

Nie chciałem kolejnych minut spędzonych sam na sam ze swoimi domysłami, których nie potrafiłem odróżnić od wytworów wyobraźni.

Wyszedłem z domu i zamknąłem drzwi, po czym kilkakrotnie nacisnąłem na klamkę. Wróciłem się kolejny raz, by sprawdzić to, co parę sekund temu zostało sprawdzone.

Do wsi zawiodła mnie zwykła ciekawość. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio szwendałem się tu tak beztrosko. Gdy wracałem ze studiów, unikałem samotnego wyjścia z domu, obawiałem się konfrontacji z kolegami, pytań, co u mnie słychać i co się ze mną działo. Zawsze miałem tuzin kłamstw, które wraz z prawdą miały tworzyć wiarygodną opowiastkę. Dziś wiedziałem, że muszę wrócić do starego schematu. Sama prawda była zbyt bolesna i nie dawała odpowiedzi.

Niebo stało się łagodne, ciemne chmury rozgonił wiatr. Temperatura zrobiła się przyjemna, czułem miłe skrzywienie z każdym krokiem. Kilka psów dopadło mnie, obwąchując i sprawdzając, czy należę do swoich. Niestety nie miałem przy sobie żadnego przysmaku, więc nadal pozostałem obcym, ale na szczęście nie na tyle obcym, by oberwać.

Im bardziej wchodziłem w głąb rodzimej miejscowości, tym bardziej dostrzegałem upływ czasu. Ludzie, którzy mówili „dzień dobry”, z trudem poruszali się o własnych siłach. Brak perspektyw wyganiał do większych miast. Życie tutaj oznaczało wejście w utarte schematy. Ciężka, fizyczna praca, tendencja do alkoholizmu, funkcjonowanie skupione wokół dwóch miejsc – pracy i domu. Niektórym to odpowiadało, po dwudziestym roku życia żenili się z pierwszą poważną dziewczyną, wykonywali pracę, do której niepotrzebne było wykształcenie, lecz umiejętności i obycie w piciu. Gdy ktoś wychowywał się w takiej rodzinie, trudno mu było wybrać własną ścieżkę. Bo znał tylko jedną drogę. Rodzice oczekiwali od dzieci jedynie tego, by zdawały do kolejnej klasy, zainteresowania były fanaberią. Koło się kręciło, a stare tryby zostawały zastępowane przez nowe powtarzające stare błędy i schematy.

Moja obawa dotycząca spotkania dawnych znajomych była przesadzona, część, podobnie jak ja, zniknęła wraz z osiągnięciem dojrzałości, inni pracowali od świtu do nocy. Pozostali okupowali sklepy, przepijając zasiłki społeczne. Nic odkrywczego. Na szczęście ostatnia grupa właśnie albo się upijała, albo odsypiała picie do późna. Przechodziłem przez wieś niczym obcy, jakbym nie miał korzeni i przeżytych lat na tej ziemi.

Na rynku rozłożyli się handlarze obwoźni. Dobiegające rozmowy świadczyły o ukraińskim pochodzeniu sprzedawców. Po naszej lodziarni pozostało jedynie wspomnienie i stary szyld z wyblakłymi od słońca literami. Wewnątrz znajdowały się rzędy wieszaków, kilka kobiet przeglądało kolejną alejkę, unikając się, jakby były wybuchającymi substancjami. Napis na drzwiach sugerował sporą okazję – „DZIŚ NOWY TOWAR, -20% NA TOREBKI”. Obok znajdował się pub, dawniej była to

zwyczajna knajpa, gdzie mordobicie było na porządku dziennym. Dziś lokal przypominał te miejskie, w których prędkiej można było spotkać parę na randce niż osiedlowych żuli. Pomimo adwentu naszała mnie ochota na piwo. Sprawdziłem telefon, brak odebranych połączeń, a więc los również sugerował mi odwiedzenie baru.

Gdy wszedłem do lokalu, dopadał mnie przyjemny zapach świeżo parzonej kawy. Dawniej jedyną kawą, którą tu podawali, była sahara zalana ledwo ciepłą wodą. Dziś znajome marki zdobiły blat, a potężny ekspres świadczył o poważnym podejściu do tematu.

– Dzień dobry – powiedziała barmanka z olbrzymim dekoltem.

– Dzień dobry – odparłem.

Zasiadłem przy stoliku znajdującym się w kącie. Miałem widok zarówno na salę, jak i na zewnątrz. Lubiłem mieć kontrolę nad sytuacją. W lokalu znajdowało się kilka osób. Para małolatów, która z pewnością nie miała jeszcze osiemnastki, lecz popijała piwo jak starzy wyjadacze. Dwóch mężczyzn siedzących obok ubikacji dyskutowało na temat opozycji, a ich odmienne poglądy polityczne sprawiały, że bluzgi stawały się coraz donośniejsze. Dwóch kolejnych mężczyzn zajmujących miejsca przy barze przypominało posągi, o których zapomniał kustosz. Obaj mieli minimalną ilość piwa w kuflach, lecz ograniczony budżet powodował, że spędzą tutaj jeszcze kilkadziesiąt minut.

Starałem się zaznajomić z nowym wystrojem lokalu, lecz barmanka przywróciła mnie do rzeczywistości. Stanęła nade mną, kręcąc biodrami, na ustach miała świeżą szminkę, jej cera była delikatna, jakby dopiero co wróciła z salonu kosmetycznego. Fartuch szpeciła żółta plama, co kontrastowało z perfekcją całości. Nieświadomie lustrowałem ją od stóp do głów, choć byłem świadomy, że w Krakowie czeka na mnie piękna kobieta. Kelnerka miała na oko dwadzieścia kilka lat, blondynka z mocnym makijażem. Z pewnością kojarzyłem ją jako dzieciaka płaczącego się po wsi. Na pewno była uczennicą taty i pacjentką mamy. Dziś patrzyła na mnie jak na gościa, który w zamian za podziwianie jej walorów zapewni jej solidny napiwek.

– Co dla pana?

– Żywca białego.

– Uhu. Coś jeszcze?

– Nie. Tylko piwo – odparłem, unikając kontaktu wzrokowego.

– Pan w odwiedzinach?

– Proszę?

– Nie jest pan stąd.

– Jestem. Wychowałem się tutaj. Ale mieszkam w Krakowie.

- Nie kojarzę pana, a spędziłam tutaj całe życie.
- Ewcia, skarbie nasz, to przecież młody Klemens, syn pana dyrektora i pani lekarki
- przemówił jeden z posągów, co mnie nieco zdziwiło.

Dopiero teraz poznałem tę twarz. Jego syn był moim kolegą z klasy, świetnie grał w nogę i nauczył mnie podcinać piłkę, by strzelać jak Panenka.

- Dzień dobry, panie Ciechowski.
- Cześć, młody, co tam u taty?
- Wszystko dobrze, dziękuję.
- Lata cię nie widziałem. Podobno w Krakowie się rozgościłeś.
- Tak wyszło.

Barmanka przyglądała mi się z zainteresowaniem, musiałem uważać, by nie przyglądać się jej biustowi, który kusił jak dzieciaka słodycze w gablocie.

- Nie bądź taki skromny. Twój stary mówił, że odnosisz sukcesy. Twoje te komiksy, czy co tam piszesz, można kupić nawet w Japonii.

Nie potrafiłem odpowiedzieć, nigdy nie dopuszczałem do siebie myśli, że rodzice są ze mnie dumni. Zawsze mnie wspierali i dopingowali, ale czułem, że robią to bardziej z miłości niż z przeświadczenia, że moja droga życiowa jest właściwa.

- Komiksy? To przecież dla dzieci, przy erze komputerów muszą zniknąć – mawiała mama.

Z czasem stała się pierwszą, którą opowiadała o moich nowych wydawnictwach podczas spotkań rodzinnych. Sprawiała mi tym nieograniczoną radość, lecz nie do końca ufałem tej dumie.

- Kojarzę pana. Ale jako chłopaka, w którym podkochiwała się moja starsza siostra. Widzę, że nie ma pan obrączki – wypaliła barmanka.

– Pani również.

Szach-mat.

Teraz się odczepi.

Pani powodująca erekcję odeszła, puszczając mi oko. Z pewnością liczyła na spory napiwek, bo na brak wielbicieli jej urody raczej nie mogła narzekać.

- Pozdrów tatę, porządny z niego chłopak – dodał mężczyzna przy barze, wznosząc toast niemal pustym kuflem.

Po kilku minutach zjawia się kelnerka z piwem.

- Proszę dać tamtemu mężczyźnie jeszcze jedno, na mój koszt. Nie mogłem postąpić inaczej, za dobre słowo człowiek zasłużył na drobny poczęstunek.

– Okej.

Piwo było przyjemnie zimne, pszenna goryczka rozchodziła się po podniebieniu. Od kiedy w lokalach wprowadzono zakaz palenia, unikałem wypadów na piwo z wyjątkiem ogrodów piwnych. Tym razem nie czułem potrzeby zapalenia. Przez szybę obserwowałem gnających za codziennością ludzi, byli jak szczury wypuszczone z klatki. Matka siłowała się z dzieckiem, które nie chciało iść dalej, a jakaś kobieta z wielkim trudem mierzyła się z ciężkimi reklamówkami. W pierwszym odruchu miałem ochotę ruszyć jej na pomoc, lecz po chwili dostrzegłem jej partnera ignorującego wysiłek swej wybranki. Zwyczajna codzienność, której już nie dostrzegałem, jawiła mi się jak sen. Dopiero teraz doszło do mnie, że wraz z ucieczką przed koszmarami uciekłem również przed zwykłym życiem. Świat komiksów zastąpił mi realność, lecz czy było coś w tym złego?

Z zamyślenia wyrwał mnie huk otwieranych drzwi. Do lokalu, niczym rozpędzony byk, wszedł młody Grzelak.

– Dzy dzyy – wymamrotał z trudem.

– O nie! Ty tu nie masz wstępu! – grzmiała srogo barmanka, nie dając chłopakowi dojść do słowa.

– Ewuś, daj mu spokój. – Drugi z posągów stanął w obronie chłopaka.

To był nasz John Lennon. Nikt tak naprawdę nie pamiętał jego imienia i nazwiska, lecz każdy nazywał go Lennonem ze względu na podobieństwo do legendarnego Brytyjczyka, choć szczerze wątpiłem, by któryś z tych pijaków kiedykolwiek widział zdjęcie lidera Beatlesów.

Lata samotności odbiły się na Romku. Od momentu śmierci matki zagłada do niego jedynie opieka społeczna. Ojciec miał w sobie więcej alkoholu niż czystej krwi. Chłopak nigdy nie był chucherkiem, ale teraz jawił się jako olbrzym. Wielkie barki, solidnie rozbudowana klatka piersiowa. Przypominał ogra. Młodzieńczy niestaranie wygolony zarost w połączeniu z dogłębnie zaawansowaną łysiną sprawiał, że z trudem można było odgadnąć jego wiek. Ja jednak wiedziałem, że w zasadzie byliśmy rówieśnikami. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo karykaturalnie brzmiał przydomek Lennon.

Gdy Romek mnie dostrzegł, jego twarz zmieniła wyraz. Z posępnej miny nie zostało nic, chłopak nagle zarechotał jak dziecko. Naiwny uśmiech zdobił jego twarz, chłopak wyglądał, jakby w drzwiach spotkał Świętego Mikołaja. Barmanka starała się delikatnie wypchać Romka z lokalu. Wyglądało to żałośnie, bo młody Grzelak był dwukrotnie większy od niej i nawet bez wysiłku radził sobie z dziewczyną.

– Ewuś, on będzie grzeczny, zobaczysz!

– Pan się nie wtrąca!

– Pani Ewo, na moją odpowiedzialność.

– Jest pan pewien?

– Tak, poproszę jeszcze jedno dla mnie i bezalkoholowe dla Romka. Proszę. – Popatrzyłem porozumiewawczo na barmankę, licząc, że zmieni zdanie.

– Okej. Ale tylko jedno, Romek.

Romek dalej rechotał, jakby dostał prezent od Świętego Mikołaja. Odsunąłem krzesło, zapraszając go, by dosiadł się do mnie. Ten zajął wskazane miejsce, przyglądając mi się uważnie. Z nadmiaru emocji z jego ust uchodziły bąbelki śliny. Chłopak coś mówił, lecz kompletnie nie byłem w stanie odgadnąć, co miał na myśli.

– To ty... y... ty.

– Tak, to ja Romku.

Barmanka postawiła kufel i położyła paragon na stole. Kątem oka dostrzegłem, że nabiła piwo ekstra, nie licząc tych, które kupiłem mężczyźnie przy barze i Romkowi. Widocznie zostałem opodatkowany za sprzeciw.

– Co tam u ciebie, Romku?

– Mmama i taaata nie żyją.

– Wiem, bardzo mi przykro, stary.

Po chwili uświadomiłem sobie, że wymienił oboje rodziców. Widocznie musiałem coś przegapić albo Romek uśmiercił już ojca, co pewnie nie było zbyt wielkim faux pas w tym przypadku.

– Dzi... dzi... dzięki... – Wziął spory łyk piwa, oblewając nieco kurtkę.

Czuć od niego było nieprzyjemną woń brudu i fekaliiów. Widać było, że chłopakowi przydałaby się troska i zainteresowanie. Niestety pozostał sam na tym świecie.

Obaj milczeliśmy, nawet z dawnymi kolegami nie miałbym o czym rozmawiać, a tym bardziej z Romkiem, z którym nie łączyła mnie zbytnia znajomość.

Po chwili ciszy, ku mojemu zdziwieniu, chłopak rozpoczął rozmowę.

– Cooo słyszeć u ci... ciebie?

– W porządku, praca i w sumie tyle.

– Wiesz, że mninie tuuu... tuu nie lubiom.

– Nie gadaj głupot. Ludzie cię lubią, tylko nie zawsze to okazują.

– Nie. Robiiąąąą mi na złośććć.

– Jak?

Chłopak nie odpowiadał, schował twarz, lecz dostrzegłem łzy w jego oczach.

– Romek, powiedz, jak ci robią na złość? Możesz mi zaufać, nikomu nie powiem.

– Kaaam.

– Co?

- Kamieniiee.
- Kamienie? Ale co kamienie?
- Kaaammieniee mi podkkładajooo.
- Jak to ci kamienie podkładają?

Głos Romka był cichy, więc i ja mówiłem szeptem, choć lecąca z głośników Beyoncé skutecznie zagłuszała wszelkie rozmowy.

- Podddd... poddd podusske.
- Pod poduszkę? Nie rozumiem.
- Chcccaa, bymmm sieee wyniosłł.

Ślina ciekła z ust Romka niczym deszcz z rynny. Starłem się powoli analizować słowa młodego Grzelaka, lecz wszystko mieszało mi się w głowie. Skoro Romek znajdował kamienie pod poduszką, to nie byłem sam.

Od początku koszmaru uważałem, że to moje prywatne piętno. Że nikt poza mną nie doświadcza mocy Lapisa. Pomimo że oprócz mnie jeszcze co najmniej jedna osoba miała z nim kontakt.

Wtedy

Wakacyjne dni mijały z zawrotną prędkością. Podobno wszystko, co miłe, ulatywało w okamgnieniu i trudno było się z tym nie zgodzić. Sytuacji z zagadką Emilki jeszcze nie wyjaśniłem. Tamtego popołudnia dostałem gorączki i Wiktor musiał zadzwonić, by Emilka nie wybierała się na odwiedziny.

Po dwóch dniach mój stan poprawił się na tyle, że rodzice pozwolili mi wyjść. Nie powiedzieli, co konkretnie mi było. Uznałem, że to i tak bez znaczenia, skoro mogłem już opuścić dom. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po wyzdrowieniu, było oczywiście pójście w odwiedziny do Emilki. Szedłem radośnie, rana na nodze nadal piekła i z każdym krokiem dawała o sobie znać, lecz radość ze wspólnej zabawy była bezcenna.

Mijając przydrożną kapliczkę, dostrzegłem Romka stojącego pod drzewem. Chłopak pomachał do mnie, co uznałem za zaproszenie. Nie chciałem marnować czasu, ponieważ dostałem ściśle wytyczne od mamy, co mi wolno i ile mam czasu. Dołączanie do Romka oznaczałoby więc złamanie danego słowa. Rzadko sprzeciwiłem się rodzicom; jeśli już coś obiecałem, to niemal zawsze się z tego wywiązywałem. Podobno wyjątek potwierdzał regułę. Ale to jeden z największych truizmów ludzkości. Skoro był wyjątek, to nie było reguły. I tym razem po raz kolejny dowiodłem, że słowa rodziców to jedno, a moje zachowanie to drugie.

Rozglądnałem się dookoła niczym złodziej szykujący się na włam. Drzewo, pod którym stał Romek, znajdowało się pomiędzy dwoma polami. Pierwsze należało do rodziny Romka, było zaniedbane i z trudem można było stwierdzić, co w zasadzie tam rośnie. Drugie należało do rodziny Lisów, puste krzaki po truskawkach świadczyły o środku wakacji.

Gdy podszedłem do Romka, ten przypominał mumię. Nawet nie drgnął, kiedy stanąłem obok niego. Na jego twarzy malowało się przerażenie, oczy miał zamglone. Sprawiał wrażenie osoby będącej w transie, jakby ktoś odprawiał na nim rytuał voodoo.

– Cześć, Romek – przywitałem się ja najcieplejszym tonem.

Chłopak nie odpowiedział. Nadal stał jak wryty. Na jego czole pojawiły się krople potu, choć obaj staliśmy w cieniu gwarantującym przyjemny chłód.

– Romek? Co robisz?

Poczułem, jak niepokój wkrada się do mojej głowy. Cisza bywała bardziej przerażająca od krzyku. Tym bardziej u osoby, która raczej nie milczy.

– Toooo...

– Co?

– Tooo jest w lesie.

– Ale co?

– Idziemy zoobacyc?

Poczułem, że lepiej odpuścić. Pakowanie się w nowe problemy, gdy ledwo się wyszło z jednych, nie było zbyt rozsądne. Ale kto powiedział, że dzieci są rozsądne? Robią to, co podpowiada im chwila. Nagle głos rodziców przemiął, wyzerowałem swoje myślenie.

Witaj, przygodo!

– No chodźmy.

Ruszyliśmy przez pole Lisów, które z bliska wyglądało jak pobojuwisko. Ograbione z owoców krzaki przypominały, że za kilka tygodni wróci szkoła, a z nią nuda i obowiązki.

Wchodząc do lasu, poczułem, jak wilgoć otula moje ramiona. Spocony podkoszulek nagle sprawiał dyskomfort. Komary doskakiwały z natarczywością ulotkarzy przed Galerią Krakowską. Starałem się zabijać każdego komara, którego poczułem na skórze, lecz po kilku minutach zrozumiałem, że to walka z wiatrakami.

– Romek, co ma być w lesie?

– Zobacys.

Zabawne, ale dałem się zaciągnąć przez upośledzonego chłopaka, który być może pomylił swoją wyobraźnię z rzeczywistością, do lasu, który być może nie zawierał niczego poza tym, co każdy widział i słyszał.

Niemniej coś podpowiadało mi, by iść z Romkiem, nawet jeśli to nie miało sensu.

Do tej pory rzadko wchodziłem do lasu od tej strony. Swoją część lasu znałem na wylot, wiedziałem, gdzie wystają korzenie przykryte ściółką, gdzie jesienią można znaleźć grzyby oraz przede wszystkim gdzie znajduje się przeklęty kamień. Ten las był jak kieszeń w cudzych spodniach, strach było włożyć rękę, ale kusił tym bardziej, im dłużej spodnie opinały pas.

– Szczeppaaan, boiiiszz se?

– Nie, nie wiem, czego mam się bać.

– Jeeego.

– Co? – zapytałem zdecydowanie za głośno.

Spojrzałem na Romka, stanął jak zamurowany. Jego twarz ponownie nabrała przerażającego wyrazu, dolna warga drgała jak wahadło, a w oczach pojawiły się łzy. Odwróciłem głowę, by zobaczyć, co tak przeraziło chłopaka. Kilka metrów przed nami stał on, Lapis. Przygarbiony, oparty o laskę przypominał Gandalfa z *Hobbita*. Jego twarz była brudna, jakby za pomocą ubioru starał się zlać z scenerią.

– Dzień dobry – powiedziałem nieśmiało.

Z trudem przełknąłem ślinę. Wypowiedzenie dwóch słów kosztowało mnie wiele odwagi.

– Dzień dobry, chłopcy. Chyba zabłądziliście.

– Tak... Przepraszamy. Prawda, Romek?

Gdy spojrzałem na Romka, ten dygotał, jakby miał wysoką gorączkę. Na jego kroczu pojawiła się plamka, która w okamgnieniu się powiększyła. Jego buty były mokre od żółtej cieczy, poczułem zapach odchodów. Nie musiałem zgadywać, do kogo należą.

– Romek?

– Chyba kolega jest nieśmiały. Ciebie już znam, ale jego nie.

– To mój kolega, Romek. Romek, no weź się przedstaw.

Ten nadal milczał. Zapadł się w sobie, jakby stał się kamieniem.

– Niegrzecznie jest milczeć. Równie niegrzeczne jest wejście do cudzego lasu.

– To pana las?

– Nie powiedziałem tego.

– A wie pan, do kogo należy las?

– Może wiem. Może jest mój. A może nie ma właściciela.

– Każdy las do kogoś należy. Tata mówił mi, że wszystko ma jakiegoś właściciela.

– Kamienie też do kogoś należą?

– Hm... kamień leży w lesie, więc należy do właściciela lasu.

Zagadka, którą postawił mi Lapis, była polem minowym. Czułem, że mężczyzna tylko czeka, by mnie zagiąć, ale chyba udało mi się wyjść obroną ręką. Niestety, tylko tak mi się wydawało.

– Ptak, który zasiada na drzewie, też należy do właściciela lasu?

– Nooo... nie.

– Ale przecież znajduje się w cudzym lesie podobnie jak kamień.

– Ale...

– Podobnie jak wy.

– My... tylko weszliśmy do lasu.

– Znasz historię kamienia, tego kamienia? – Twarz mężczyzny stała się surowa. Przypominała naszego nauczyciela od historii, który uwielbiał zadawać pytania, na

które nie znaleźliśmy odpowiedzi, tylko po to, by nas ukarać.

- Znam. Każdy we wsi zna.
- Nie obchodzi mnie, czy każdy zna, tylko czy ty znasz.
- Tak, znam.
- Historia lubi się powtarzać.
- To znaczy?

Poczułem, jak strach rozgaszcza się w moich myślach.

W brzuchu czułem ucisk, miałem wrażenie, że zaraz zwymiotuję albo zemdleję.

- Jeśli nie będziesz uważać.
- To tylko legenda, proszę pana.
- W każdej legendzie jest coś, co może być prawdą.
- Ale to przecież bajka.

Nie dawałem za wygraną. Chciałem udowodnić sobie, ale i Lapisowi, że mam rację. Musiałem mieć rację przynajmniej raz.

- Któregoś dnia się przekonasz. Ale teraz wynocha!

Po raz pierwszy poczułem, że ten stary mężczyzna może być niebezpieczny. Do tej pory zagrożenie było jedynie domysłem, teraz stało się wypowiedzianą groźbą.

– Przepraszamy – wydukałem z trudem, szturchając dyskretnie Romka, by i ten dołączył się do przeprosin.

Bez skutku.

Chwyciłem Romka za ramię; prowadzenie znacznie wyższego i cięższego ode mnie chłopaka przypominało przepychanie worka z ziemniakami. Momentami miałem wrażenie, że gubię się, kręcąc się w kółko. Wszystkie drzewa były identyczne, krzaki nie różniły się od siebie. Nagle kierunek, z którego przybyliśmy, stał się niewiadomą. Ponaglałem Romka, by szedł szybciej, lecz ten nadal utrudniał mi zadanie, niemrawo przebierając nogami.

Coś wisiało nad nami, jakby niewidoczna materia oplatała nas niczym trujący bluszcz. Pod stopami czułem ostre krawędzie kamieni. Potykałem się raz po raz, aż wreszcie runąłem na ziemię. Romek upadł na mnie z impetem rozpędzonego byka. Poczułem, jakby głaz przygniótł mnie, odbierając wszelkie możliwości ucieczki.

- Romek, wstań! Musimy iść.
 - Gdzie jesteśmy? – Głos Romka brzmiał, jakby dobiegał ze znacznej odległości.
- Z trudem wyłapałem sens pojedynczych słów.
- Szczee... Sczeppa... kamienie.
 - Co kamienie?
 - Są wsedzie.

Omiotłem spojrzeniem okolicę, faktycznie, kamienie znajdowały się wszędzie, przypominały rozrzucone kwiaty podczas procesji na Boże Ciało. Romek ześlizgnął się ze mnie, wreszcie mogłem zaczerpnąć powietrza, które otrzeźwiło moje myślenie.

– Chodź, Romek, musimy wracać.

– Ale gdzie?

Nie odpowiedziałem, zamiast tego chwyciłem go pod ramię i ruszyłem przed siebie. Nie zastanawiałem się, czy to właściwy kierunek. Las kiedyś musiał się skończyć, a wraz z nim ten koszmar.

Po kilku minutach dostrzegłem rozbłysk między drzewami. Jasność przyciągała mnie z każdym krokiem. Byłem mokry od potu, obolały po upadku i zmęczony od nadmiaru ciężaru na barkach. Byliśmy coraz bliżej, po drodze widziałem coraz mniej kamieni, drzewa stawały się rzadsze, a suche powietrze zastępowało chłód.

Gdy minęliśmy ostatnie drzewa, uderzyło nas oślepiające słońce. Przez żar z nieba poczułem, jak na nowo oblewam się potem. Upadłem na kolana, było na nich pełno zadrapań i przyklepionych liści, w popłochu szukałem śladów kleszczy, które byłyby gwoździem do trumny dla mojego szlabanu na całe wakacje. Otrzepywałem się z brudów, by pozbyć się śladów przestępstwa. Kac moralny dopadł mnie zniecacka, poczułem, jak słowa rodziców rozchodzą się po moim wnętrzu. Jawnie sprzeciwiłem się ich woli i co gorsza, wiedziałem, że to nie był ostatni raz. Zachciało mi się płakać, jakby cała złość, którą miałem w sobie, dała za wygraną. Straciłem ochotę na spotkanie z Emilką i dalsze beztróskie harce.

Z zamyślenia wybiła mnie przytłaczająca cisza. Romek odszedł na kilka metrów i przykucał obrócony do mnie plecami. Przypominał Goluma, który chciał zachować swój skarb tylko dla siebie. Z trudem dostrzegłem przedmiot w jego ręce. Był czarny i stosunkowo niewielki. Spokojnie mógłby zmieścić się w zamkniętej dłoni, nawet dziecka.

– Romek?

– Romek? Słyszysz mnie?

Miałem wrażenie, że mówię do ściany. Moje słowa ulatywały wraz z wiatrem.

Powoli zbliżałem się do niego, zważając, by każdy krok był delikatny, niczym łowcy czyhającego na swoją ofiarę.

– Romek, co to jest?

– Zzznalazzlem too.

– Gdzie?

– Taa... tam.

– Pokażesz mi?

– Jee... jestt twój.

– Mój? Na pewno nie jest mój.

– Jee... jesttt. On mi po powiedział.

Gdy się podniósł, dostrzegłem na jego twarzy kompletny brak emocji. Cała naiwność, którą miał w sobie, przeminęła. Stał przede mną zupełnie obcy chłopak, którego nie znałem i chyba nie chciałem poznać.

– Ja już pójdę.

Nawet jego słowa brzmiały inaczej. Wada wymowy jakby znikła, przygarbione ramiona były teraz wyprostowane, a ruchy chłopaka świadczyły o rozluźnieniu.

Romka spotkałem dzień później, gdy byłem na spacerze z Emilką i jej babcią. Był już tym samym chłopcem, którego wszyscy znaleźmy. Niewyraźnie mówiącym, z mokrą od śliny brodą i koślawymi ruchami.

Kamień, który dostałem od niego wtedy na polu, wyrzuciłem tuż po tym, jak Romek znikł mi z pola widzenia. Uznałem, że to kolejny durny wybryk niepełnosprawnego chłopca, który wbił sobie coś do głowy.

Układanka, którą sobie ułożyłem, miała jednak pewien defekt.

Nie tylko ja widziałem Lapisa, nie tylko ja miałem z nim kontakt. A więc to wszystko to było coś więcej niż moja wyobraźnia. Ten koszmar istniał, a do mojej kolekcji i tak dołączył kolejny kamień.

Teraz

Piwo sprawiło, że moje ciało wreszcie zaznało chwili relaksu. W przeciwieństwie do głowy, która nadal trawiła wydarzenia z przedpołudnia. Spotkanie z Romkiem było wycieczką w przeszłość, wycieczką bez przewodnika po zupełnie zapomnianych rewirach. Długo unikałem wspomnień, na tyle długo, by zatracić różnicę pomiędzy faktami a dopowiedzeniami. Wychodząc z knajpy, poczułem, jak kręci mi się głowie, trzy piwa zrobiły swoje. Od czasów studenckich nie miałem takiej ilości alkoholu w sobie. Ba! Nawet wtedy rzadko sięgałem po mocniejsze trunki, bojąc się utraty kontroli, która była niczym pas bezpieczeństwa chroniący przed Lapisem.

Rynek się zaludnił, co świadczyło o przyjeździe autobusu. Osoby pracujące na siódmą rano właśnie wróciły z pracy. Kolejki w sklepach sięgały drzwi wejściowych, a niewielkie grupki gorączkowo dyskutowały. Pomimo kilku znajomych twarzy i barw głosu czułem się obco w tłumie ludzi, którzy mówili mi „dzień dobry” i uśmiechali się, jakby mnie dobrze znali. Byłem obcy pomimo swojego pochodzenia i dzieciństwa spędzonego w tych okolicach.

– Szczepan, to ty? – Usłyszałem znajomy głos.

Nie chciałem paść ofiarą starych znajomych i wchodzić w kolejną dyskusję o czasach, których wolałem nie pamiętać. To już miałem na dziś zaliczone.

– Dzień dobry, pani Wojtaszek.

– No dzień dobry.

Pani Wojtaszek była moja nauczycielką angielskiego. Ze względu na swoją profesję często gościła w naszym domu. Była nie tyle przyjaciółką ojca, ile matki. Uwielbiałem jej lekcje, które były pełne odniesień do popkultury. W przeciwieństwie do naszej poprzedniej nauczycielki, pani Wojtaszek nie zanudzała nas suchą gramatyką, lecz pokazywała, że język obcy to coś więcej niż słowo pisane czy mówione. Oczywiście musiałem być pilnym uczniem ze względu na tatę, ale akurat na języku angielskim mi zależało. Mogłem sięgać po zagraniczne komiksy i słuchać Eminema bez prośb do brata o tłumaczenie tekstów, które oczywiście nie były dla mnie właściwe.

– Chyba z dziesięć lat cię nie widziałam, mój drogi. Tata mówił, że robisz niezłą karierę.

– Przesadza, po prostu zarabiam na życie.

– No i nieźle ci idzie. Komiksy z twoim nazwiskiem za granicą? Zawsze o tym marzyłeś.

– Czasem marzenia się spełniają.

– Bardzo się cieszę z twojego sukcesu. Słuchaj... może tata ci mówił, a jak nie, to się powtórzę. Jutro w szkole jest wystawa dotycząca Kamieńca i szkoły.

– Wystawa? Tata mi nic nie mówił. W sumie to udał się do ZNP i powiedział, że wróci wieczorem, nie mieliśmy jeszcze czasu, by spokojnie porozmawiać.

– Na pewno wyleciało mu z głowy albo nie było okazji. Byłoby miło, jakbyś wpadł. Spotkasz kogoś znajomego i zobaczysz swoje dzieła.

– Moje dzieła? – Zaśmiałem się całym sobą.

Być może lokalna społeczność faktycznie traktowała mnie jak artystę, którym sam nie potrafiłem siebie nazwać.

– Mamy twoje komiksy w gablocie. Niewielu absolwentów naszej szkoły może się pochwalić wielkimi osiągnięciami. W zasadzie takimi jak ty to nikt. Oprócz tego są twoje prace z czasów szkolnych.

– Akurat tych nie chciałbym widzieć. – Uśmiechnąłem się szczerze, pokazując, że naprawdę onieśmiela mnie rola potencjalnego miejscowego celebryty i wonderkida.

– Są naprawdę ładne. Widać, że od dziecka miałeś wiele do przekazania, a z czasem tylko wyrobiłeś sobie potrzebny warsztat. Nie daj się prosić. Przyjdź z tatą, to sam zobaczysz.

– Czemu nie. Pogadam z tatą i zobaczymy.

– Twój tata na pewno będzie.

– No tak, były dyrektor raczej musi.

– Tak, ale twój tata ma też swoją wystawę.

– Jak to?

– Od pewnego czasu siedzi w bibliotekach miejskich i szuka materiałów o Kamieńcu. W szkole zaprezentuje owoc ostatnich dwóch lat poszukiwań. Jeszcze nikomu tego nie pokazywał. A podobno chwalił się, że poznał wiele ciekawych i intrygujących faktów na temat przeszłości wsi i jej mieszkańców.

– W takim razie na pewno się zjawię.

– Czyli do zobaczenia. I trzymam za słowo, że jutro przyjdiesz. Pozdrów domowników i do widzenia.

– Do widzenia.

Odszedłem na bok.

Nie wiedziałem, czy byłbym w stanie przeżyć kolejne spotkanie ze znajomymi ludźmi.

Telefon pokazywał brak nieodebranych połączeń, co mnie ucieszyło, bo nie lubiłem oddzwaniać.

Wybrałem numer Ani, jej głos od razu sprawił, że poczułem się lepiej. Jakby cała samotność, która mi doskwierała, odeszła w zapomnienie.

– Cześć, kochanie.

– Cześć, jak tam odwiedziny?

– W sumie to nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Tata pojechał do lekarza i ZNP, bracia w pracy, dzieciaki w szkole i sama rozumiesz... Włóczę się po wsi, spotykam znajome twarze i zabijam czas, czekając na wieczór.

– Spotkałeś kogoś ciekawego?

– Jeśli pytasz o kobiety, to nie, moja zazdrośnico. Ale kilku znajomych tak. Nawet zostałem zaproszony na jutrzejszą wystawę w mojej dawnej szkole.

– To super.

– Podobno mają moje komiksy w gablocie.

– Serio? Żeby ci palma nie odbiła.

– Gwarantuję, że nie odbije.

– Mam nadzieję, że wkrótce sama się przekonam, jak wygląda Kamieniec.

– Też mam taką nadzieję.

– Mam na dziś kolejne umówione klientki. Do wieczora jestem uziemiona.

– Kiepsko.

– Do świąt mam pełny grafik, więc i tak nie spędzilibyśmy wiele czasu.

– Ania, chciałem ci...

– Szczepan przepraszam, ale muszę kończyć. Właśnie klientka przyszła.

– Możesz mi poświęcić jeszcze maks dwie minuty?

– Nie teraz. Pogadamy wieczorem, okej? Pa, skarbie.

– Pa.

Dałem się przyłapać. Potrzebowałem jej słów niczym tlenu. Latami unikałem związków i wszelkich relacji, w których byłbym w jakimś stopniu uzależniony od drugiej osoby, aż wpadłem. Z jednej strony Ania była osobą, którą chciałem trzymać na dystans ze względu na cząstkę swojej destrukcji, a z drugiej strony czułem, że była naturalną częścią mojego życia. Kimś więcej niż osobą.

Włóczenie się po wsi popołudniem oznaczało dalsze tłumaczenia i świecenie oczami. Ruszyłem w stronę domu. Trasa, którą obrałem, wiodła wzdłuż pól o tej porze roku przypominających białą pustynię. Gdzieniegdzie widać było pozostałości po żniwach,

zapomniane kopce, pozostawione pługi. Przydrożne kapliczki sprawiały wrażenie zapomnianych. Śnieg nie zdążył zakryć wysuszonych kwiatów przywodzących teraz na myśl martwe owoce morza. Widok zapomnianej części wsi stał się dla mnie metaforą. Podobnie jak mój umysł, ta część ziemi została uznana za nieistniejącą. Latem tętniąca życiem, dziś leżąca odłogiem. Niczym moja przeszłość, którą również zostawiłem na długie lata.

Minąłem znajome drzewo. To tu stał Romek, gdy chwilę później wybraliśmy się w las, nie wiedząc po co. Dzieciaki raczej nie myślą, po prostu coś robią. Dzisiaj drzewo z trudem utrzymywało pion, sprawiało wrażenie pijanego walczącego ze sobą. Chcąc nie chcąc musiałem przejść przez las, ten sam fragment, gdzie spotkaliśmy Lapisa.

Pierwsze metry okazały się niemal nie do przejścia. Wysoka warstwa śniegu powodowała, że z trudem pokonywałem kolejne metry. Im dalej w las, tym kroki stawały się płynniejsze. Korony drzew skutecznie ochroniły podłoże przed licznymi opadami. Przyjemne skrzywienie śniegu zagłuszało mój silny oddech. Intuicyjnie zmierzałem na zachód. Rodzinny dom wydawał się odległy pomimo świadomości, że dzieliło mnie od niego góra pół godziny.

W lesie panowała cisza, jedyne, co było słychać, to moje kroki. Chwilami wiatr zakłócał porządek. Gdzieś w oddali ptak trącał nagromadzony śnieg, tworząc białą smugę.

Starałem się nie myśleć o tamtym dniu, o tym, że gdzieś tutaj spotkałem Lapisa, ani o tym, że jego słowa mogły być groźbą lub nawet obietnicą zbliżających się nieszczęść. Być może już minąłem miejsce, w którym go spotkaliśmy. Las sprawiał wrażenie nienaruszonego, ominęły go wycinka i ludzka działalność. Dziwne, ale jak dotąd nie nadepnąłem na żadne puszki po piwie czy też plastikowe butelki.

Powoli się rozluźniałem, wiedziałem, że jedyne, czego mogłem się obawiać, to pułapki pozostawione przez kłusowników. Moje myśli odleciały do Krakowa, do Ani i tego, że wkrótce nasza relacja zmieni się bezpowrotnie, chociaż sam nie wiedziałem, w jaki sposób.

Gdy tak szedłem coraz śmielej, dobiegały mnie dziwne dźwięki. Jakby szepty słyszane tuż za głową. Nie potrafiłem ich zrozumieć, brzmiały, jakby w obcym języku. Rozglądałem się dookoła, szukając źródła dźwięku, lecz niczego nie dostrzegłem. Wokół mnie stały tylko drzewa, których końca nie było widać.

Usłyszałem, jak ktoś wypowiada moje imię, które wiatr rozniósł po lesie. Serce zaczęło mi mocniej bić, doprowadzając do obłądu. Traciłem kontakt z rzeczywistością, czułem, jak płonę od środka, jak roznosi mnie chowany od lat strach. Przyspieszyłem,

co wydało mi się naturalne. Być może byłem tchórzem, ale nadal nie chciałem kolejnych dowodów na istnienie Lapisa i jego sztuczek. Nie chciałem, choć przecież właśnie po to przyjechałem – by prawda stała się faktem. A teraz od niej uciekałem.

Jeszcze chwila i będę w domu. Nic więcej – powtarzałem to sobie jak mantrę, licząc, że moje zmysły zostały oszukane przez alkohol lub jakieś dziwactwo natury. To musiał być alkohol, rzadko piłem, a w dodatku kiepsko sypiałem w ostatnich tygodniach. To idealne połączenie dla chorych jazd.

Dostrzegałem prześwit pomiędzy drzewami, kres lasu był już blisko. Przyspieszyłem jeszcze bardziej, teraz to już była ucieczka. Nie zważałem na ukryte pod śniegiem wystające korzenie i kamienie. Chciałem jak najszybciej opuścić las.

Gdy wypadłem na zasypaną polanę, wszystko stało się znajome. Droga do domu prowadziła na wprost. Od kapliczki, którą właśnie mijałem, dzieliło mnie już tylko pięć minut. I wtedy z letargu wybudził mnie dźwięk nagłego hamowania. Poznałem ten samochód, Marek od lat miał słabość do japońskich aut. Więc widok czarnego SUV-a, toyoty nie budził mojego zdziwienia.

– Zwariowałeś?! Przecież widziałeś, że jadę!

Zbyt bardzo zbliżyłem się środka drogi, przez co doprowadziłem do nagłego hamowania.

– Sorry, zamyśliłem się i nie zwróciłem uwagi, że ktoś się zbliża.

– Miałeś szczęście, że i tak chciałem cię podwieźć, więc zwolniłem. Wskakuj.

Kiedy otworzyłem drzwi, buchnęło na mnie przeszywające ciepło. Brat siedział ubrany w koszulę z perfekcyjnie związanym krawatem, przypominając wyznawcę Jehowy krążącego od domu do domu.

– Nie musisz zapinać pasów.

– Kontrolka będzie wyć.

– Nie jedziemy w daleką trasę. Co porabiałeś?

– Nic ciekawego. Byłem na piwie i pokręciłem się trochę po wsi.

– Ty na piwie? To święto. Kto cię wyciągnął?

– Nikt. Nie miałem co ze sobą zrobić, a skoro już byłem na rynku, to musiałem jakoś zabić czas.

– Może podjedziemy pod sklep Borowskich i napijemy się po jednym?

– Czemu nie...

– No chyba że masz już dość na dzisiaj.

– No coś ty...

Powinienem być spasować, ale do końca chciałem grać normalnego.

Pod sklepem spędziliśmy dobre dwie godziny, z jednego piwa zrobiły się dwa kolejne. Brat pił zerówki, bo prowadził, czerwone elementy umilały nam czas. Rozmawialiśmy o pierdołach, o trudach pracy, których wzajemnie nie doświadczyliśmy. Starłem się unikać trudnych tematów, żony Marka i jego problemu z alkoholem. Dopiero po chwili zrozumiałem, że wypad na piwo dla osoby walczącej z alkoholem nie jest dobrym pomysłem.

Mimo wszystko było miło. Straciłem jakiegokolwiek hamulce. Opowiedziałem o związku z Anią, nowym kontrakcie z Amerykańskim potentatem, który zagwarantuje mi niezależność finansową na długie lata, i wreszcie o trudach życia w dużym mieście, gdzie samotność bywa równie toksyczna, co odpady atomowe. Rozmowa była na tyle miła, że nie zauważyłem, jak ciemność omiotła okolice, a sztuczne światło odbijało się od bieli śniegu. Dłuższe picie przy sklepie nie miało sensu, byliśmy przecież dorośli i mieliśmy gdzie pogadać.

Wracaliśmy w dobrych nastrojach. Jakby wypad na piwo był młodzieńczym występkiem, po którym mamy dostać naganę.

Gdy wjeżdżaliśmy na posesję, dostrzegłem kolejne auta domowników. Odnosiłem wrażenie, że mój przyjazd już drugi dzień z rzędu sprawia, iż życie w domu rodzinnym przewraca się do góry nogami. Za samochodem bratowej zauważyłem passata taty. Z tego, co wiedziałem to spotkania w ZNP trwały po kilka godzin, więc jego obecność mnie dziwiła.

W progu powitał nas tata, potwierdzając moje przypuszczenia o wcześniejszym powrocie.

- Nie miałeś być w ZNP? – zapytałem ojca niemal z pretensją w głosie.
- Grypa rozłożyła wszystkich.
- Grypa i czas. Wkrótce zabraknie was nawet do gry w brydża – dodał Marek.
- Obyś nie miał racji. Szczepan, zapomniałem ci wcześniej powiedzieć, jutro w szkole...
- Tak, wiem. Jest twoja wystawa.
- O! Widzę, że ktoś mnie uprzedził. – Mina taty świadczyła o rozczarowaniu.
- Tak się złożyło.
- Skoro już wiesz, to może sam przyjdiesz zobaczyć swój wkład. Jesteś jednym z tych absolwentów, którzy coś osiągnęli.
- Tato, przestań.
- Mówię poważnie.
- Ja też.

Kiedy wchodziłem do domu, niczym bumerang powróciło do mnie wspomnienie dzisiejszego przedpołudnia. Otwarte drzwi, czyjaś obecność wyczuwalna poprzez szósty zmysł. Odwiesiłem kurtkę, czując, jak moje gardło zamienia się w kamień. Chciałbym wyjawić prawdę o dziwnym zdarzeniu sprzed kilku godzin, ale co miałem powiedzieć? Że drzwi, które zamykałem, okazały się otwarte, a w progu powitał mnie cholerny kamień? Agnieszka uznałaby to za żart, a tata sprawdziłby, czy nie mam gorączki.

Dzieciaki zbiegały z piętra, hałasując niczym stado dzikich koni. Skutecznie zagłuszały mój lęk. Czułem, jak wewnątrz mnie rozpada się cały mój dotychczasowy spokój. Wszystko dookoła wirowało, podłoga zamieniała się w sufit, grawitacja wymykała się z prawom logiki.

– Szczepan? Halo?

– Co mówiłeś?

Stojący obok Wiktor miał dziwny wyraz twarzy. Jakby próbował rozwiązać zbyt trudne zadanie z matematyki.

– Jesteś bardzo blady. Jadłeś coś?

– Tak. To znaczy, sam nie wiem. Ale nie jestem głodny.

– Nawet nie żartuj. Agnieszka ugotowała coś dobrego.

– Czuję.

Dzwonek telefonu stacjonarnego przyciągnął moją uwagę. Od lat go nie słyszałem. Uznałem, że telefony stacjonarne umarły wraz z epoką telegazety. Nasłuchiwałem uważnie niczym wścibska sąsiadka. Poprzez pojedyncze słowa tworzyłem własną narrację.

– Tak... mhm... Marta. Uspokój się.

Udając obojętność, zasiadłem do stołu. Krążące wokół dzieci utrudniały mi wychwycenie treści dalszej rozmowy. Dlatego musiałem ją odczytywać z mowy ciała mojej bratowej. Zasłaniała się przed innymi, sprawiała wrażenie osoby chcącej się ochronić. Dostrzegłem fragment jej twarzy, była wyjątkowo poważna i zaniepokojona. Widać było, jak kalkuluje każde słowo, jak dobiera treść, by nie wejść na niewłaściwy grunt. Oczekiwała suspense, ignorując wszystko dookoła, nie chciała kolejnych sekund spędzonych na biernej obserwacji.

Nie chciała kolejnych chwil spędzonych na udawaniu, stwarzaniu pozorów, imitowaniu normalności.

– Okej, jakby co, to dzwoń o każdej porze dnia i nocy. Do usłyszenia.

Powiedz to wreszcie, Agnieszko.

– Co się stało? – zapytałem bez ceregieli, nie zważając na to, że dostanę łatkę ciekawskiego.

– Dzwoniła Marta Kowalik. Wiesz, żona tego właściciela sklepu na rogu...

– Tak, wiem.

– Co się stało, Agnieszko? – zapytał ojciec, dołączając tym samym do grona zaniepokojonych.

– Mama Marty znikła.

– Pani Wojtaszek?! – Słyszałem, że mój podniesiony głos brzmiał niemal jak krzyk.

– Tak... to znaczy. To dziwne. Wróciła z zakupów, spędziła popołudnie przed telewizorem, potem powiedziała, że idzie się przespać. A gdy po Marta jej szukała, to jej sypialnia okazała się pusta.

– Może gdzieś wyszła?

– Niemożliwe. Mąż Marty odśnieżał przed domem. Na pewno by ją zobaczył.

A więc zaczęło się. Mój powrót już przyniósł ofiary.

Wtedy

Letnie dni zawsze spowite były aurą przygody. Wycieczki, których nie aprobowałiby dorośli, wybryki z kolegami, bójki owiane tajemnicą. Dzieciakom wydaje się, że ich mały świat jest schowany przed dorosłymi. Mój naprawdę taki był. Podczas gdy w innych dzieciakach można było czytać jak w otwartej księdze, ja stawałem się twierdzą nie do zdobycia.

Historie z Lapisem i kamieniami zachowywałem tylko dla siebie.

Wiedziałem, że Romek się nie wygada, zresztą nie miał komu. Rodzice go ignorowali, inni traktowali jak głupka. Jedyne ja mogłem powiedzieć coś o Lapisie i nie zostać uznany za mitomana.

Ale sam nie wierzyłem w to, co przeżyłem. Od kilku dni przysłuchiwałem się rozmowom dorosłych, doszukiwałem się śladu, który dowiódłby, że Lapis jest człowiekiem z krwi i kości. Że istnieje w życiu Kamieńca podobnie jak inni, którym mówiłem „dzień dobry” i z którymi miałem kontakt. Nic takiego nie miało miejsca. Lapis nadal pozostawał człowiekiem z innego wymiaru. Osobą, która znika wraz z zamknięciem oczu.

Ostatnie dni przyniosły załamanie pogody. Z kolegami w zasadzie przestałem się widywać. Ulewne deszcze zamieniły szkolne boisko w błotniste bajoro. Podczas gdy moi rówieśnicy spędzali czas przy komputerach lub telewizji, ja kursowałem pomiędzy swoim domem a domem Emilki. Raz ona wpadała do mnie, by nazajutrz zamienić środowisko zabaw. Staliśmy się pełnoprawnymi domownikami swoich nowych domów. Ciągle czułem się jak u siebie, niezależnie od tego, czy to był mój pokój, czy pokój Emilki. Jej zabawki były moimi, moje komiksy były jej. W zasadzie funkcjonowaliśmy jak małżeństwo. Nawet kieszonkowe uznawaliśmy za wspólne i nie wydawaliśmy choćby złotówki, podczas gdy drugie było nieobecne.

Pomimo beztróskiej zabawy ze swoją sympatią ciągle czułem niepokój. Jakby niewidoczne dłonie łąpały mnie znienacka, ciągnąc ku mroku. Przestałem chodzić po lesie oraz opuszczonych miejscach. Lapis stał się odległym wyobrażeniem, lecz wciąż nawiedzał mnie w snach. Niemal każdej nocy budziłem się mokry od potu i z przerażeniem na twarzy. Lustro, które miałem przed łóżkiem, za każdym razem stawało się wyrocznią, która mogła mi ukazać tego starca stojącego nad moim łóżkiem.

Być może to nadmiar horrorów oglądanych z bratem, gdy rodzice byli zajęci, wpływał na moją wyobraźnię, ale czułem, że to nie koniec. On wróci, wiedziałem to.

Emilka była najwspanialszą przyjaciółką, nigdy się nie kłóciliśmy. Nie było między nami choćby krzty złości aż do feralnego dnia.

Koty podrosły, więc musiały znaleźć nowy dom. Jeden z nich był przeznaczony dla mnie. Wybrałem kotkę, całą białą, miała przepiękne niebieskie oczy i bardzo łagodne usposobienie. W przeciwieństwie do innych kociąt nie bała się nas i sama lgnęła do cudzych kolan. Na początku pomysł z kotem wydawał mi się mało fajny. Gdy przebywaliśmy u Emilki, kotki błąkały się między nami. Wspinały się po naszych plecach, zasypiały gdzie popadnie. Przyjemne ciepło ich ciała, delikatne futerko, wilgotne i szorstkie języki dostarczały nam większej frajdy niż moje komiksy lub nowości z filmami pobranymi z Internetu. Za każdym razem, gdy odwiedzaliśmy kanciapę, gdzie małe spały przy matce, uśmiechałem się, jakbym zobaczył wymarzony prezent pod choinką.

Emilka lubiła wszystkie koty, początkowo miała zostawić kocura Brunona o odstających uszach i rudych łatach na sierści. Z czasem zauważyłem, że Emilka polubiła zabawę z moją kotką. Wspólnie daliśmy jej na imię Śnieżka, co było zupełnym banałem, lecz akurat jedliśmy wtedy lody, a ich etykieta była niczym znak z niebios.

Umówiliśmy się, że Emilka przyniesie mi Śnieżkę z rana. Mieliśmy się spotkać w połowie drogi. W lesie, gdzie nie byłem od czasu spotkania z Romkiem. Po raz pierwszy od paru dni deszcz przestał padać. Przez rosę miałem mokre trampki i łydki. Komary kąsały z częstotliwością karabinu maszynowego. Opuściłem sobie walkę z komarami, wilgoć sprawiała, że otuliłem się szczelnie bluzą. Szybko pożałowałem, że włożyłem krótkie spodenki, było zdecydowanie za chłodno na tak lekki ubiór. Radość z tego, że wkrótce będę miał kota, zamąciła mój umysł. Nie spałem w nocy, ekscytacja była na tyle silna, że nie potrafiłem uwolnić się od fantazji o kocie, wspólnych zabawach, zasypianiu w tonacji przyjemnego mruczenia. Śniadanie zjadłem, jakby to były zawody na czas, potem przez godzinę siedziałem jak na szpilkach, by wreszcie zegar wskazał dziewiątą czterdzieści pięć, i mogłem wyjść.

Punkt dziesiąta, oczywiście byłem przed czasem. Dookoła panowała cisza, jedynie jakiś ptak mącił spokój panujący wśród drzew. Minuty mijały, jakby trwały wieczność, Emilki wciąż nie było. Zacząłem się martwić. A co, jeśli coś stało się jej lub mojemu kotu? Będę tu czekał, aż się znudzę albo ktoś przyjdzie przekazać mi złą wiadomość. Starłem się zająć myśli, lecz ciągle wracałem do radości, która jawiła się w małym włochatym stworzeniu.

Ze wschodu dobiegał hałas, poznałem tempo jej kroków i zanim Emilka wyłoniła się spomiędzy drzew, wiedziałem, że nadchodzi moja przyjaciółka.

– Cześć – wypaliłem wesoło.

– Cześć, Szczepan.

Z kieszeni bluzy wyjąłem chustę, którą dała mi mama. Śnieżka nie zmarznie i nie ucieknie mi w drodze do domu. Dodatkowo stres związany ze zmianą miejsca nie spowoduje, że będę miał całe ręce podrapane.

– Daj mi ją.

Na twarzy Emilki dostrzegłem zmieszanie. Nie była uśmiechnięta. Przypominała moich kolegów, którzy zawsze ściągali na sprawdzianach z historii.

– Masz go.

Go, nie ją? – pomyślałem w pierwszym odruchu.

Emilka wyciągnęła kota spod kurtki przeciwdeszczowej. Miał rude plamy i czarny ogon. Nie była to moja Śnieżka. Kot rozłożył łapy w geście obronnym, ukazując swoje skromne przyrodzenie. Jego małe oczy wpatrywały się we mnie niczym w kata, licząc na łaskawy wyrok.

– Ale to nie jest Śnieżka.

– Nie. To Bruno.

– Gdzie jest Śnieżka? – odparłem, czując, jak oczy zaczynają mnie piec, a policzki palić.

– U mnie w domu.

– To dlaczego jej nie przyniosłaś?

– Bo... tego ci daję.

– Ale ja wybrałem Śnieżkę. Ona jest moja.

– Ale mnie też się spodobała. Dlatego ją zostawię.

– Obiecałaś mi...

– Wiem. Ale możesz mieć Brunona. Też jest fajny.

– Bruno jest twój. Śnieżka jest moja.

– Już nie.

– Właśnie, że tak!

Poczułem, jak łza spłynęła po moim policzku. Emilka również miała łzy w oczach. Nie było mi jednak jej żal.

Na chwilę zapadła cisza. Patrzyliśmy po sobie, jakby przed nami stała szachownica, a pierwszy ruch powodował nieodwracalną porażkę.

– To chcesz go czy nie?!

– Chcę, ale Śnieżkę!

– Ale ona jest moja i będzie.

– Idź już.

– To już nie jesteśmy przyjaciółmi? – zapytała z trudem Emilka.

– Nie jesteśmy!

– No to go masz. – Emilka siłą wepchnęła mi Brunona i odbiegła z płaczem.

Rozplakałem się, moje ciało osunęło się na ziemię. Poczułem, jak kość ogonowa została podrażniona twardym kamieniem. Intuicyjnie wyciągnąłem go spod pośladek. Szlochając, oglądałem go, jakby był martwym zamiennikiem mojego wymarzonego kota. Bruno piszczał ze strachu, czułem, jak wspina się po moim ramieniu, wbijając mi się w skórę. Miałem ochotę go zrzucić i zostawić w tym lesie, ale czułem się jak on. Niechciany.

– Obyś, Emilka, stała się kamieniem! – wyszeptałem swoje życzenie.

Naprawdę pragnąłem, by wypowiedziane słowa stały się rzeczywistością.

Dziecko nie wie, czym jest odpowiedzialność. Chłopiec nie wie, jaka jest różnica pomiędzy złością a nienawiścią. Byłem za młody na wypowiedzenie tych słów. Za młody na siłę, jaką niosły te słowa. Tak, usprawiedliwiam się, ale nie chciałem czyjejs zguby. Do niej jednak doprowadziłem.

II



Teraz

Tabletki nasenne działały cuda.

Wystarczyły dwie pigułki, by sen zajął miejsce lęków i postawionych znaków zapytania. Gdyby nie wyjący w oddali kogut, spałbym do południa. Z trudem zebrałem się z łóżka, słońce nachalnie wdzierało się do pokoju, rażąc zaspane powieki. Na ustach czułem smak wczorajszego piwa, chciało mi się pić, jakbym spędził weekend na Saharze. Zegar na telefonie wskazywał ósmą. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio byłem na nogach o tej porze. Lata pracy w domu rozleniwiły mnie do tego stopnia, że świtem nazywałem dziesiątą. Zapomniałem, jak wyglądają zwykła codzienność, praca i obowiązki od rana.

Schodząc do jadalni, czułem, jak moje ciało stawia opór. Nie miałem pojęcia, skąd takie zakwasy, poprzedni dzień nie kosztował mnie zbyt dużego wysiłku. Mimo wszystko czułem się jak po maratonie. Uda sprawiały wrażenie zbitych, a stopy o rozmiar większych. Poczulem zażenowanie własną formą fizyczną. Zapuściłem się do tego stopnia, że zwykły spacer zamienił mnie w emeryta.

Choć wstałem wyjątkowo wcześnie jak na siebie, to i tak byłem ostatnim domownikiem na nogach. Ludzie, których zastałem, mieli zmęczone twarze i podkrążone oczy. Wszyscy milczeli, a ich kubki z kawą wyglądały na dawno opróżnione. Tata siedział w ubraniach z poprzedniego dnia, Agnieszka przypominała ducha, jej twarz straciła wszelkie barwy.

– Hej. Coś się stało?

– Nadal nie wróciła.

– Nie spałeś całą noc?

Szybko złapałem się na bezsensowności pytania.

– Położyłem się, ale przed północą znowu zadzwoniła córka pani Wojtaszek. Poszedłem z Wiktorem jej szukać.

– Mogłeś mnie zabrać ze sobą.

– Nie chciałem cię budzić. Widziałem, że spałeś jak zabity.

– Kawy? – Twarz Agnieszki również świadczyła o braku snu. Worki pod oczami odbierały jej uroku.

– Nie. Najpierw coś zjem.

– Prawie cała wieś szukała. I nic. Żadnego śladu.

– Może do kogoś wyjechała i zapomniała o tym poinformować?
– Krewni nic nie wiedzą.
– Albo zasłała.
– Nie chorowała na nic. Czuła się dobrze – wtrąciła Agnieszka. W jej głosie słychać było nutę irytacji.

– Pani Wojtaszek czuła się dobrze, nie miała żadnych problemów z bliskimi, długów, uzależnień i takich tam. – Twarz ojca nabrała powagi. Unikał kontaktu wzrokowego, jakby nie chciał, by coś go zdradziło.

– Poszukiwania nadal trwają?

– Tak. Jeśli chcesz, to możesz do nas dołączyć po śniadaniu.

– Szczepan, na pewno będzie wszystkim miło – dodała Agnieszka.

– Okej, zjem i możemy iść.

Owsiankę zalałem ciepłą wodą.

W zasadzie straciłem apetyt, wolałem już wyjść, by pomóc w poszukiwaniach. Zniknięcie pani Wojtaszek splotło się z moim powrotem. Nie trudno było ulec wrażeniu, że po raz kolejny pomogłem nieszczęściu. Wpatrywałem się w talerz, jakby był magiczną kulą, która wskaże mi gotowe rozwiązanie. Zaciśnięty przełyk utrudniał mi przelknięcie. Starłem się przelknąć równomiernie, lecz co chwilę krztusiłem się, przykuwając uwagę pozostałych.

– Niektórzy wzięli wolne w pracy, by pomóc.

– Gdzie szukaliście?

– W okolicach szkoły, kościoła, wzdłuż drogi głównej. Został las, przeszukiwanie nocą było trudne.

– Las? Co by tam robiła?

– Nie wiem. Dlaczego w ogóle zniknęła? Dowiemy się, gdy ją znajdziemy – dodał ojciec.

Agnieszka opuściła jadalnię, Wiktor i tata spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Poczujęm się wykluczony z tego układu, jakbym był częścią tajemniczego zniknięcia mojej dawnej nauczycielki.

– Coś się stało oprócz tego zniknięcia?

– Nie. Dlaczego pytasz? – odparł Wiktor, który milczał od początku, gdy pojawiłem się w jadalni.

– Sprawiacie wrażenie, jakby stało się coś jeszcze. – Przeplukałem zaszuszone gardło, unikając spojrzenia, które mogłoby za dużo wyjawić.

– Nie. Wszystko jest okej.

Wtedy

Bruno miauczał, chowając się pod moją bluzą. Znienawidziłem tego kota. Chciałem, by zdechł. Był oszustwem, udawanym i podrabianym zastępstwem. Nie był Śnieżką, nie miał jej łagodności i cudownego mruczenia, które brzmiało jak muzyka relaksacyjna, którą puszcza się osobom z nerwicą. Kot piszczał, jakby obdzierali go ze skóry. Jego lament wtórował mojemu. Czułem się zdradzony i odrzucony. Moja pierwsza miłość, pierwsza prawdziwa przyjaźń mnie wystawiła. Moje serce pękło, pomimo tego, że było z kamienia. A może właśnie wtedy stało się kamieniem. Gdy wpadłem do domu, mogłem wreszcie wyrzucić tego futrzaka.

Zabunkrowałem się w swoim pokoju. Płakałem bez chwili wytchnienia. Samotność stała się kurtyną dla mojego żalu. Goniąc myśli rozpałała mój gniew. Pragnąłem, by Emilka poczuła to, co czułem ja. Żal, krzywdę, rozczarowanie. Była stała się kamieniem jak moje serce.

Wieczorem do mojego pokoju przyszła mama. Miała na rękach Brunona. Kocur został nakarmiony i umyty, już nie lamentował, tylko delikatnie mruczał. Mama delikatnie podeszła do mojego łóżka. Latami sprawiała wrażenie nieobecnej w moim życiu. Rola matki była jedną z tych, na które nie była gotowa. Praca i prowadzenie domu nie wymagały zaangażowania emocjonalnego. To przypadało tacie, który potrafił nam zapewnić ciepło domowe. Mama bardzo chciała, lecz nigdy nie potrafiła obdarzyć nas ciepłem, jakie daje miłość matczyzna. Jej rola rodzica ograniczała się głównie do spraw technicznych i wsparcia w trudnych sytuacjach. I w tym brakowało jej jednak matczynej wrażliwości.

Gdy zbliżyła się do mnie, poczułem woń jej perfum. Zapach ten przypominał mi o tym, że muszę być przykładnym dzieckiem. Tym razem sprawił, że poczułem się bezpiecznie. Na mojej głowie spoczęła dłoń mamy. Była delikatna i ciepła. Mówiła znacznie więcej niż jakiegokolwiek słowa, lecz i one się pojawiły.

– Kochanie...

Nie potrafiłem się odezwać. Złość związała mój język. Jedyne, co chciałem wypowiedzieć, kierowane było w stronę Emilki. Nie potrafiłem tego nazwać. Moje myśli były jak kłębek nitki. Zaplecione w rozwiązywalny twór. Złość, sympatia, nienawiść, empatia – w tym momencie wszystko było jedną bryłą.

– Szczepan, wiem, że ci przykro. Ale czasem tak bywa.

– Jak bywa, mamó?

– Tak, że nie zawsze dostajemy to, czego chcemy.

– Ale ona mi obiecała.

– Wiem, kochanie. Ale czasem robimy coś, a potem chcemy to odwrócić. Wybacz jej, proszę. Bruno też jest miłym kotkiem. Zobacz, jak chce się bawić.

Kocur wspinał się po mnie. Wyglądał na zgubionego, jakby szukał utraconego ciepła.

Leżałem na brzuchu, czując, jak drobne pazury wbijają się w moje plecy. Kot doszedł do mojej szyi i ułożył się obok mojej głowy. Już był mój, nie był Śnieżką, ale dawał mi to, co ona miała dać. Dłoń mamy bawiła się moimi włosami, zwykle w takich momentach czułem, że jestem kimś więcej niż synem lekarki. Wówczas byłem synem pewnej kobiety, która raz od czasu potrafiła odnaleźć się w obcej roli.

– Mamó...

– Tak, kochanie?

– Zadzwońisz do mamy Emilki?

– Jasne, skarbie. Chcesz, żeby tu przyszła?

– Chyba tak.

W zasadzie sam nie byłem pewien. Miotaly mną mieszane uczucia. Z jednej strony rozrywał mnie gniew, a z drugiej odczuwałem tęsknotę za bratnią duszą. Podobno nic tak bardzo nie boli jak rana zadana przez bliską osobę. Szybko przekonałem się, że im bardziej się kogoś lubi, tym bardziej może on zranić.

Naszą rozmowę przerwał wbiegający po schodach Wiktor.

– Mamó, gdzie jesteś?

– Tutaj, skarbie. W pokoju Szczepana.

Wiktor wpadł do środka, z trudem wyrównując oddech. Na czole miał krople potu, a jego oczy świadczyły o niepokoju. Obrazek kompletnie niepasujący do mojego brata. Silny, pewny siebie, jakby lęk nie miał się tego typu. Nie tym razem.

– Coś się stało? Wyglądasz na wystraszonego.

– Dzwoniła mama Emilki. Podobno Emilka nie wróciła do domu.

Mama spojrzała na mnie. Odwróciłem głowę, by widzieć jej twarz, obawiałem się tego, co mogą zdradzić jej oczy.

– Szczepuś, widziałeś, gdzie odchodzi Emilka?

– Nie, mamó, pobiegła w stronę domu.

– A nie wiesz, gdzie mogłaby się udać, gdyby była smutna?

– Nie. To znaczy może do Kamieńca.

– Szukali w lesie i nic nie znaleźli – wtrącił szybko Wiktor.

Mama wstała, po czym szepnęła coś Wiktorowi, gdy minęli się w drzwiach, a ja poczułem, jak wina przepelnia mnie do cna. Brat dosiadł się obok i posadził mnie zdecydowanym, ale nie za silnym ruchem. Był już mężczyzną; choć nadal w ciele nastolatka, to jednak mężczyzną.

– No to mów, młody.

Zmierzyłem brata wzrokiem. Czułem się jak ostatni frajer, gdy przecierałem zapłakane oczy. Mimo wszystko jego towarzystwo dodawało mi pewności, jakbym stawał się dojrzały o kilka lat.

– Jak z twoją dziewczyną? – Brat nie dawał za wygraną.

– To nie jest moja dziewczyna.

– Jasne. A ja jestem Andrzej Juskowiak.

– Jesteś szybszy od niego.

– Heh, dzięki, ale nie zmieniaj tematu.

– Jestem...

– Rozczarowany? Chyba wiesz już, co to znaczy.

– Chyba tak.

– Z dziewczynami trzeba ostrożnie. Nigdy nie możesz jednak wyjść na drania. Nie ma nic gorszego, jak dziewczyna płacze przez ciebie. Z czasem zrozumiesz, że jak ci zależy na dziewczynie, to musisz pójść na... ustępstwo.

– Nawet jeśli złamała słowo?

– Z danym słowem jest jak ze spalonym. Czasem liniowy się myli, bo wzrok go zawiódł. Na powtórce widzimy jednak co innego. Rozumiesz?

Pokręciłem głową.

– Czasem obiecujemy, choć nie do końca jesteśmy świadomi. Obietnica to wielka rzecz i nie powinna padać ot tak. Ale czasem bardzo chcemy komuś sprawić radość i sami się gubimy. Emilka cię nie oszukała, zmieniła zdanie i tyle. Myślę, że nadal cię bardzo lubi. Zresztą ty ją też. Prawda?

– Tak.

– No właśnie. Gdybyś jej nie lubił, to nie byłoby tego płaczu. Kiedy Emilka się odnajdzie, to pójdziesz do niej z kwiatkami i dobrą czekoladą. Jedno z tego musisz zapamiętać. Nie można ot tak skreślać ludzi, na których ci zależy. Dobrze?

– Okej. Ale z kwiatkami?

– No chyba wiesz, że kobiety je lubią.

– Ale...

– Nie ma „ale”. Pokażesz, że jesteś chłopakiem, który potrafi być godny zaufania. Zgoda?

- Chyba tak.
- No, to doprowadź się do porządku i idziemy na lody, a potem do Emilki. Raz-dwa, młody. Nie marnuj czasu. Cholera.
- Co jest?
- Coś mi się wbiło w tyłek.
- Chłopcy, zejdźcie tutaj! – Głos mamy był pełen niepokoju i świadczył o poczuciu zagrożenia.
- Chodź i ogarnij tutaj, bo sam się na coś nabijesz.

Ruszyłem za bratem, miałem wrażenie, że wszystko wokół zwolniło tempo. Zbiegając po schodach, czułem coś w powietrzu, jakby otępiało nasze głowy i karmiło nasze przerażenie.

Na dole był już ojciec Emilki, jego twarz była blada, jakby ktoś okradł go z całego męstwa. Tata coś mówił, gorączkowo przy tym gestykulując. Dwóch policjantów stało przy drzwiach, grzebiąc w notatnikach. Do rozmowy próbował wtrącić się dziadek Emilki, ale ilekroć starał się coś wypowiedzieć, płacz zamykał mu usta. Mama objęła ojca Emilki, rozmowa dorosłych stała się niczym maszyna do młócenia. Jednostajny dźwięk sprawiał, że wszystko stawało się jeszcze bardziej nierealne. Głosy odbijały się od ścian, zatykając moje uszy męczącym szumem. To było nierealne i dalekie, a jednak prawdziwe.

Po chwili usłyszałem swoje imię wybijające się z dziesiątków innych dźwięków. Gdy podniosłem głowę, dostrzegłem, że wszyscy patrzą na mnie. Ich spojrzenia były ciepłe i pełne zrozumienia, co jeszcze bardziej oddalało mnie od nich.

Na kroczu poczułem kojące ciepło rozchodzące się w dół ud. Potem dostrzegłem, jak wzrok mamy kieruje się ku moim spodniom. Chwilę później nastąpiła ciemność.

Teraz

Przed wjazdem do lasu kłębiło się kilkadziesiąt osób. Większość poznałem, zanim wysiadłem z samochodu. Ludzie, z którymi chodziłem do szkoły, wśród których dorastałem lub którym po prostu mówiłem jedynie „dzień dobry”. Społeczność tej wsi reprezentowana przez męską część traktowała te poszukiwania jak lokalną rozrywkę – dni wsi obchodzone zimą, bez sceny, na której podrzędne gwiazdy disco poło udawały, że śpiewają, i toi toiów, które były przepełnione prezerwatywami. Kilka osób opróżniało puszki po piwie, inni krążyli wokół na quadach, jakby trenowali do Rajdu Dakar. Psy szczekały, zgłaszając swoją gotowość do poszukiwań, w przeciwieństwie do ludzi, którzy chcieli, by igrzyska trwały. Witałem się z kolejnymi osobami, od których czułem najtańsze piwo, jakie sprzedawali w Kamieńcu. Nikt nie wyglądał na zaniepokojonego lub przerażonego. Śmiechy i anegdoty rozchodzące się po okolicy brzmiały jak chichot losu. Po latach kolejne pokolenie stało w tym samym miejscu – tryskające humorem, przepełnione zadowoleniem i roszczeniem wobec świata. To mieszanka krążąca w żyłach od lat. Sól tej ziemi, nowe gorsze pokolenie.

Odwróciwszy się, zauważyłem pędzący radiowóz. Miejscowa policja zignorowała zaginięcie. Według rozbawionych mężczyzn zakwalifikowali je do drugiej kategorii. Pani Wojtaszek miała udać się do kochanka i „dawać dupy, bo dawno chłopca nie miała”. Niczego bardziej odkrywczego nie można było się spodziewać po ludziach, którzy zawrócili bieg ewolucji.

– Panowie, panowie, proszę. – Głos policjanta stał się surowy.

– O, cicho. Żarty się skończyły – rzucił ktoś z tyłu, po czym rozszedł się nieśmiały śmiech.

– A więc, jak wiecie, nie możemy oficjalnie, jako policja, brać udziału w poszukiwaniach, bo, jak dobrze wiecie, nie minął...

– Ona przecież leży z jakimś typem teraz – padło z tyłu, po czym płytki rehot przeszedł po grupce najbardziej wypitych.

– Panowie. Przestańcie z tymi żartami. To nie powód, by sobie żartować, tak? Skoro to mamy wyjaśnione, to przejdźmy do rzeczy. Wczoraj rodzina pani Wojtaszek i jej najbliżsi sąsiedzi przeszukali okolice, szkołę, rynek oraz rowy przy drogach. Niczego nie znaleźli. Dalecy krewni również nie dostali jakiegokolwiek wiadomości świadczącej

o tym, że pani Wojtaszek się do nich wybiera. Nie było też przesłanek wskazujących na to, że to porwanie lub inne zachowanie świadczące o zagrożeniu życia zagubionej.

– Streść się pan!

– Dobra. W imieniu rodziny proszę was o przeszukanie lasu oraz pól na wschód i północ. Tam, z powodu późnej pory, dotychczas nie szukaliśmy. Żeby nie szukać dwa razy w tym samym miejscu, każdy dostanie gwizdek. Idziemy pojedynczo, ale równolegle, tak, by przeszukiwać w tym samym tempie. Każdy w odległości co najmniej pięciu metrów od siebie. Idziemy powoli i uważnie. Gdy ktoś zobaczy coś podejrzanego, to bierze gwizdek i podnosi rękę.

– Mamy psy przecież – wtrącił pan Mowlík.

– A czy wasze psy były szkolone do poszukiwań?

– Co? Nie. Kupiłem go od szwagra. To wilczur, ale bez rodowodu, bo po cholere mi on.

– No właśnie. Psy muszą być przeszkolone, by pomóc. Mimo wszystko zabierzcie je ze sobą. Może jednak pomogą. A, i jeszcze jedna uwaga. Zero quadów i zero picia. To nie festyn.

– A pan detektyw to z nami przecież nie idzie – dodał jakiś małolat.

– A kto tak powiedział?

– No przecież nie jest to oficjalne śledztwo.

– To nie znaczy, że nie mogę wam pomóc.

– Ale wie pan... To nie serial i nie może pan wezwać śmigłowca.

– Wiem, ale do czego zmierzasz?

– Do tego, że będziemy szukać, jak chcemy, a pan możesz nam naskoczyć – odparł z wrogim spojrzeniem młodzieniec, który miał już kilka piw na koncie.

Tłum rozszedł się, jakby ktoś wyłączył muzykę i kazał zabrać swoje zabawki. Zmieszany policjant zerkał, szukając porozumiewawczego spojrzenia, lecz został sam. Pudełko z gwizdkami zabrał stary Drobiec, który wykreował się na lidera poszukiwań. Szedł kilka kroków przed wszystkimi, był pośrodku rozsadzonych według zaleceń policjanta mężczyzn. Psy zwąchały każdy napotkany pień i wszystkie porzucone puszki po napojach. Nikt nie miał pojęcia, czy zwiększona ekscytacja psa ma jakikolwiek związek ze znalezieniem tropu, czy jest jedynie reakcją na nowe bodźce. Szybko odpuściliśmy pomysł z psami, skupiając się na tym, co widzieliśmy.

Las powitał nas delikatną warstwą śniegu, była niczym błona dziewicza niepokalana nawet przez leśne zwierzęta. Każdy brutalny krok ingerował w niewinne życie zapomniane przez człowieka.

Wiatr subtelnie muskał nasze policzki, z drzew raz po raz spadały kłęby śniegu. Martwą ciszę zabijały głośne sapania i pojedyncze komentarze ginące w braku odpowiedzi. Zanurzając się w głąb lasu, czułem coraz większy ucisk wokół głowy. Jakby ktoś założył mi ciasną opaskę i zwęzał ją tym bardziej, im bardziej zbliżałem się w stronę przeklętego Kamieńca. Coś nas obserwowało. Było między drzewami, przemykało przed nami, chowając się za krzakami.

Zarówno tata, jak i Wiktor milczeli, także Marek był skupiony na poszukiwaniach.

Kilkakrotnie próbowałem nawiązać z nimi kontakt wzrokowy, lecz ich spojrzenia były skupione na paru metrach, które mieli przed sobą.

Nie chciałem wracać myślami do wydarzeń sprzed lat, to była inna sytuacja, inna osoba, a nawet ten las był już inny. Okoliczności wydawały się jednak niepokojąco podobne. Jakby ktoś czekał na mój powrót, by doszło do kolejnej tragedii.

Z zamyślenia wyrwał mnie rozchodzący się po lesie dźwięk gwizdka. Po chwili ktoś zawołał:

– Eeeeeee, tutaj!

Wszyscy skierowali się w stronę, z której dochodził głos. Wiedziałem, gdzie pędzimy, chciałem ominąć to miejsce, dlatego sugerowałem, byśmy trzymali się bardziej lewej części. Tata jednak ustawił nas tak, że ominięcie Kamieńca było praktycznie niemożliwe.

Byliśmy jednymi z pierwszych, którzy doskoczyli do trójki mężczyzn kucających przed jakąś tkaniną.

– Chusta pani Wojtaszek – poinformował jeden z nich.

– Jesteś pewien? – zapytał Marek.

– Tak, często siedziałem za nią w kościele i kojarzę. Ma takie same barwy co Jagiellonia Białystok. Zresztą powąchaj, pachnie kobiecymi perfumami.

Chusta krążyła w kółeczku utworzonym wokół znaleziska, każdy bawił się w znawcę zapachu zaginionej, by po oddaniu przedmiotu spojrzeć po reszcie z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Jest zima, wiatr bywa silny. Może jakaś kobieta straciła tę chustę i wiatr ją tu przyniósł, a chropowata powierzchnia Kamieńca ją zatrzymała – powiedział mój tata.

– Może ma pan rację. Ale sam pan wie, że ona miała taką samą.

– Tak, wiem. Setki razy widziałem ją w tej chuście. Perfumy również pachną znajomo. Ale... sam nie wiem.

– Też nie wiem. Ale pan ją dobrze zna. Czego mogła tutaj szukać? W dodatku w nocy? – zapytał jeden z mężczyzn.

Po chwili go poznałem. Syn emerytowanego organisty, zapomniałem, jak miał na nazwisko. Był jednym z głośniejszych przed rozpoczęciem poszukiwań, pił żubra, co mogło świadczyć o tym, że należał do bardziej zaradnych trzydziestolatków, którzy pozostali we wsi.

– Chłopaki, nie wiem. Nie miała żadnego powodu, by wychodzić z domu bez mówienia o tym najbliższym. Nigdy nie miała sekretów. Zналиśmy się jak łyse konie.

– Eee, dawajcie tu tego psa.

– Którego psa? – zapytał popijający z termosu listonosz.

– No przecież nie twojego kundla. Dawać policjanta. Niech wreszcie się do czegoś przyda, bo na razie tylko między nogami się płacze.

Trzask pękających gałęzi pod śniegiem oznajmiał nadejście wezwanego policjanta. Z niemal teatralną aparycją Sherlocka Holmesa wkroczył na „miejsce zbrodni”.

– Co to jest?

– A co pan widzi? Balon przecież.

– Że co?

– No widać przecież, że to chusta pani Wojtaszek.

– Skąd wiecie, że to jej?

– Bo tu, kurwa, mieszkamy i widzimy panią Wojtaszek. A że często w niej chodzi, to pewnie jedna z jej ulubionych. Resztę może sam sobie pan wywnioskować. To pan tu jest z policji, co nie?

– Zapalisz? – Usłyszałem z tyłu.

Gdy się odwróciłem, od razu poznałem tę twarz – wychudzoną i końską. Nadal wyglądał jak syn śmierci wołający o promienie słońca, a przenikliwe oczy sprawiały wrażenie narzędzia do hipnozy.

– Cholera, Przemek.

– Cześć, Szczepan. Kopę lat, co nie?

– Poczekaj chwilę.

Szepnąłem do Wiktora, że idę na bok, by zapalić ze starym znajomym.

– Ale chyba musisz mnie poczęstować, bo nie mam. – Otrzepywałem kieszenie, lecz nigdzie nie wymacałem dobrze znanego kształtu.

– Jasne. Proszę, częstuj się.

– Dziękuję. – Z papierosem w ustach pochyliłem się w stronę ognia. Zaciągnąłem się mocno, by choć na chwilę nie czuć przenikliwego zimna.

– I co o tym myślisz? – zapytał Przemek, odpalając papierosa.

U jego prawej dłoni brakowało dwóch palców.

Nie musiałem zgadywać, że dostał pracę w którymś z miejscowych tartaków.

- Sam nie wiem. Dziwne to wszystko.
- Też tak myślę. Przecież wszyscy ją lubiliśmy. Nie mieli długów. Więc po jaką cholere wyszła wieczorem na zewnątrz tak bez celu?
- Coś wyjątkowego wydarzyło się w ostatnich miesiącach, latach w Kamieńcu?
- W Kamieńcu? No co ty. Tu atrakcją jest, gdy u Zamojskich w lodówce pojawi się nowe, zagraniczne piwo. Odkąd wyjechałeś, niewiele się zmieniło. Czas płynie tutaj wolno, w szczególności gdy lato mija. Zima sprawia, że sam wiesz... poza telewizorem nie ma nic innego do robienia.
- To do niej niepodobne.
- To jak z tą małą. Zaraz, jak jej było... a wiem. Emilka! Też przepadła jak kamień w wodę.
- Zwiesiłem głowę, poczułem się jak zbrodniarz, który usłyszał o swojej zbrodni. Nagle stałem się katem pośród nieświadomych ludzi. Znowu nie byłem jednym z nich, ale tym innym.
- O, sorry. Zapomniałem. Idiota ze mnie.
- Nie, w porządku.
- Wiesz, że często coś palnę. Wiem, że bardzo przeżyłeś to, co stało się z Emilką. Była w naszej klasie i w ogóle... tamtego lata trzymaliście ze sobą. Nawet byliśmy zazdrośni o to.
- Zazdrośni?
- No tak. Byłeś fajnym dzieciakiem. Wszyscy chcieli się z tobą kolegować i spędzać czas. W dodatku miałeś fajne komiksy, satelitę, gdzie moglibyśmy jakieś pornolki złapać, ale na całe wakacje przepadłeś. Nawet na piłkę rzadko chodziłeś.
- No wiem. Nie chciałem, żeby tak to wyglądało.
- Nie przejmuj się. Dzieciaki są dziwne. I my na pewno też byliśmy dziwni.
- Myślisz, że wszyscy?
- Rzuciłem dopalonego peta. Choć nie znosiłem śmiecenia w lesie, to nieraz sam byłem skazany na pozostawione po sobie odpadu.
- No ja na pewno. – Śmiech kolegi był autentyczny. Przypominał tego dzieciaka, którego zawsze wysyłaliśmy na drzewo, gdy piłka ugrzęzła.
- A ja?
- Wiesz... Dziwiło nas, że chcesz spędzać tyle czasu z dziewczyną. To był czas, gdy dziewczyny jeszcze były „be”, a nikt nie interesował się spędzaniem czasu z rówieśniczkami. Ty byłeś cały rozpromieniony, a ona chodziła za tobą krok w krok. No i komiksy, wszystkich ciekawiły, ale ty miałeś fioła na tym punkcie. Ale dosyć o przeszłości. Czym ty się właściwie teraz zajmujesz?

- Robię komiksy.
- Co? – Twarz Przemka nadawała się do internetowego memu.
- Serio. Robię komiksy.

Uśmiechnąłem się, jakbym wygrał jakąś potyczkę. Nigdy nie zależało mi na uznaniu, ale tym razem chciałem poczuć się wyjątkowy.

- To fajnie. Wybacz, że tak wcześniej mówiłem. Ale to na serio super.
- Eee. Idziecie czy macie zamiar nadal gadać? – Głos Wiktora był szorstki i stanowczy.

Czas przerwy dobiegł końca.

Wtedy

Podobno zemdląłem i całą noc przespałem z gorączką. Ale to była wersja moich rodziców, ja kojarzyłem ledwie widoczne kontury drzew, śliską ściółkę i dziwne odgłosy. Przysięgłbym, że tamtej nocy byłem w lesie, że szedłem po śliskich kamieniach aż do pewnego miejsca. A on tam był i czekał na mnie. Potem film mi się urwał, a ja się obudziłem w pokoju. Przyczepiony do sufitu model wojennego samolotu obracał się wraz z każdym podmuchem od okna. Promienie słońca raziły mnie w oczy. Gdy zwlekłem się z łóżka, zauważyłem, że ktoś mnie przebrał, na komodzie leżała kartka.

Synku, jesteśmy zajęci. Gdy wrócimy, to wyjaśnimy wszystko. Babcia się tobą zaopiekuje. Kocham Cię.

Mama

– Już się obudziłeś?

Babcia stała w drzwiach, była ubrana w fartuch, który zwiastował świeże wypieki.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech podszyty delikatnym grymasem. Jakby bardzo starała się zagrać rolę pomimo braku umiejętności i chęci.

– Gdzie poszli wszyscy?

– Mama ci wyjaśni, jak wróci.

– Ty nie możesz?

– Mogę. Ale rodzice wolą sami ci to wytłumaczyć.

– Gdzie jest Emilka? Znaleźli ją?

– Kochanie – babcia podeszła do mnie, jakby był uzbrojoną bombą z opóźnionym zapłonem; kucnęła, starając się ciągle zachować kontakt wzrokowy – poczekaj na powrót rodziców.

– Dobrze, babciu.

– Czekam na dole. Mam dla ciebie pyszną szarlotkę. W sam raz na drugie śniadanie. Przebierz się i zjedź.

Pokiwałem głową, jakby sprawa Emilki stała się odległą historią. W moim nastoletnim umyśle powstał plan, by po śniadaniu wymknąć się do lasu. Babcia była diabetkiem, często przysypiała. Musiałem wykorzystać ten fakt.

Gdy zszedłem na dół, babcia stała jak na baczość. Czułem jej wzrok na sobie, przypominała ochroniarza w sklepie mającego na celowniku podejrzanego

kieszonkowca. Usiadłem bez słowa, miska z płatkami była zalana świeżym mlekiem. Słowo „smacznego” padło niczym komenda upoważniająca do wzięcia łyżki w dłoń.

Babcia opowiadała mi anegdoty ze swych młodzięcych lat. Większość znałem na pamięć, ale miło było posłuchać jeszcze raz, zwłaszcza że sprawiało to babci radość. Jedna z nich zaciekała mnie najbardziej. Babcia miała wówczas osiem lat i jak każde z pięciorga rodzeństwa musiała pomagać przy pracach w gospodarstwie. Do owych prac zaliczało się pilnowanie krów na odległych polach. Dla babci był to czas, gdy mogła nacieszyć się pięknem natury, a nawet pobawić z koleżanką, gdy akurat jedna z nich dostała zgodę od rodziców.

Pewnego dnia jedna z krów połknęła coś, co nie powinno było znaleźć się na pastwisku. Duszące się zwierzę z trudem utrzymywało się na nogach. Jego dziki ryk roznosił się po okolicy. Babcia liczyła, że te odgłosy dojdą do oddalonego o kilkaset metrów pola rodziców. Krowa nie miała jednak czasu na pomoc, potrzebowała ratunku tu i teraz. Upadła, jej oczy stały się wielkie i zamglone, kończyny wyprostowały się, a brzuch przypominał napompowany balon. Babcia tonęła w bezradności, płacz przeplatany z modlitwą nie przynosił skutku. By uciec od koszmaru, zatkała sobie uszy i zamknęła oczy.

Czego nie widać i nie słysząc, tego nie ma – wmawiała sobie.

W pewnym momencie ryk krowy przestał być słyszalny. Babcia wiedziała, że to nie zatkałe uszy powodują błogą ciszę, ale coś innego. Nieśmiało otwierała oczy. Zamazane kształty stawały się co raz bardziej ostre. Zielono-brązowa podłużna plama stawała się drzewem, pod którym wcześniej siedziała, czarne-białe łaty leżące przed nią się podniosły.

To nie był sen lub złudzenie, krowa zyskała siły, jej oddech przestał być dzikim wyciem o życie.

Przed zwierzęciem stał mężczyzna z kobietą, dopiero po chwili go poznała. Jej sąsiad wracał z pola, gdy usłyszał umierającą krowę. W tej historii zdaniem babci niespotykany był fakt, że akurat tamtego popołudnia mężczyzna z żoną wracał drogą, która oznaczała spore wydłużenie trasy. Ludzie na wsi nie mają czasu na spacer, jeśli się przemieszczają, to w konkretnym celu i byle szybko, bo obowiązków jest nadmiar. Ale coś spowodowało, że mężczyzna wybrał akurat tę ścieżkę, dzięki czemu mógł uratować krowę. Babcia uznała to za znak z niebios. Prosiła Boga o pomoc w uratowaniu krowy i dostała odpowiedź.

Sęk w tym, że krowa kilka tygodni później skończyła jako mięso.

Nigdy nie rozumiałem sedna tej opowieści. Być może było w niej drugie dno, które pojmę wraz z wiekiem. Do dziś jednak intrygowało mnie życie, które zostało

uratowane, by potem zostało odebrane. Czy w tym była wola Boża, czy człowiek wcielił się w rolę stwórcy, pozbawiając życia to, czego nie stworzył?

Przełykając ostatni kęs ciasta, starałem się zrozumieć opowieść babci. Być może komunikowała mi coś, co miało mi dać odpowiedź na to, co stało się z Emilką, lub po prostu tłumaczyła mi swój punkt widzenia.

Dla dziecka słowa miały magiczną moc. Uznałem słowa babci za zapowiedź. Wiedziałem już, co spotkało Emilkę. Sam do tego doprowadziłem.

Od kolejnych opowieści babci wybawił mnie powrót rodziców. Ubrani w grube gumki i odzież zasłaniającą szczelnie miejsca, przez które komary mogły znaleźć dojdzie, wyglądali na wykończonych. Towarzyszył im Wiktor, który bez słowa wszedł do kuchni, by zajrzeć do lodówki. Mama miała worki pod oczami, była nieumalowana i ewidentnie niewyspana.

– Mamo...

– Tak, kochanie? – Nawet nie spojrzała na mnie, z trudem ściągała umorusane gumki.

– Znaleźliście Emilkę?

– Szczepan... Byliśmy załatwiać sprawy w mieście.

– Nieprawda.

– Nie, kochanie – odpowiedziała z poczuciem winy. – Skąd wiesz, że byliśmy szukać Emilki?

– Bo wiem.

– Nie będziemy cię okłamywać. Twoja koleżanka zaginęła. Jeśli wiesz coś, co może pomóc w jej odnalezieniu, albo coś przed nami ukrywałeś, to musisz nam to powiedzieć. – Tata uklęknął przede mną.

Na jego twarzy pojawił się srogi wyraz, w tamtym momencie przestałem być synem, byłem jednym z jego uczniów, który zawsze miał coś na sumieniu.

– Tato, ja nic nie zrobiłem.

– Kochanie, wiemy, że specjalnie nic nie zrobiłeś. Ale przypomnij sobie. Może wiesz coś, co pomoże w znalezieniu Emilki? – Mama okazywała znacznie więcej empatii, pełniła rolę adwokata, którego ewidentnie potrzebowałem.

– Przysięgam, nic nie zrobiłem.

– Szczepan, jeszcze raz powiedz, co się wydarzyło.

– Pokłóciliśmy się, bo Emilka przyniosła Brunona, a nie Śnieżkę. Obraziła się, gdy powiedziałem, że mnie oszukała. Że obiecała mi, ale złamała obietnicę.

– I co się stało później? – Tata nie odpuszczał.

– Później ona uciekła, zostawiając mi kota. Pobiegnęła w stronę domu. Przysięgam, tato.

– Szczepan, na pewno niczego przed nami nie ukrywasz?

– Przysięgam, tato! – Łzy napływały mi do oczu. Gula w gardle utrudniała powiedzenie czegokolwiek. Mimo wszystko brnąłem w to dalej i nie wyjawiałem najważniejszego.

Wypowiedzianych słów nie mogłem już cofnąć.

– Na pewno?

– Tak, tato.

– Daj spokój. Widzisz, że mówi prawdę. – Mama stanęła w mojej obronie.

Głaskała mnie po włosach, kciukiem delikatnie gładząc czoło. Czułem, że ona jako jedyna zna prawdę, choć jej tam nie było.

Matki wiedzą takie rzeczy.

Tata mnie przytulił. Mogłem utonąć we łzach i wreszcie przestać patrzeć mu w oczy, lecz wiedziałem, że tata mi nie wierzy. Podobno błędzenie w zeznaniach słyszał setki razy, uczniowie jednak nie byli jego synami.

Teraz

Poszukiwania skończyły się, gdy ostatnie piwo zostało opróżnione, a w quadach skończyła się benzyna. Poza chustą niczego nie znaleźliśmy. Wiadomości od córki pani Wojtaszek również nie były obiecujące. Żadnych śladów czy dowodów na to, by kobieta udała się do kogoś bliskiego. Po prostu znikła niczym duch.

Przy obiadowym stole zasiedli wszyscy. Atmosfera przypominała stypę, poza dziećmi milczeli wszyscy. Unikaliśmy kontaktu wzrokowego, a tym bardziej jakikolwiek rozmów. Każdy po swojemu przeżywał powtórkę z przeszłości. Najbardziej zatracona w swoim świecie była Agnieszka. Rozgrzebane rany przechodziły w realny ból. Nie tylko dla mnie koszmar powrócił. Każdy z nas nosił w sobie demony przeszłości. Lecz tylko ja byłem ich stwórcą.

Po kolacji podszedłem do taty, od momentu powrotu sprawił wrażenie, jakby mnie unikał. Siedział w przedpokoju, obsesyjnie czyszcząc buty. Był jak w transie, świecąca powierzchnia obuwia odbijała zarys jego twarzy.

- Tato, możemy pogadać?
- Jasne. – Jego spojrzenie nadal utkwione było w czystym bucie.
- Mam wrażenie, że mnie unikasz.
- Wydaje ci się.
- Wybierasz się gdzieś?
- Mówiłem ci o wystawie.
- W tych okolicznościach to nadal aktualne?
- Będą tam niemal wszyscy. A to dobry pretekst, by poruszyć kwestię zaginięcia. Może ktoś się przyzna do jakiejś głupoty.
- Co masz na myśli? Sądzisz, że ktoś brał w tym udział?
- Ty mi powiedz. – Tata podniósł głowę. Jego wzrok był zimny i przeszywający.
- Co mam ci powiedzieć?
- Po co tu w ogóle przyjechałeś? Co?!
- Jak to po co?
- Zjawiasz się tak po prostu, chociaż na święta nawet nie przyjeżdżasz.
- Tato...
- Nie było cię tutaj! Nie było, gdy byłeś potrzebny. Nie było, gdy zajmowałem się dziadkiem, gdy babcia umierała przez kilka tygodni. Nie ma cię w tej rodzinie od

dawna. Po co tu jesteś? Co jest takie ważne, że nagle się pojawiaasz? Tylko mi nie mów, że poczułeś potrzebę zobaczenia najbliższych albo że chodzi o twoją dziewczynę i próbę naprawienia więzi rodzinnych, by dzieciak miał jakichś dziadków, wujków i ciocię. Powiedz.

– Już ci mówiłem. To był mój dom...

– To jest twój dom i na zawsze nim pozostanie. Tylko że sam grasz obcego.

– Wiedziałem, że masz do mnie żal.

– To nie o to chodzi. Nie chcę stracić syna. Widziałem, jaki to ból, gdy tracisz dziecko. Nieważne, czy ma siedem, piętnaście czy trzydzieści lat. Nie przynoś tego z powrotem, Szczepan. Nie możesz znowu wpakować nas w to bagno.

– O czym to mówisz?

– Tamtego dnia. Wiesz, o który mi chodzi, wszyscy będziemy go pamiętać. Tamtego dnia nie powiedziałaś mi całej prawdy.

Tata wstał, by schować pastę do butów, lecz tak naprawdę po to, by uciec ode mnie. Wiedział, że jeśli skłamię, to moja twarz da temu świadectwo. Czasem lepiej nie poznać prawdy, choć się bardzo chce.

– Powiedziałem, co się wydarzyło. Nic więcej...

– Potrafię poznać kłamstwo. Widziałem, że mówisz prawdę, ale nie całą. Coś zachowałaś tylko dla siebie. To coś tkwi w tobie, a ja nie chcę, by tkwiło w innych. Przemysł to, a teraz ubieraj się.

– Po co?

– Idziesz ze mną. Wystawa to jedno, ale w szkole są inne rzeczy, z którymi jesteś związany.

Tata rzucił mi kurtkę. Odwrócił się w moją stronę i zakładając ręce na piersi, dał mi znak, że nie odpuści.

Musiałem z nim iść, obaj o tym wiedzieliśmy.

*

Budynek szkoły zmienił się nie do poznania. Udogodnienia dla niepełnosprawnych, nowe meble w każdej sali, tablice interaktywne, laptopy, które błyszczały jeszcze nowością. Ludowy charakter spuścizny byłych uczniów widoczny był na ścianach korytarzy. Zdjęcie z dożynek, palmy z niedzieli palmowej, ozdoby bożonarodzeniowe, rysunki przedstawiające dawne zagrody gospodarcze i ich włodarzy. Kamieniec zawsze był pełen dumnych ludzi, ich duma kończyła się wraz z wjazdem do większego miasta. Wówczas szybko zapominali o korzeniach. Sam przekonałem się, jak wiele niesie ze sobą łatka człowieka z wsi zabitej dechami. Stereotypy są jak pyłki

w powietrzu – choć ich nie widać, to rozchodzą się i człowiek nawet tego nie zauważa, a już krążą w jego żyłach.

Na wejściu powitała nas olbrzymia fotografia ojca. Tata przyjmujący nagrodę od MEN-u, a pod nią list od prezesa rady ministrów dotyczący zasług dla rozwoju lokalnej edukacji. Co zabawne, z naszej dwójki to ja okazywałem dumę. Na dole, naprzeciwko szatni, dzieciaki rozdawały ulotki dotyczące pani Wojtaszek. Jej córka stała wraz ze znajomymi, pełniła rolę miejscowej celebrytki. Wszystkie ukradkowe spojrzenia kierowane były w jej stronę. Z trudem przebiliśmy się przez tłum pogrążony w debacie nad zaginioną.

Tak jak pani Wojtaszek mówiła, wystawa taty robiła wrażenie. Ulokowano ją na pierwszym piętrze vis-à-vis schodów, dzięki czemu chcąc nie chcąc wchodzący zaznajamiali się z jej treścią. Dokumenty przedstawiające Kamieniec na przestrzeni setek lat, rękopisy byłych mieszkańców, fotografie, których zdobycie graniczyło z cudem. Już na pierwszy rzut oka widać było, jak wiele tata poświęcił dla tej wystawy. Była to forma żałoby, swoista pokuta, którą sam sobie zadał.

Pomimo posępnej atmosfery i dominującej tematyki zaginięcia, wokół wystawy kłębiły się tłumy. Z trudem przesuwałem się, by oglądnąć kolejne zdjęcia i dokumenty, które pomimo powiększenia były trudne do rozczytania.

Ludzie na zdjęcia sprawiali wrażenie pozbawionych emocji. Ich twarze nie przedstawiały jakiegokolwiek ekspresji. Były bez wyrazu i ponure. Część osób przypominało hobbitów, odwzorowane łóżko, które tata ulokował pośrodku wystawy świadczyło o tym, że kilkaset lat zaowocowało dodatkowymi centymetrami.

Na kolejnym zdjęciu widoczna była kobieta, miała zasłonięte włosy, lecz rysy twarzy – tak surowe, a zarazem wyraziste – świadczyły o jej urodzie. Przesunąłem się w prawo, by zobaczyć następną część wystawy. Szyld „Czarodziej z Kamieńca” był dobrym zabiegiem PR-owym. Skoro zaintrygował dojrzałego faceta, to dzieciaki tym bardziej. Na pierwszej fotografii widoczny był olbrzymi mężczyzna ubrany w czarny strój przypominający sukmanę. Zasłynał dzięki zaklęciu, które rzekomo odganiało klęski żywiołowe i chroniło wieś oraz jej mieszkańców przed chorobami. „W przeciwieństwie do pobliskich wsi i osad Kamieniec nigdy nie walczył z poważnymi epidemiami oraz nie zmagał się z głodem” – głosił napis pod zdjęciem. Gdy spojrzałem w dół, na kolejną fotografię, poczułem, jakby czas stanął w miejscu.

Chłód dopadł mnie znienacka. Omal nie zwróciłem zawartości żołądka. W płucach zabrakło mi powietrza. Szum w uszach odciął mnie od rzeczywistości. To był on. Pierdolony Lapis prowadzony przez wieś. Ta sama broda ozdobiona siwizną, ten sam płaszcz i ta postura. Na dłoniach miał sznur, na którym był prowadzony. Z trudem

odczytałem tekst znajdujący się pod zdjęciem. Litery zlewały się ze sobą. „Tak zwany czarodziej z Kamieńca zginął w tragicznych okolicznościach”. Według kronikarza, jeden z mieszkańców zabił wspomnianego czarodzieja w odwecie za nieudaną próbę uzdrowienia jego syna. Na tym mężczyźnie dokonano samosądu. Mieszkańcy wsi przywiązali mordercę do drzewa, po czym ukamienowali go, a gdy jeszcze żył, ciało nieszczęsnika trafiło do pobliskiej wody, by utonął żywcem. Dodatkowo, w ramach kary, zwłoki rodziny mężczyzny zostały pozostawione przykute do drzewa. Najbliżsi zostali zatłuczeni na miejscu. Również ich oskarżono o czarną magię.

Kurwa mać, w tej historii było już wiele. Ale ducha mszczącego się na mieszkańcach jeszcze nie. Dlaczego akurat ja, dlaczego Emilka i pani Wojtaszek?

– Szczepan, chciałbym ci kogoś przedstawić – wtrącił ojciec. Jego głos brzmiał jak dobiegający z oddali. Niczym echo przywiedzione magicznym zaklęciem.

– Halo, Szczepan? Co jest z tobą?

– Proszę?

– Zachowuj się – szepnął tata wrogim tonem.

– Przepraszam bardzo.

Z trudem dochodziło do mnie to, co się dzieje.

Byłem w obcym filmie, gdzie scenariusz kompletnie nie pasował do aktorów.

– To pani Olecka, pewnie nie pamiętasz, ale była twoją przedszkolanką.

– Bardzo mi miło – wydukałem niczym niesforny małolat.

– Szczepanie, pamiętam cię jako brzdąca z pełnymi policzkami i w sweterku z kotem.

– Przykro mi, ale ja pani nie pamiętam.

– Gdy chodziłeś do podstawówki, wyjechałam do Rzeszowa. Wyszłam za męża i dopiero po śmierci męża wróciłam w rodzinne strony.

– Przykro mi z powodu pani męża – odparłem mechanicznie.

Moje emocje były skamieniałe.

– Daj spokój. To już cztery lata. Czas płynie i goi rany. Nie można stać w miejscu i czekać, aż życie przeminie.

– Pani Zofia pomogła mi przy wystawie. To również jej dzieło.

– Przestań, oboje wiemy, że to ty zrobiłeś największą robotę. – Kobieta spojrzała na tatę, jakby mieli potajemny pakt.

– Ale bez ciebie niewiele bym zrobił.

– Oj tam. Zostawię was samych. Mam nadzieję, Szczepanie, że się jeszcze spotkamy.

– Pewnie tak. Dziękuję za pomoc tacie.

Ojciec spojrzał na mnie oskarżycielsko. Czułem, że jest niezadowolony z mojej postawy. Zmierzył mnie wzrokiem. Z poszerzonymi źrenicami, przyspieszonym

oddechem i wyblakłą twarzą byłem dla niego otwartą księgą.

– Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył.

– Nie, duszno tutaj – skłamałem tak nieudolnie, że nawet sam sobie nie uwierzyłem.

– Idź zapal, może świeże powietrze cię otrzeźwi. Zaraz Marek przyjdzie.

– Jasne. Zaraz wrócę.

Z trudem przecisnąłem się przez tłumem. Co chwilę ktoś się ze mną witał, szukał okazji do rozmowy lub przynajmniej krótkiej wymiany zdań. Im bliżej wyjścia byłem, tym bardziej pajęcza sieć cudzych spraw i intencji mnie pochłaniała. Wypadłem na zewnątrz jak uciekinier z płonącego budynku. Świeże powietrze zadziało niczym wymierzony policzek. Pojedyncze płatki śniegu znaczyły moją głowę. Chłód był wyjątkowo przyjemny i kojący. Niemalże jak objęcie mamy, gdy koszmar senny był jeszcze namacalny.

– Źli ludzie nie dali ci spokoju?

Głos Marka płynął z ciemności. Zanim postać brata pojawiła się pod lampą, zdążyłem założyć maskę normalności.

– Wiesz, jak jest, każdy zna każdego. A ja czuję się, jak obcy w stadzie.

– Nie jesteś obcy. Poczęstujesz jednym?

– Przecież nie palisz.

– Na budowie nie da się nie palić. Czasem dla towarzystwa wręcz trzeba.

– Proszę. Chociaż to do ciebie niepodobne.

– Co jest niepodobne? – Brat zmarszczył brwi, jakby poczuł się oskarżony.

– Dostosowanie się do innych.

– Życie to jedno wielkie dostosowanie. Nie da się być niezależnym elementem. Nie żyjemy na bezludnej wyspie.

– Może masz rację.

– Pracujesz sam ze sobą, jesteś szefem i pracownikiem w jednej osobie.

– Wiem. – Zaciągnąłem się łapczywie.

Chciałem, by nikotyna zabrudziła mi myśli i wygoniła Lapisa z podświadomości.

– Zostawiłeś tatę samego?

– Samego? Jest tam gwiazdą. Na pewno chmara ludzi dopadła go, zanim zszedłem na parter.

– Poznałeś ją?

– Kogo?

– Panią Zofię Olecką.

– Tak. Podobno była moją przedszkolanką, ale z czasów, gdy ją pamiętam, miała kwiecistą spódnicę, włosy zrobione trwałą i okropne okulary, które zakrywały jej

twarz.

– Postaraj się być dla niej miły. To... ważna osoba dla taty.

– Ważna? Co masz na myśli?

– Sam ci powie. Ja nie powinienem tego robić.

– Nie rób tego. Skoro powiedziałeś A, to powiedz B. – W swoim głosie usłyszałem irytację. Brzmiała roszczeniowo zgodnie z intencjami.

– Okej. Ale udawaj zaskoczonego. Pani Zofia jest sympatią taty. Po śmierci mamy tata był zagubiony i samotny. Cierpiał na depresję i musieliśmy go pilnować, bo naprawdę źle z nim było. Siedział wieczorami przed domem. Chodził nocami po okolicy bez celu. Dopiero wizyta u psychiatry i leki pomogły. Potem pojawiła się pani Zofia. Na początku spędzali czas jak zwykli przyjaciele pracujący przy jednym projekcie, ale później Zofia częściej u nas gościła. No i sam wiesz.

– Tata i pani Zofia? Razem? – pytałem z niedowierzaniem, czując się ostatnim nieświadomym we wsi.

– Tata czekał na twój powrót. Oni chcą razem zamieszkać. Ale tata chciał, byś się dowiedział o tym od niego. Nie przez telefon, tylko gdy ją poznasz i zaakceptujesz.

– To fajnie, że ma kogoś.

– Dobrze, że tak uważasz. To bardzo dobra kobieta. A tata jest znowu szczęśliwy. Jakby życie na nowo dało mu szansę.

– Naprawdę się cieszę. Ale dlaczego nikt mi nie powiedział, że z tatą jest źle?

– To nie było łatwe. Tego nie da się powiedzieć przez telefon albo tak po prostu podczas śniadania wielkanocnego. Zresztą to już zamknięty rozdział. Tata przeszedł depresję, znalazł kogoś. Życie dało mu nową szansę. Nie ma sensu do tego wracać.

Niemal w tym samym momencie wyrzuciliśmy pety. Spojrzeliśmy po sobie jak dwójka małolatów, która popełnia przestępstwo. Tata zrugałby nas za zaśmiecanie terenu szkoły.

– Chodź. To jego święto. Musimy przy tym być.

Kiedy otworzyłem drzwi do szkoły, zaskoczyła mnie cisza. Dyskretny szmer przewijał się przez korytarz. Głośne rozmowy toczące się jeszcze pięć minut temu zastąpił stan niepokoju. Wraz z Markiem nieśmiało przeciskaliśmy się do przodu. Nagle dostrzegłem Martę objętą przez jakąś kobietę. Jej szloch stawał się coraz głośniejszy. Spojrzałem na Marka, również sprawiał wrażenie zagubionego. Podeszedł do nas proboszcz i odciągnął na bok.

– Chłopaki...

– Co się stało?

– Do Marty odezwała się policja. Podobno znaleźli ślady krwi w bagażniku samochodu.

– To znaczy?

– W samochodzie męża Marty, a konkretnie właśnie w bagażniku znaleziono krople krwi, które mają należeć do pani Wojtaszek.

– Głupoty ksiądz opowiada – wtrącił się starszy mężczyzna.

– Ciii – przywołał nas do porządku ktoś z tłumu.

– To nie była krew. Sprowadzili psy z Krakowa i to one wywąchały ślad. Ale to nie była krew – szeptał niewyraźnie starszy mężczyzna, lecz clou wypowiedzi udało mi się wychwycić.

– To była krew – upierał się ksiądz.

– Gównu, nie krew! – warknął jeden ze stojących obok starców.

Zanim zdążyłem się zorientować, na korytarzu zapanował chaos. Ludzie zaczęli się przekrzykiwać, wrzeszczeć na siebie i rozpychać. Niemal można było wyczuć narastający gniew. Pozostawiłem Marka, który próbował uspokoić skłóconych starców. Ruszyłem w stronę schodów, chciałem wyciągnąć tatę z trudnej sytuacji. Gdy odwróciłem się, by zobaczyć narastające piekło, wówczas to się stało.

Marta wyrwała się z objęć kobiety. Wpadła w furję, wrzask przeszywał salę niczym brzytwa. Córka zaginionej chwyciła stojącą obok figurę patronki szkoły – Matki Boskiej Ostrobramskiej – która po chwili roztrzaskała się w drobny mak. Huk odbijał się od ścian, a drobne fragmenty rozniosły się między nogami gapiów. Tłum zamarł, jakby był świadkiem zmartwychwstania.

Marta wrzeszczała jak opętana, przeklinała i uderzała pięściami w ścianę. Doskoczyli do niej młodzi mężczyźni, próbując zatrzymać kobietę, zanim zrobi sobie krzywdę.

– Marta, uspokój się – padło z ust jednej z kobiet.

– Przesuń się, Szczepan. – Usłyszałem.

Gdy się obróciłem, zobaczyłem przed sobą ojca. Pojawił się znienacka niczym dzin. Tata ruszył w stronę Marty, niemal powalając mnie na ziemię.

– Marta... – zdołał powiedzieć, zanim ta z impetem uderzyła w ścianę.

Stojący obok mężczyźni nie zdążyli zareagować. Kobieta ponowiła uderzenie, tym razem na jej czole pojawiła się czerwona kreska, która chwilę później zamieniła się w krwawą plamę.

Tata wraz z pozostałymi doskoczył do Marty. Chwycili ją mocno za ręce. W delikatną dziewczynę wstąpiły nadludzkie siły. Trzech dorosłych mężczyzn nie było w stanie jej powstrzymać. Marta rzucała się niczym schwyte zwierzę. Szamotanina zakończyła się na podłodze, nagle straciła siły, co zwiędził dziki ryk.

– Marta, to nie musi znaczyć, że się jej coś stało. To na pewno da się wytłumaczyć – powiedziała Zofia, która nagle pojawiła się u boku taty.

Delikatnie podnieśli ją z podłogi, była prowadzona przez dwóch mężczyzn, niczym złoczyńca gotowy do ucieczki. Tłum się rozstał, by zrobić miejsce, kilka osób niemal mnie przewróciło. Niektórzy skierowali się w stronę wyjścia, inni ruszyli na piętro. Miałem wrażenie, że jestem niewidoczny, przepychany, traktowany jak worek z ziemniakami. Nagle poczułem czyjś oddech na swojej szyi. Rozejrzałem się, lecz nikt nie nawiązywał ze mną kontaktu. Zachciało mi się palić, a raczej uciec z tego koszmaru. Odruchowo włożyłem dłoń w kieszenie kurtki. Pierwsze wymacałem klucze od krakowskiego mieszkania, potem to, czego potrzebowałem, ale oprócz zapalniczki i papierosów było coś jeszcze.

Dobrze znałem ten kształt i powierzchnię. Nie musiałem długo wodzić palcami po ostrych krawędziach kamienia. Wiedziałem, że tam jest.

Wtedy

Dni miały wolno, spędzałem każdą godzinę w swoim pokoju. Nie chciałem wychodzić, postanowiłem, że dopóki Emilka nie wróci, to nie wyjdę. Mama prosiła mnie, bym się pobawił przed domem, tata namawiał, bym dołączył do kolegów i pograł w piłkę. Babcia była najbliższej wyrwania mnie z czterech ścian. Chciała mnie zabrać na niedzielną mszę. Mówiła, że to msza popołudniowa, więc nie będzie dużo ludzi. Ale pomimo świadomości popełnionego grzechu nie byłem w stanie opuścić swojej celi. Komiksy przestały mnie interesować, tata przywiózł mi z miasta nowe wydania Batmana, były tak świeże, że papier był przyjemny w dotyku, lecz i to nie pomogło.

Nocami patrzyłem przez okno, liczyłem do tysiąca, by powtórzyć to po raz kolejny. Widywałem błakające się psy, które tylko nocami zaznawały wolności, lisy szukające swej potencjalnej ofiary, a nawet dzika, który lubił się zdrzemnąć obok mojej huśtawki. Noc za nocą. Jej nie było. W ciągu dnia widziałem, jak przyjeżdża policja oraz jak zjawiają się rodzice Emilki, których tata obejmował i pocieszał.

Od stania w oknie bolały mnie nogi, dlatego przyniosłem ze strychu stare krzesło dziadka. Było za wysokie, ale dzięki niemu i kilku tomom encyklopedii mogłem siedzieć na tyle wysoko, by wszystko dobrze widzieć.

Do pokoju często przychodził tata. Rozmawiał ze mną, starannie unikając wiadomego tematu. Sam też nie byłem w stanie poruszyć kwestii Emilki. Jedyne, co wiedziałem, to to, że Emilki nie odnaleziono, a ślad po niej zaginął. Były to strzępki podsłuchanych rozmów moich rodziców ze znajomymi i krewnymi.

Tydzień po zniknięciu w naszym domu pojawiła się policja.

Myślałem, że kolejny raz chcą ze mną porozmawiać, lecz tym razem przyszli po Wiktora. Zarówno tata, jak i mama byli kompletnie zaskoczeni. Oczywiście, Wiktor nie był typem świątobliwego, ale zawsze wychodził cało z opresji, nie miał też powodów, by bać się o swój los. W Kamieńcu nie było tematu narkotyków, bójek czy też wymuszeń. Jedyne prymitywne graffiti na przystankach mogło powodować jego problemy z prawem. Ale pan z policji powiedział, że chodzi o zniknięcie Emilki i więcej wyjawić nie może.

Pojechali do miasta, tata od razu ruszył za nimi. Mama musiała poczekać, aż wróci babcia, bo według niej nie mogłem zostać sam.

Tamtego dnia Wiktor wrócił wieczorem. Rodzice myśleli, że już śpię. Mama przyszła sprawdzić, lecz udało mi się oszukać jej czujność. Wyjątkowo zamknęła drzwi mojego pokoju, czego jeszcze nigdy do tej pory nie zrobiła. Na palcach delikatnie podszedłem do drzwi. Przystawiając ucho, kontrolowałem oddech, wiedziałem, że trzeba tak robić, bo widziałem to w jakimś zagranicznym serialu w telewizji.

Na początku słyszałem tylko mamę. Krzyczała na Wiktora i domagała się od niego odpowiedzi. Na początku głosy były niewyraźne, ale z czasem rozumiałem coraz więcej. Jedyne słowo, które było mi obce to „pedofil”. Zdawałem sobie sprawę, że to coś złego lub ktoś zły, ale konkretnie nie wiedziałem, o co chodzi. Ze słów mamy wywnioskowałem, że według policji to Wiktor jest pedofilem i dlatego jest winny jej zniknięcia. Po dłuższej ciszy, która nastąpiła po tym, jak Wiktor wreszcie się odezwał, swoje zdanie wypowiedział tata. Mówił znacznie ciszej od innych, ale zrozumiałem, że to niemożliwe.

Kolejne krzyki były jeszcze bardziej niewyraźne niż na początku awantury. Mama wrzeszczała tak, że obudziłaby nawet niedźwiedzia ze snu zimowego. Dopiero gdy usłyszałem zatraskiwane drzwi, kłótnia ucichła. Chwilę później słychać było już jedynie rozmowę mamy i taty. Rozmawiali szeptem, ich głosy były spokojnie oraz monotonne. Ostatecznie po godzinie w domu nastąpiła głucha cisza. Ja zasiadłem obok okna, nadal łudząc się, że na polanie z ciemności wyłoni się Emilka. Niestety nastąpił kolejny świt.

Nazajutrz wyjątkowo sam, bez namowy, zszedłem na śniadanie. W jadalni byli jedynie babcia z dziadkiem. Oboje wystraszyli się na mój widok, nagle przerwali rozmowę, jakby zostali przyłapani na gorącym uczynku.

Babcia przywitała mnie uśmiechem, choć po jej oczach widziałem, że płakała. Jej dłonie drżały i były jeszcze bardziej nieporadne niż zawsze.

Dziadek schował się za gazetą, lecz widziałem, że obserwuje mnie ukradkiem.

– Babciu... gdzie jest Wiktor?

Postanowiłem bez ogródek wytoczyć najcięższe działo.

– Wiktor... no wiesz, jak to z tymi kawalerami. Żyje w swoim świecie. Pewnie gdzieś z kolegami się błąka. Jemu też kończą się wakacje.

– Wiadomo, dlaczego wczoraj była po niego policja?

– Wiesz, chcieli coś sprawdzić. Ale się pomylili i Wiktor wrócił wieczorem, ale ty już spałeś i nie było sensu cię budzić – wyjaśnił dziadek. Z pewnością miał większy talent do kłamstw, bo gdyby nie wczorajsza awantura, tobym mu uwierzył.

– Mhm...

– Kochanie... Musisz o czymś wiedzieć.

– No...

– Na wsi mogą mówić dziwne rzeczy. To znaczy o Wiktorze...

– Na przykład? – Udałem Greka, licząc, że babcia powie o jedno słowo za dużo.

– Nieważne. Cokolwiek o nim usłyszysz i będziesz uważał to za dziwne, wiedz, że to kłamstwo. Ludzie dużo mówią, ale rzadko kiedy mają rację, a jeszcze rzadziej znają prawdę. Tak im się tylko wydaje.

– Będą mówić, że Wiktor jest pedofilem?

– Co?! Kto ci tak powiedział? – wzburzył się dziadek.

– Usłyszałem wczoraj, jak spałem. Na dole rozmawiali rodzice z Wiktorem. – Postanowiłem skonfrontować dziadków z brutalnymi faktami.

– Przesłyszałeś się, mój drogi – bronił twardo swojego stanowiska, bawiąc się wąsem, co oznaczało, że krew gotuje mu się w żyłach.

– Dobrze. Rozumiem. – Zwiesiłem głowę.

Wiedziałem, że będąc dzieckiem, jak dziecko będę traktowany. Są prawdy dla dorosłych i prawdy dla dzieci. Czasem kłamstwo nie oznacza nieprawdy. Jest po prostu inną wersją prawdy.

– Wiktor nie zrobił nic złego, gdy wróci, to ci sam o tym powie.

Słowa babci uznałem za pewnik. Wiedziałem, że kto jak kto, ale Wiktor powie mi, jak jest. Zawsze mówił do mnie jak do dorosłego i nie ściemniał.

Ale co, jeśli Wiktor naprawdę jest pedofilem? – pomyślałem. – Nawet mi się nie przyzna.

– Szczepan, dobrze, że nigdzie nie wychodzisz. Chętnie zabiorę cię na ryby.

– Może jednak pójdę do kolegów pograć?

– Nie! Lepiej nie – zareagował stanowczo dziadek. – Będzie mi bardzo miło, jak dotrzymasz mi towarzystwa. Wiesz, siedzenie nad rzeką z patykiem w wodzie jest dosyć nudne. Towarzystwo zawsze jest mile widziane. Poza tym, pogadamy sobie po męsku, prawda?

– Będzie lepiej, jak pojedziesz z dziadkiem. Obaj dawno nie byliście na rybach. Dobrze wam to zrobi.

– Ale na ryby jeździ się z rana?

– A co mamy? Wieczór? – zapytał z lekkim uśmiechem dziadek.

– No rano, ale chodziło mi o to, że jeździ się o świcie.

– Ale mamy jeszcze młodą godzinę, więc nie marnuj czasu. Zjedz i się ubieraj. A potem na przygodę! Tak jest?! – Dziadek zasalutował niczym wytrawny wojskowy.

– Tak jest, dziadku! – odpowiedziałem dziadkowi podobnym gestem, choć wiedziałem, że ta szopka ma na celu jedyne zamydlenie mi oczu.

Nadal nie wiedziałem, gdzie jest Wiktor, czy naprawdę jest pedofilem i dlaczego został o to oskarżony. Wyprawa na ryby była całkiem udana, choć niczego nie złowiliśmy. Po raz pierwszy od zaginięcia spędziłem jednak czas poza domem. Byliśmy na lodach i na chwilę w kościele. Ludzie na rynku dziwnie się nam przyglądali, ale dziadek mówił, że to nie na nas patrzą, tylko mi się tak wydaje. Ja jednak wiedziałem swoje.

Teraz

Do domu wróciłem wraz z Markiem. Tata gdzieś zniknął, zapewne zakończył wieczór u Zofii. Chyba zrozumiał, że nie musi się już kryć ze swoim związkiem. To zabawne, jak czas działa na ludzi. Czasem zamiana ról przydarza się z zaskoczenia. Dawniej to ja bym się krępował ze swoją sympatią, dziś to tata bał się przedstawić mi swoją miłość, a tym bardziej zdefiniować ją podczas pierwszego spotkania. Nie miałem żalu do taty, cieszyłem się jego szczęściem. Wiedziałem, że kochał i nadal kocha mamę, ale jej już nie było, a życie toczyło się dalej. Banał, tylko że życie było banałem, choć człowiek nie dopuszczał tego do świadomości, racząc się opium wyjątkowości, które każdy rzekomo nosił w sobie.

Brak ojca w domu sprawił, że z rodziny staliśmy się obcymi elementami. Każde z nas rozeszło się w swoją stronę. Wiktor z Agnieszką zajmowali się dziećmi, ja spocząłem w moim dawnym pokoju. Plakaty Public Enemy i Eminema lustrowały każdy mój ruch, pomieszczenie stało się wyjątkowo ciasne. Jakby przez lata skurczyło się proporcjonalnie do mojego wieku. To dziwne, ale dopiero teraz świadomie przebywałem w swoim pokoju. Starocie przypominały mi, jak długą drogę przebyłem. Pod łóżkiem znalazłem jedno z moich pierwszych komiksów. Były tak prymitywne, a zarazem prawdziwe, że z trudem je przeglądałem. Postacie, które stworzyłem, miały receptę na każde zło obecne na tej ziemi. Kreowałem bohaterów Bogów, dobro zawsze zwyciężało, zło nawet nie miało pola manewru. Bez jakiegokolwiek ofiary i poniesionych kosztów dobro musiało zwyciężyć, to przecież proste. Dziś tworzyłem komiksy, w których nie było oczywistych rzeczy, bohater nie był czysty jak łąza, a obok zwycięzcy zawsze istniał kozioł ofiarny.

Swojego kozła pozostawiłem w lesie, płaczącego, odrzuconego, aż wreszcie przeklętego. Od lat tworzyłem komiks o tej historii. Podobno nie wolno było zbyt bardzo identyfikować się ze swoim dziełem, bo wówczas zacierały się granice między fikcją a rzeczywistością. Mnie już dawno pozbawiono tych granic, nie wiedziałem, gdzie była prawda, a gdzie fikcja. Podobnie jak nie wiedziałem, czy mam krew pani Wojtaszek na rękach.

Wczoraj pani Wojtaszek wyglądała na spokojną, była jedną z tych osób, którą codzienność pochłonięła na tyle, że nie zauważyła, jak zło się po nią upomina. Wtedy na rynku wydawała się jedynie niewielkim fragmentem mojej przeszłości. Osobą jedną

z wielu, osobą, której równie dobrze mogłoby nie być w moim życiu, a bieg mojej rzeki nie zmieniłby koryta. Dlaczego więc ona? Dlaczego koszmar powrócił?

Ubrana była w beretkę i skórzany płaszcz, a w ręce miała torebkę Diora, która na prowincji musiała świecić niczym pochodnia wewnątrz jaskini. Poza drogą torebką wyglądała jak jedna z wielu kobiet zabijających czas na zadupiu. Szukałem dziury w całym, rzeczy, która sprawiłaby, że układanka zacznie do siebie pasować. Pani Wojtaszek była nauczycielką zarówno moją, jak i Emilki, mieszkała kilkadziesiąt metrów od niej. Mogły się mijać setki razy, rodzice mojej dawnej sympatii mogli być przyjaciółmi pani Wojtaszek, odwiedzać się od czasu do czasu. W tym musiał być wadliwy punkt. Czarny charakter zawsze popełniał błędy, lecz co, jeśli tym czarnym charakterem byłem ja?

Przeglądając komiksy, natrafiłem na zapomniane zapiski, były to próby stworzenia dziennika – zapisów z okresu, gdy nocami czekałem na pojawienie się Emilki przed moim oknem. Notatki były ledwie czytelne, niczym sporządzane przez różne osoby. Charakter pisma się zmieniał, raz litery były wyraziste, by innym razem miały koślawy kształt, jakby pisał je pijany.

Tej nocy pod oknem pojawił się dzik. Sprawiał wrażenie zagubionego, jakby kogoś lub czegoś szukał. Błądził po naszym podwórku, lecz po kilkudziesięciu minutach wrócił do lasu. Widziałem go już wcześniej, ale wtedy pojawiał się na moment. Dziś trwało to znacznie dłużej. Może jak będę duży, to zrobię komiks o dziku, który specjalizował się w poszukiwaniu zaginionych ludzi. Tak naprawdę ten dzik będzie człowiekiem, którego ciemność zamienia w dzikie zwierzę i dodaje mu supermocy. Na razie nie mam głowy do komiksów, nawet nie czytam tych, co mi tata kupił. Emilki wciąż nie ma. Może jutro się pojawi.

Te zapiski były wyraźne, pisane pismem, które widniało w moich zeszytach. Kolejne kartki były pełne bazgrołów, nawet pojedyncze słowa ledwie dało się odczytać. Skupiłem się, by w kolejnych liniijkach odnaleźć słowo „Emilka”, lecz i to okazało się bezsensowne.

Pukanie sprawiło, że poczułem się nakryty. Jakby ktoś przyłapał mnie na intymnej czynności. Odruchowo wrzuciłem zapiski pod łóżko, a na kolanach położyłem moje stare komiksy.

- Proszę – wypowiedziałem jednym tchem.
- Hej, mogę? – Na twarzy Agnieszki widać było zakłopotanie.
- Jasne. Wejdz.
- Słuchaj, ostatnio robiłam porządki na strychu i znalazłam tam kilka twoich rupieci. Może masz ochotę to przeglądnąć?

- No w sumie... czemu nie.
- Są po prawej, zaraz jak otworzysz drzwi. Dwa pudła kartonowe. Może coś ci się przyda, na pewno masz tam swoje małe skarby.
- Albo graty, które jedynie zajmują miejsce.
- Czasem takie graty są najfajniejszym znaleziskiem.
- Dzięki, zaraz tam zajrzę.
- Miłego wieczoru. Jakby co, to wiesz, gdzie nas szukać.
- Jasne, pa.

Gdy drzwi się zamknęły, niepokój minął. Agnieszka momentami budziła u mnie dyskomfort. Pomimo sympatii, jaką ją darzyłem i jaką otrzymywałem od niej, była osobą, która drażniła moje sumienie. Zbyt wiele kobiet zraniłem w swoim życiu, by otrzymywać od kolejnej bezinteresowną sympatię.

Znajomy dźwięk dobiegł z komody, rozleniwiony podniosłem się z podłogi. Na wyświetlaczu zobaczyłem znajome imię.

- No hej, kochanie.
 - Cześć, stęskniłam się.
- Seksowny głos działał na mnie kojąco.
- Ja również.
 - Co tam u ciebie?
 - W sumie to nic. Byłem na wystawie taty.
 - Jakiej wystawie?
 - Tata zebrał dokumentację na temat wsi i jej dawnych mieszkańców. W sumie to fajnie mu to wyszło. Wiele ciekawych rzeczy. Najważniejsze, że jemu sprawiło to radochę.
 - A tobie?
- Mnie?
- Tak.
 - Chyba też... to znaczy też. Cieszę się, że się odnajduje.
 - Szczepan... chciałabym wiedzieć, kiedy wrócisz, mówiłeś, że to potrwa góra trzy dni.
 - Wiem, kochanie. Ale sam jeszcze nie wiem. Co się stało?
- Tym razem poczułem, że nie tylko ja omijam pewną część prawdy.
- Nie. Po prostu chcę, żebyś był tutaj.
 - Okej. Postaram się przyjechać jak najszybciej.
 - Właściwie nie powiedziałeś mi, po co tam pojechałeś. Mówiłeś, że chcesz zobaczyć się z rodziną, bo dawno u nich nie byłeś. Ale czy był jakiś konkretny cel?

- Nie, kochanie.
- Rozumiem. To znaczy nie rozumiem, ale widocznie miałaś jakiś powód. Liczę, że dowiem się wszystkiego po twoim powrocie. Padam z nóg. Miałam dziś masę zajęć i jedyne, o czym marzę, to łóżko.
- Ale jest puste...
- Wyobrażę sobie, że jesteś obok i... resztę niech ci wyobraźnia podpowie.
- Niegrzeczna dziewczynka.
- Taką mnie kochasz. – Jej głos stał się jeszcze bardziej zmysłowy.
- Oj, tak.
- Wracaj szybko, zmykam pod prysznic. Dobranoc, skarbie.
- Pa, kochanie.

Po rozłączeniu się spojrzałem na zegarek na wyświetlaczu. Dwudziesta pierwsza trzydzieści siedem. Za młoda godzina na sen, za późna na coś więcej niż telewizor lub przeglądanie relikwów przeszłości. Postanowiłem zaglądnąć na strych, to jedyne, co mogę zrobić, by zabić nudę, zanim sen mnie dopadnie. Na korytarzu panowała ciemność, dźwięk telewizora cicho rozchodził się po ścianach, spod drzwi sypialni Wiktora i Agnieszki wypływała wiązka światła. Nie tylko ja nie mogłem spać. Najdelikatniej, jak tylko potrafiłem, poszedłem w stronę strychu, podłoga wydała metaliczny zgrzyt. W aurze ciemności atmosfera filmu grozy stała się coraz bardziej wszechobecna. Klamka skrzypiała, by po chwili oporu ustąpić.

Wkroczyłem do zapomnianego pomieszczenia.

Jak dobrze pamiętałem, kilka centymetrów na prawo powinien być włącznik światła. Nie myliłem się, ostra wiązka światła razila mnie w oczy. To, co widziałem, stanowiło składankę lat dziewięćdziesiątych i początku dwudziestego pierwszego wieku. Stara piłka, która miała więcej śladów zadrapań niż czystych fragmentów; latawiec, o którym dawno zapomniałem; stare rzeczy taty; globus; prace dzieciaków oraz książki, które nie mieściły się już na półkach. Niemal wszystko ułożone na modłę Agnieszki. Porządek wręcz irytujący, choć dający poczucie bezpieczeństwa.

Moje rzeczy faktycznie znajdowały się tuż po prawej. Z pierwszego pudła wystawała kolekcja moich koszulek piłkarskich, Marek Citko w barwach Widzewa – nasz wiejski idol, bo każdy marzył o takiej bramce na Wembley. Nieco niżej Olivier Bierhoff z Milanu i Del Piero z Juventusu z kultowym napisem „Sony” – prawdziwa kwintesencja lat dziewięćdziesiątych. Były także czapki z daszkiem, które uporczywie kolekcjonowałem. Napis „Starter” był równie kultowy, jak i piwo EB. Logo drużyn z NBA były już dawno nieaktualne, ale nadal miały czadowy wygląd.

Agnieszka mówiła o dwóch pudłach. Obok drugiego dostrzegłem czarny worek. Wyglądał na nowy. Być może bratowa zapomniała dodać, że jest jeszcze jeden zbiór moich rzeczy. Co dziwne, to on budził moją największą ciekawość. Odsunąłem kartony na bok. Worek był szczelnie zawiązany, dodatkowo zaciśnięty plastikową opaską zaciskową. Z trudem zdjąłem opaskę i odwiązałem worek. Wewnątrz znajdowały się damskie ubrania, szybko je poznałem. To były rzeczy mojej mamy – kwiecista sukienka, którą wkładała do kościoła, T-shirt z tęczą, w którym lubiła pracować w ogródku.

Nagle trafiłem na twardą bryłę.

– Boże, spraw, żeby to nie był kolejny kamień – szeptałem sam do siebie.

Szybko uświadomiłem sobie, że ta rzecz jest zbyt duża na kamień.

Wziąłem głęboki oddech i zanurzyłem dłoń. Śliska powierzchnia, w dotyku przypominająca skórę. Kształt zupełnie niepodobny do czegokolwiek. Wyciągnąłem to jednym ruchem, a zaskoczenie ogłupiło mnie niczym cios w skroń.

Biała torebka, wyglądająca na nową, mógłbym uznać, że to kolejna rzecz mamy. Ale już widziałem tę torebkę, i to całkiem niedawno. Złoty napis „Dior” błyszczał, odbijając światło żarówki. Odruchowo ją otworzyłem i zaglądnąłem do środka. Telefon blackberry, który się rozładował, różaniec, paczka chusteczek higienicznych i baton mars. Był jeszcze czarny portfel, po śladach zużycia widać było, że miał dobre kilkanaście lat.

Serce waliło mi jak oszalałe, wiedziałem, co znajdę w środku, bo znałem właścicielkę tej torebki. Dowód osobisty nie kłamał. Nawet nie wiedziałem, że pani Wojtaszek urodziła się we Lwowie. Jej dokument był całkiem nowy, zdjęcie – jak to w takich dokumentach – niekorzystne. Oprócz daty i miejsca urodzenia znałem jeszcze jeden fakt. Nie tylko ja miałem tajemnice, których lepiej było nie wyciągać na światło dzienne.

Wtedy

Rodzice nie powiedzieli tego wprost, ale dobrze wiedziałem, że nie powinienem wychodzić poza nasze podwórko. Z jednej strony zdawałem sobie sprawę, że obawiają się powtórki z rozrywki. W końcu zniknięcie Emilki nie zostało wyjaśnione i nikt nie powiedział, że podobny los nie może spotkać innego dziecka. Z drugiej chcieli mnie chronić przed słowem raniącym znacznie bardziej niż ludzkie dłonie. Podśluchiwałem rozmowy dorosłych domowników, wiedziałem, że temat Wiktora nie przestawał być gorącym kartoflem. Wiktor wrócił do domu po dwóch dniach nieobecności. Potem dowiedziałem się, że był u wujostwa w Tarnowie, wreszcie tata po niego pojechał. Po powrocie spędzał dużo czasu w domu, nie rozmawiał z rodzicami, ze mną również. Rodzice chyba zabronili mu wychodzić, bo kilka dni w domu dla Wiktora oznaczało wieczność. Unikałem brata w obawie, że w jego oczach dostrzegę mrok, którego nikt nie zdoła okiełznać.

Któregoś dnia sytuacja zmieniła się bezpowrotnie. Bawiłem się przed domem, kopiąc piłkę o ścianę garażu. Wyobrażałem sobie grę na Camp Nou wspólnie z Sonym Andersonem i Ronaldem. O swoich fantazjach opowiadałem tylko dwóm osobom. Wiktorowi oraz Emilce. Oboje byli niedostępni, dlatego mój mały świat rozpadł się jak domek z kart. Zapiekły mnie oczy, łzy pojawiły się znienacka, obnażając to, co chowałem przez długie dni i noce.

Na podwórko wjechał radiowóz, policjanci byli na tyle rozpedzeni, że omal nie potracili dziadka. Z samochodu wysiadło dwóch mundurowych i jeden człowiek ubrany w zdecydowanie za duży garnitur. Jego krawat był niemal tak długi, że kończył się na kroczu. Mężczyzna miał sporą łysinę, twarz okrągłą jak piłka, którą właśnie kopałem. Dodatkowo poruszał się pokracznie, jakby dopiero uczył się płynnego chodzenia. Policjanci poprosili dziadka, by przyprowadził tatę i Wiktora. Gdy łysawy mężczyzna przedstawiał się dziadkowi, spostrzegłem jego dłonie. Była pulchna, niczym wyjęta z kreskówki. Palce sprawiały wrażenie zbyt grubych, by swobodnie nimi operować.

Udawałem zajętego sobą, odbijałem piłkę, lecz dyskretnie nasłuchiwałem toczącą się rozmowę. Niestety, towarzystwo weszło do środka, z tego, co usłyszałem, tata był w szkole, przygotowując grono pedagogiczne do nowego roku. Po chwili dostrzegłem jego samochód pędzący w zawrotnym tempie, kurz wił się za nim niczym wściekły

waż. Gdy samochód znalazł się przed domem, tata wyskoczył z niego, jakby się paliło. Miał zafrapowaną twarz, był jak w transie, zupełnie jak wtedy, gdy Marka ugryzła żmija.

– Cześć, tato.

– Szczepiek, nie teraz. Potem porozmawiamy, okej?

Tata nawet na mnie nie spojrział. Stałem jak zamurowany. Zanim drzwi od domu wydały metaliczny odgłos świadczący o impecie zamykającego, zrozumiałem, że tym razem nie mogę pozostać bierny.

Ruszyłem w stronę okna od salonu, liczyłem, że będzie otwarte i dzięki temu dowiem się, co tak naprawdę zrobił Wiktor. Skradałem się delikatnie, uważając, by nie rozdeptać kwiatów, które były oczkiem w głowie mamy. Przykleiłem się do ściany, głosy z domu były niewyraźne, lecz z każdym krokiem słyszałem coraz więcej.

Byłem już niemal przy oknie, gdy spod magnolii wyskoczył Bruno. Niemal krzyknąłem, serce zabiło mi, jakby popełnił nieodwracalne przestępstwo. Głosy z domu nadal dochodziły na tym samym natężeniu. Wziąłem głęboki oddech, dwa kolejne kroki sprawiły, że byłem tuż obok okna.

– To właśnie ta czapka sprawiła, że uznaliśmy Wiktora... za pedofila! Czy wy wiecie, co to oznacza? Kurwa, to małe miasteczko, tutaj każdy zna każdego. Taka łatka będzie ciągnąć się za nim przez lata!

– Tato, mówisz tak, bo jesteś dyrektorem szkoły i to za tobą będzie się...

– Zamilcz, Wiktor. – Głos taty był pełen gniewu. Był zupełnie inny od tego, do którego przywykłem, tego, w którym zrozumienie i troska były naturalnym elementem tembru.

– Proszę pana...

– Znaleźliście zasraną czapkę mojego syna i ot tak uznaliście, że jest pedofilem, który mógł uprowadzić dziecko. Przecież to jakiś czeski film.

– Badaliśmy różne tropy, nie tylko czapka sprawiła, że podejrzewaliśmy Wiktora. – Mężczyzna w garniturze mówił dziecięcym głosem. Był chyba pierwszym dorosłym, którego spotkałem, a który seplenił i miał głos równie delikatny jak ja.

– Przy Kamieńcu znajdowała się zużyta prezerwatywa, a w krzakach obok znaleźliśmy nerkę ze szkolną legitymacją Wiktora – dodał jeden z mundurkowy.

– Zgubiłem ją dwa lata temu.

– To nie znaczy...

– Wiecie, ile tam dzieciaków się kręci? Ta prezerwatywa mogła należeć do kogokolwiek. Zrobiliście jakieś badania?

– W policji nie mamy takich urządzeń jak w filmach... – zaczął funkcjonariusz siedzący najbliżej okna.

– Uznaliście, że jestem pedofilem, bo wam to pasuje? – Wiktor brzmiał na wzburzonego.

Dopiero wówczas zrozumiałem, jak bardzo poczuł się skrzywdzony.

– Nie. Proszę posłuchać! – Nieśmiały i sepleniący mężczyzna po raz pierwszy zabrzmiał jak policjant z amerykańskiego serialu.

– No to słucham.

– Gdy przeszukiwaliśmy pokój Emilki, natrafiliśmy na dziwny list.

Mężczyzna zakaszłał, jakby słowa ugrzęzły mu w gardle i nie chciały zostać wypowiedziane na głos. Słyszałem, jak łąpczywie popija wodę, w powietrzu czuć było narastający niepokój czekających na kontynuację detektywa.

– Jaki znowu list? – zapytał poirytowany zwłoką w kontynuacji tata.

– Był to list, w którym ktoś zachęcał Emilkę, by pojawiła się wieczorem przy Kamieńcu. Miała nikomu o tym nie mówić. W szczególności dorosłym.

– Uznaliście, że to list od Wiktora.

– Porównaliśmy charaktery pisma Wiktora i autora listu. Okazało się, że są do siebie bardzo podobne.

– Bardzo podobne? Tyle? Przeprowadziliście jakąś ekspertyzę?

– Tak. I dlatego możemy uznać, że Wiktor nie jest autorem listu.

– A kto? – zapytał zniecierpliwiony tata.

– Państwa najmłodszy syn.

– Szczepan?! – zawołali jednocześnie Wiktor z ojcem.

Słyszając swoje imię, poczułem rozchodzące się po całym ciele ciepło.

Na początku było przyjemne, by potem przerodzić w piekącego upiora. Rozeszło się po ciele, by uwić sobie gniazdo w moim sercu.

Byłem oszołomiony, wyraźne dotąd rozmowy przerodziły się w daleki szept. Świat wirował, niebo sprawiało wrażenie pękającej skorupy, z której runie gniew Boży. Uklęknąłem, między kwiatkami zauważyłem niewielki ruch. Miałem wrażenie, że ktoś do mnie mówi, choć nie słyszałem ani jednego słowa. Spomiędzy wychudzonych róz wypełzał mały wąż. Padalec, jakich było w brud tego lata. Wąż odpełzał w stronę stodoły, na chwilę zatrzymał się pomiędzy moim nogami.

Złapałem powietrze, dosłownie słyszałem bicie swojego serca, było dzikie i nieokiełznane, waliło zaciekle, jakby starało się przemielić w pył cały gniew, który tłumilem.

– Szczepan!

Krzyk ojca wybudził mnie niczym kubek zimnej wody.

Dopiero po chwili zareagowałem. Obiegnąłem niemal cały dom, by wyłonić się z drugiej strony, aby nie zbudzić podejrzeń.

– Jestem, tato.

Tata zbliżył się do mnie powoli. Kucnął, aby mieć ze mną kontakt wzrokowy. Jego twarz stała się ciepła, jakby wstąpił w niego ten spokój, który przez lata nosił ze sobą.

– Słuchaj, panowie, którzy przyjechali, chcieliby zamienić z tobą kilka zdań. Porozmawiasz z nimi? Będę cały czas przy tobie.

– Dobrze. A o czym chcą porozmawiać?

– Zobaczysz. To nic poważnego. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

– Dobrze, tato.

Tata wziął mnie za rękę, co mi nie za bardzo pasowało. Chciałem zagrać dorosłego przed nieznanymi, a nie dzieciaka, który potrzebuje ochrony ojca. Gdy wszedłem do salonu, zauważyłem, jak na sofie siedzi trójka policjantów. Mężczyzna w garniturze był cały spięty i niemal mokry od potu, miał tak grubą szyję, że z trudem można było zauważyć, gdzie zaczyna się głowa, a gdzie kończy tułów.

– Dzień dobry – przywitałem się grzecznie.

Dziadek uśmiechnął się do mnie delikatnie, co odebrałem za nieme wsparcie.

– Dzień dobry, chłopcze. Usiądź obok taty i brata. – Mężczyzna ocierał pot z czoła, sapiąc przy tym, jakby właśnie ukończył maraton.

Wiktor objął mnie i poklepał.

Gdy spojrzałem mu w oczy, dostrzegłem to samo spojrzenie, gdy mnie wspierał. Ta sama nieporozumienia, która sprawiała, że czasem rozumieliśmy się lepiej niż inni.

Pomimo wieku byliśmy do siebie bardzo podobni – ta sama wrażliwość na otaczający świat, ten sam sposób komunikacji emocji. Czasem miałem wrażenie, że gdyby nie różnica wieku, to Wiktor byłby moim ojcem.

– Masz na imię Szczepan, tak?

– Tak.

– Czy poznajesz to?

W prawej dłoni mężczyzny pojawiła się kartka. Z trudem dostrzegłem, co na niej jest, ponieważ znajdowała się ona w folii, od której odbijało się światło.

– Hm. Nie wiem – odparłem w zgodzie z tym, co widziałem.

– Zastanów się. – Przesunął papier w moją stronę.

Wówczas od razu poznałem swój charakter pisma, kulfoniaste „a”, pokraczne „w” i „m”, które przypominało wijącą się dżdżownicę. Całość była napisana niebieskim

piórem, tym, które dostałem na koniec roku szkolnego. Byłem autorem tego tekstu, nie mogłem od tego uciec, lecz za nic nie pamiętałem, abym kiedykolwiek go napisał.

– Tak, proszę pana. To ja to napisałem.

– Dobrze. Do kogo napisałeś ten list?

– Nie wiem. Nie pamiętam, żebym go pisał.

– Ale ty go napisałeś?

– Tak.

– I nie pamiętasz tego?

– Tak.

– To dziwne. Młody jesteś, luki w pamięci nie tyczą się dzieci. – Mężczyzna spojrział na mnie podejrzliwie. W jego głosie można było wyczuć ironię.

– Ale nie pamiętam.

– Wystarczy tego. Może pan nie czepiać się mojego syna? Skoro mówi, że nie pamięta, to nie pamięta – podniósł głos mój tata.

– Proszę pana, sprawa jest poważna.

– Chyba kiedyś napisałem list do Emilki. Ale to było już po tym, jak zniknęła – skłamałem, lecz na tyle przekonywająco, że sam w to uwierzyłem.

Zapadła cisza, mundurowi spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Czy przy tej rozmowie nie powinien być psycholog? – Tata ewidentnie chciał to przerwać. Coraz bardziej się wiercił, co oznaczało chęć wyproszenia niepożądanych gości.

– Wystarczy, że pan jest. Poza tym jest pan pedagogiem, prawda?

– Prawda – odparł gorzko.

– No więc. Dlaczego napisałeś list do osoby, która zaginęła? Wiesz, co się stało z Emilką lub gdzie jest?

– Nie wiem.

– Ale list napisałeś.

– Bo chcę, żeby wróciła.

– I nic nie wiesz o jej zniknięciu?

– Nie. Tylko to, co już mówiłem.

– Tak, wiem. Pokłóciłeś się z nią o kota, którego ci nie dała. W zamian za to dostałeś innego kota, ale i tak byłeś na nią zły. Potem, jak twierdzisz, Emilka, płacząc, uciekła w stronę domu. A ty do siebie. I już rzekomo nigdy jej nie widziałeś – czytając, co chwilę zerkał w moją stronę. Jakby chciał sprawdzić, jak reaguję na każde ze zdań.

Słyszając tę opowieść, powoli przestawałem w nią wierzyć. Zabrakło najważniejszego.

– Tak...

– Mówisz nam całą prawdę?

– Dość tego! Co pan robi, do kurwy? – Tata wstał. Na jego twarzy pojawiła się krwista czerwień. Niczym wściekły byk gotowy do ataku, mierzył wzrokiem śledczego.

– Niech się pan uspokoi – odparł łagodnie.

Mundurowi jednak subtelnie się poprawili, jakby szykowali się do powalenia niesfornego świadka.

Tata usiadł, spojrzałem na jego dłonie. Żyły były wyraźne podkreślone, niczym u strongmana, który właśnie stoczył walkę z nadludzkim ciężarem.

– Co cię łączyło z Emilką?

– To są dzieci przecież. – Głos taty kipiał z zażenowania.

– Nie pana pytam – odburknął przedstawiciel władzy.

– Była moją najlepszą przyjaciółką.

– Była czy jest?

– Była, bo się pokłóciliśmy, ale wierzę, że mi przebaczy i będzie tak jak dawniej.

– Czyli?

– Czyli będziemy spędzać ze sobą czas, spacerować, oglądać filmy, chodzić na lody i takie tam.

– Czy... czy dotykałeś Emilki?

Spojrzałem na tatę, jego twarz ponownie płonęła ze złości. Wiedziałem jednak, że nie jest ona wymierzona we mnie.

– Yyyy. To znaczy?

– To znaczy nie tak jak zwykłą koleżankę.

– Nie. Czasem szliśmy tylko za rękę.

– I nic więcej?

– Zlituj się pan – wysyczał Wiktor.

– Jeszcze jedno pytanie, chłopcze.

Pokiwałem głową.

– Czy widziałeś, aby jakiś nieznajomy zaczepiał lub obserwował Emilkę?

To pytanie było najtrudniejsze. Odpowiedź była oczywista, lecz kompletnie nienadająca się do wypowiedzenia. Po prostu musiałem.

– Nie. Nie widziałem.

– A nikt znajomy nie interesował się Emilką?

– Nie – odpowiedziałem bez chwili zwłoki.

Może za szybko, bo mężczyzna mierzył mnie wzrokiem.

– No dobra. Widać, że kłamiesz, ale chyba niczego się od ciebie nie dowiemy. Skoro nie chcesz, by Emilka się odnalazła...

– Dosyć tego! Wynocha! – W reakcji taty nie było już jakichkolwiek hamulców. Chciał zakończenia tej szopki i nawet nie brał pod uwagę mojej winny.

– Jak chcecie. Jaki ojciec, tacy synowie.

– Wypierdalaj! – Z ust ojca toczyła się piana. Przypominał wściekłego psa, którego dzielił tylko jeden krok od ataku.

Policjanci jednak nie zareagowali na zaczepkę, w popłochu wyszli i sugestywnie zatrzęsnęli drzwiami.

– Tato. Naprawdę nie wiem, co spotkało Emilkę.

– Wiem, Szczepan.

Tata mi wierzył, dziadek również. Spojrzenie Wiktora było jednak dla mnie nieczytelne. Ten jeden raz był obcy, jakbyśmy przecięli nić, która nigdy już się nie spoi.

Teraz

Pozostawiłem torebkę na swoim miejscu. Ktokolwiek ją tam zostawił, wróci po nią. Do bocznej kieszonki włożyłem pułapkę na myszy. Kształtem przypominała znaleziony telefon, ten, który znalazłem zabrałem ze sobą. Na szczęście moja ładowarka pasowała. Modliłem się, by pani Wojtaszek należała do tego wąskiego grona osób, które rezygnowało z PIN-ów i kodów odblokowujących klawiaturę w obawie przed sklerozą. Po pięciu minutach od podłączenia telefonu do zasilania ekran się włączył. Kolejno, po ukazaniu się logo producenta i krótkim intro zapowiadającym logowanie się aparatu, wyświetliła się plansza z klawiaturą. Niestety kod PIN jednak był i dzielił mnie od rozwiązania zagadki ostatnich godzin pani Wojtaszek.

Zastanawiałem się, czy nie przekazać telefonu policji. Równie dobrze mogłem jednak poinformować domowników o znalezisku. Powiadomienie policji skończyłoby się na aresztowaniu, przetrzepaniu domu i kilkuletnich plotkach. Moi najbliżsi mogliby zapomnieć o spokojnym życiu, a Marta i pozostali krewni zaginionej przekleliby cały nasz ród.

Z premedytacją zostałem dłużej w łóżku, nie chciałem bezpośredniej konfrontacji. Nasłuchiwałem odgłosów z parteru. Po ósmej rozmowy cichły, chwilę później słyszałem zamykanie drzwi, aż wreszcie dźwięk klucza przekręcanego w zamku oznajmił mi, że jestem sam.

W popłochu włożyłem spodnie, bluza śmierdziała dymem papierosowym, lecz było mi to obojętne. Głód ścisnął mi żołądek, więc porwałem ze stołu wczorajsze ciasto, było jeszcze świeże, ale suche na wierzchu. Popiłem pozorne śniadanie szklanką wody, w biegu włożyłem kurtkę, przełykając ostatni łyk wody, i wybiegłem z domu. Gdy zobaczyłem swój samochód, uzmysłowiłem sobie, że nadal może być niezdatny do prowadzenia. Z niepokojem podszedłem do uszkodzonego wcześniej nadkola, na szczęście było już naprawione. Widocznie tata lub Wiktor zajęli się tym, gdy błąkałem się po wsi.

Podwinąłem rękaw i błyskawicznie przetarłem przednie szyby. Wnętrze auta powitało mnie lodowatym powietrzem. W myślach modliłem się, by samochód odpalił. No dalej – kilka mechanicznych jęków rozrusznika i wreszcie rozszedł się przyjemny pomruk pracy silnika. Odjechałem z pełnym impetem, tył samochodu wpadł w poślizg, niemal

rozwaliłem starą budę psa. Pomacałem kieszeń spodni, dwa telefony uwierały, ale musiałem upewnić się zmysłem dotyku, by czuć spokój.

Droga do Tarnowa ciągnęła się w nieskończoność, miałem wrażenie, że przez lata trasa wydłużyła się o dobre kilkadziesiąt kilometrów. Im bardziej oddalałem się od Kamieńca, tym bardziej spokój stawał się namacalnym stanem. Chęć zapalenia odeszła, a ja wreszcie mogłem uporządkować myśli. Aby poznać zawartość telefonu pani Wojtaszek, musiałem trafić na mało uczciwego lub bardzo naiwnego specja od komórek. Opuściłem galerie handlowe, zbyt dużo kamer. A perspektywa odkrycia śladu przez policję stawała się realna. Wjechałem na Osiedle Legionów Henryka Dąbrowskiego, kluczyłem przez długie minuty, szyldy mówiły mi niewiele. Kilka salonów fryzjerskich minionej epoki, liczne bary, kioski prasowe oraz salony gier dla osób, które wolą wyrzucić swoją wypłatę do kosza niż opłacić czynsz.

Trafiłem dopiero po godzinie. Brak możliwości skorzystania z Google sprawia, że człowiek czuje się ślepy. Dyskretnie zaglądnąłem do środka, poza sprzedawcą nie dostrzegłem nikogo. Otwarcu drzwi towarzyszył dźwięk irytującego dzwoneczka, jakby sam fakt, że wnoszę nielegalną kontrabandę nie był wystarczającym powodem do zdenerwowania.

– Dzień dobry. – Subtelnie poprawiłem czapkę.

Niewinny rzut oka na wnętrze sprawił, że od razu dostrzegłem dwie kamery celujące wprost na mnie. To było do przewidzenia.

– Dzień dobry, słucham pana.

– Mojej mamie rozładował się telefon. Niestety, wie pan, jak jest ze starszymi osobami. Nie pamięta PIN-u i kodu odblokowującego telefon. Poza tym przy porządkach wielkanocnych wyrzuciła wszelkie stare papiery i nie ma już dokumentów od operatora...

– Jasne, jasne. Do widzenia. – Sprzedawca machnął ręką, po czym odwrócił się w stronę laptopa, na którego ekranie widoczna była aukcja na Allegro.

– Nie jestem złodziejem. Chciałem tylko pomóc mamie.

– To dlaczego nie pójdzie pan do operatora?

– Ponieważ mama jest chora i nie opuszcza domu, z jej dowodem osobistym mógłbym być podejrzany, nawet gdybym w salonie okazał swój. Mam inne nazwisko niż mama, więc tym bardziej byłbym podejrzany.

– Taaa?

– Czy ja wyglądam na złodzieja?

Mężczyzna stojący za ladą przyjrzał mi się uważnie, podrapał się po kilkudniowym zarostku, po czym usiadł krzyżując ręce.

– Słabo to widzę.

Zakaszlałem teatralnie. Kątem oka dostrzegłem woreczek z zieloną zawartością, ledwo wystawał spod gazety. Mężczyzna dostrzegł mój wzrok, po czym oblał się potem. Był czerwony jak dzieciak nakryty na oglądaniu świerszczyków.

– No może... ma pan rację. Złodzieje raczej nie noszą tak drogich ubrań. A jeśli kradną telefony, to zwykle mają kogoś od takiej roboty.

– No właśnie.

– Daj pan ten telefon i wróc za godzinkę. – Nieco zirytowany sprzedawca starał się ukryć swoją twarz, udając, że wykonuje jakaś czynność przy jednej z gablot.

– Proszę. – Obok telefonu położyłem dwieście złotych.

– Chojny pan jest.

– Gdybym był złodziejem, to nie płaciłbym za usługę tyle, ile wart jest sam telefon. Co nie?

– No racja. Źle pana oceniłem. Przepraszam.

– Nie ma za co. Będę za godzinę.

Z salonu wyszedłem, jakby nic wielkiego się nie stało. Dopiero idąc ulicą, czułem, jak klatka piersiowa podnosi się i opada w rytm pędzącego serca. W uszach mi szumiało, a usta miałem wyschnięte na wiór.

Odruchowo sięgnąłem po papierosa. Zaciągnąłem się, jakbym brał oddech po długim zanurzeniu w wodzie. Zimne powietrze sprawiało, że poczułem się odurzony. Smog dużego miasta brudził niebo, można było niemal dostrzec pyłki spalonego węgla kołyszące się na wietrze.

Wszedłem do pierwszej lepszej kawiarni, wewnątrz kłębiła się grupa nastolatków, która wybrała wagary zamiast nudnych lekcji. Z głośników płynęła przyjemna muzyka, nie byłem w stanie odgadnąć wokalistki, ale jej głos sprawiał, że chciałem zatopić się w fotelu. Kelnerka przywitała mnie szerokim uśmiechem. Zamówiłem dużą americano i ciasto dnia. Dla zabicia czasu przeglądałem Instagram na przemian z Facebookiem. Minuty płynęły, a ja coraz bardziej traciłem kontakt z rzeczywistością. Raz myślami odpływałem do czasów, gdy wszystko było jeszcze proste, gdy przejście przez las nie wiązało się z odgrzebaniami starych ran, by chwilę później w wyobraźni stać nad grobem ojca, na którym leżał stos kamieni. Umysł zawodził mnie, choć jak nigdy dotąd potrzebowałem trzeźwego myślenia. Na telefonie pojawiła się wiadomość od Ani.

Cześć, właśnie idę do lekarza. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy...

Enigmatyczny SMS szybko wyleciał mi z głowy. Liczyło się tylko to, co przyniosą najbliższe godziny. Zerknąłem na zegar wiszący tuż nad zabytkowym kredensem.

Minęły czterdzieści trzy minuty – już nadszedł czas, by ruszyć w stronę salonu z komórkami.

Zapłaciłem, zostawiając sowity napiwek. Kelnerka puściła mi oko, czym z pewnością chciała zachęcić do ponownych odwiedzin. Starłem się iść jak najwolniej, trasę, którą normalnie przebyłbym w ciągu pięciu minut, pokonałem w kwadrans. Włączyłem się od jednej witryny do drugiej, by wreszcie wkroczyć do sklepu, grając rolę dobrego syna gotowego pomóc mamie przepłacając za usługę.

– O, jest pan. – Ekspedient miał przymglone oczy i zwolnione ruchy. Sprawiał wrażenie zagubionego dziecka, które samo nie wie, co ma ze sobą zrobić.

– I jak? Udało się?

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Karta SIM została odblokowana, niech pan nie pyta jak. To musi zostać między nami, bo to nielegalne.

– Tak, wiem. Ale to naprawdę telefon mojej mamy – skłamałem z łatwością wytrawnego pokerzysty.

– Telefon też odblokowałem, ale, co ciekawe, nie ma nim żadnych plików. Ani jednego zdjęcia, filmiku czy choćby pliku audio. Pana mama nie umie robić zdjęć? Bo wie pan, moja babcia z trudem wybija numer do...

– Umie, umie ale może to jakiś błąd. Nie wiem, może pliki zostały uszkodzone albo... sam nie wiem.

– Nie. Na pewno nie ma żadnych plików. Jakby ich nigdy nie było. Nawet nie ma śladu. Normalnie, gdy usuwa się pliki, to są one wciąż dostępne przez pewien czas, ale w tym przypadku kompletnie nic nie ma.

– Hm... I nie ma żadnego sposobu, by się do nich dostać? Mama ma zdjęcie wnuczki z komunii i bardzo jej zależy, by je odzyskać.

– Rozumiem, ale nie jestem w stanie. I nikt nie będzie. Albo plików nie było i pana mamie się coś pomyliło, albo ktoś bardzo się napocił, by je usunąć.

– Okej. Dzięki za pomoc. – Zabrałem telefon, po czym wyszedłem bez słowa.

Niestety, sprzedawca zostawił telefon włączony, przez co policja w każdej chwili mogła go namierzyć. Szybko wsiadłem do auta i ruszyłem przed siebie. Intuicyjnie kierowałem się na obrzeże miasta. Musiałem zostać sam ze sobą i telefonem pani Wojtaszek. Przecież jakiś ślad zawsze zostaje, nawet Lapis je zostawiał.

*

Oddalałem się od zabudowań, domy znikwały w tylnym lusterku, niebo zapowiadało srogie opady, a żwirowa nawierzchnia sprawiała, że jazgot uderzających o podwozie drobnych kamyków skutecznie zakłócał płynącą z głośników muzykę. Po kilku minutach krążenia za dyskretnym miejscem wreszcie znalazłem polną drogę, gdzie byłem oddalony od cywilizacji na bezpieczną odległość. Wsiadłem z samochodu, wiatr rozwiewał spadające płatki śniegu. Z oddali obserwował mnie jeleni, był niczym świadek zbrodni uciekający przed koniecznością wmieszania się w centrum wydarzeń.

Zanim wyjąłem telefon pani Wojtaszek, odpaliłem papierosa. Dym rozchodził się po płucach, czułem, jak wypełnia moje ciało i spowalnia moje rozszalałe tętno. Facet od komórki zapisał mi nowy PIN, który nakleił na tylnej części obudowy. Cztery zera i cztery jedynki, by odblokować sam telefon. Zmarzniętymi dłońmi z trudem wbiłem banalną kombinację. Po chwili pojawił się prosty pulpit, brakowało aplikacji, folder z plikami również był pusty, a więc sprzedawca nie był na tyle zjarany, że nie ogarnął tematu.

Wcisnąłem ikonę wiadomości, lista zawierała jedynie pięć rozmów. Zacząłem od dołu: SMS-y od T-mobile zawiadamiające o nowych fakturach, alert dotyczący możliwych porywistych burz w czerwcu, a następnie silnych wiatrów pod koniec listopada. Kolejne wiadomości były od Marty – nic wartego uwagi, informacje o promocjach w marketach, prośba o kupienie jakiejś pierdoły i tak dalej przez dziesiątki SMS-ów, emotikonów i zdjęć, które nie chciały się otworzyć. Następny na liście był... mój tata. Podpisany jako „ON1”, lecz bez trudu poznałem numer ojca. Z początku ich konwersacja nie budziła zastrzeżeń. Zwykła wymiana życzeń okolicznościowych, dopiero ostatnie wzmianki rozpały moją ciekawość.

ON1: Nie mów nikomu. Proszę cię, Elu.

E: Wybacz. Muszę, to zaszło zbyt daleko.

ON1: To niczego nie rozwiąże. Jedynie pogorszysz wszystko.

E: Ale tak trzeba.

To wymiana wiadomości z godziny dwudziestej trzeciej trzeciego grudnia tego roku. Kolejne pochodziły już tylko od taty.

ON1: Musimy porozmawiać.

ON1: Proszę Cię, Elu.

ON1: Możesz zadzwonić?

Ostatnie SMS-y były z dnia zniknięcia pani Wojtaszek, z godziny siedemnastej trzydziści jeden, czyli zanim była ostatni raz widziana. Ich nadawcą był użytkownik podpisany jako NN.

NN: Już wiesz.

Była to jedyna wiadomość, którą można było brać pod uwagę. Wysłana pierwszego grudnia o dwunastej. Następnie pani Wojtaszek wysłała znaki zapytania oraz liczne prośby o nawiązanie kontaktu; sądząc po ich liczbie – bezowocne.

W pośpiechu sprawdziłem listę połączeń, niestety była pusta. Ktoś zdążył zatrzeć najwyraźniejszy ślad, ale popełnił idiotyczny błąd i zostawił SMS-y? Szybko analizowałem wszelkie perspektywy, słabe i mocne punkty każdej hipotezy. Ale wiedziałem za mało i za dużo tworzyłem wymyślonych scenariuszy.

Traciłem rozeznanie w sytuacji, bezrefleksyjnie wbijałem na swoim telefonie numer użytkownika podpisanego jako NN. Serce waliło mi jak oszalałe, po sekundzie słyszałem przerwany dźwięk świadczący o próbie nawiązania połączenia. Czas płynął powoli, kolejny sygnał uderzał w bębenek mojego ucha. Już chciałem wcisnąć czerwoną słuchawkę, gdy rozległ się doskonale znany mi głos; pamiętałem go, mimo że nie słyszałem przez lata. Miałem zaledwie kilka sekund na jego rozpoznanie, ale dobrze zapamiętałem tę barwę, akcent świadczący o pochodzeniu z kresów wschodnich, przepalony tembr i silnie wypowiedane samogłoski, które rozchodziły się po lesie.

Rozłączyłem się bez słowa.

Wtedy

Sam nie wiedziałem, czy rodzice mi wierzyli, czy po prostu bardzo chcieli wierzyć, a kłamstwo było przyjemniejsze od niewiadomej prawdy. Prawda bywa jak kot w worku, czasem człowiek chce ją poznać za wszelką cenę, lecz gdy wychodzi ona na światło dzienne, żałuje, że odkrył to, co było zakryte, choć widoczne na naszych oczach. Zrozumiałem to kolejnego dnia po wizycie policjantów.

Wiktor wyjechał do Krakowa, rodzice stwierdzili, że lepiej będzie, jak zniknie z Kamieńca, a wraz z nim szeptu rozchodzące się po wsi. Mogłem już opuścić nie tylko dom, ale również podwórko. Kłopot w tym, że osoba, do której chciałem się udać, była poza zasięgiem nawet mojej wyobraźni.

– Tylko nie idź do lasu – powtarzała mama.

Obiecałem jej, że udam się na boisko szkolne, by pograć z kolegami, a potem odwiedzę ją w przychodni. Niestety moja obietnica była warta tyle co skrucha zbrodniarza. Dzięki ostatnim wydarzeniom zrozumiałem, że dane słowo bywa jedynie zagrywką w rozgrywce między dwoma osobami.

To był jeden z ostatnich letnich dni, nie chodziło mi o kalendarzowe lato, ale o to, które tkwiło w sercu. Lato, w którym człowiek czuje, jak natura pcha go do przodu, a sen nie chce przyjść nawet, jeśli go wzywa. Udałem się w stronę centrum, by chwilę później odbić w kierunku lasu. Przekraczając granicę lasu, poczułem, jak wilgoć otula mnie niczym koc; ciężkie i przytłaczające powietrze zastąpiło suche i rozżarzone. Zupełnie jakbym wstąpił w inną czasoprzestrzeń, światło z trudem przebijało się przez drzewa, ptaki intonowały rytm życia. Nieśmiało ruszyłem przez siebie, korki, które miałem na nogach, nie nadawały się do chodzenia po takim terenie. W miejscach, gdzie deszcz zebrał największe żniwo, tonąłem w błocie. Korki były jak pułapka, którą sam sobie zafundowałem.

Z trudem pokonywałem kolejne metry, by wreszcie trafić na suchą powierzchnię. Szedłem spięty, jakby moje ciało szykowało się do obrony. Nie wiedziałem, co mnie czeka, w mojej głowie to miejsce oznaczało przeklętą ziemię. Miejsce, gdzie koszar staje się jawą, a pewien starzec zabiera nie tylko kamienie, lecz także ludzkie dusze.

Kierowałem się w stronę Kamieńca, mając naiwną nadzieję, że trafię na wielki kamień przypominający konającego mężczyznę oraz odnajdę moją przyjaciółkę.

Z każdym krokiem czułem rosnący niepokój, oddech stawał się coraz bardziej niekontrolowany, a ciało płonęło od tłumionej przez ostatnie dni złości.

Nagle uświadomiłem sobie, że śpiew ptaków zamilkł. Wokół zapadła głucha cisza, coś pchało mnie w stronę reliktu natury, w miejsce, gdzie pochowano pewną miłość, a legenda stworzyła potwora. A może na odwrót?

Stanąłem przed kamieniem, był oblepiony liśćmi, które ukrywały koszmar niczym zaspane powieki.

– Szczepan! – rozległo się wokół mnie wołanie.

Dałbym głowę, że to głos Emilki, że to ona woła mnie na ratunek.

– Szczepan! – Ponownie usłyszałem wezwanie spomiędzy drzew.

Czułem, jak tęsknota rozrywa moje ciało od wewnątrz.

– Emilka, to ty?! – krzyknąłem z nadzieją, że znowu usłyszę ten głos, a wraz z nim powróci ona. – Emilka! – wołałem całym sobą.

Kręciłem się wokół niczym asteroida pędząca w stronę skazanej na zagładę planety.

Cisza – to jedyne, co mnie otaczało.

Nikogo i niczego nie widziałem, na ciele czułem gęsią skórę, piekła mnie twarz, a w oczach czułem, jak łzy dają upust emocjom.

Pozwoliłem sobie na płacz, był oczyszczający niczym kąpiel po całym dniu. Odwróciłem się od Kamieńca, powoli szedłem w stronę wsi, śpiew ptaków powrócił niczym bumerang rzucony w stronę ciemnego nieba. Poczułem, jak coś drapie mnie po udzie, intuicyjnie włożyłem ręce do kieszeni. Twardy i wilgotny, znacznie większy od tych, które wcześniej znajdowałem – kolejny kamień, który trafił w moje ręce, który dał mi las i on.

– Mówiłem, żebyś tu nie przychodził – zabrzmiał z tyłu głowy znajomy szept.

Był niczym dalszy ciąg snu po wybudzeniu się z najgorszego koszmaru. Czułem oddech Lapisa na karku, jego obecność była niemal namacalna, choć zabrakło mi odwagi, by się odwrócić.

Biegłem przed siebie co sił w nogach. Pokonywałem kolejne wystające korzenie, pniaki, które niemal nagle wyrastały z ziemi. Gnałem, jakby od tego zależało moje życie. Las wydawał się nie mieć końca, chciałem, by drzewa zastąpiła polana. By moje łydki dotykała ostra trawa, a potem każdy mój krok znaczył asfalt. Byłem jak w transie, dopiero po chwili zorientowałem się, że biegnę pośród domów, zwierząt gospodarczych i ludzi, którzy nawet nie zwracają na mnie uwagi.

Wbiegłem do wiejskiej przychodni, w poczekalni był jedyne śpiący pies, który wykorzystywał zimne płytki, by się ochłodzić.

Bez pukania wdarłem się do gabinetu mamy, która przeglądała jakieś dokumenty.

W letnie popołudnia trafiali się jedynie rolnicy, którzy ucierpieli podczas prac gospodarczych, tym razem żaden z nich nie zranił się piłą ani nie został ugryziony przez żmiję.

– Co się stało? Miałeś być z kolegami.

– Mamo! W lesie wołała mnie Emilka! – mówiłem z trudem, szybki bieg sprawił, że brakowało mi tchu.

– W jakim lesie? Miałeś iść na boisko! Obiecałeś, że do żadnego lasu nie pójdziesz!

– Ale, mamo, ona tam na pewno jest!

Czułem się jak jedna z tych osób, które widziały ducha. Traktowane z góry jak wariaci, choć zmysły mówiły im zupełnie co innego.

– Szczepan!

– Mamo, na pewno tam była. Wołała mnie!

– Szczepan, Emilka zniknęła, gdyby była w lesie, to na pewno udałaby się do swojego domu. Nie siedziałyby tam.

Mama była typową racjonalistką. Uważała, że każde zjawisko można wytłumaczyć za pośrednictwem logicznych argumentów. Nie inaczej było tym razem, mierzyła mnie wzrokiem niczym obiekt badawczy, który okazywał świadectwo swojego szaleństwa.

– Mamo, proszę cię.

– O co? Szczepan, dobrze wiem, że ci trudno. Straciłeś swoją sympatię. Ale musisz przestać tkwić w tym obłądnie. Posłuchaj – mama podeszła i chwyciła mnie za ramiona, patrząc mi głęboko w oczy – umówię nas na wizytę do lekarza.

– Jakiego lekarza?

– Takiego, który zajmuje się dziećmi, które przeżyły trudne chwile. Będziesz jeździł do niego przez kilka miesięcy, potem zobaczymy.

– Ale...

– Nie ma „ale”. Nie możesz mówić takich rzeczy. Co by było, gdyby to doszło do rodziców Emilki?! Wiesz, jaką przykrość sprawiłbyś im takimi słowami? Nie można mówić tak po prostu, że słyszało się kogoś, nie możesz zmyślać bajek, bo ranisz innych.

– Mamo, ja naprawdę ją słyszałem! Proszę, uwierz mi!

– Przestań, kochanie. To tylko twoja wyobraźnia. Nawet dorosły miałby problem z tym, co cię spotkało. Proszę cię, obiecuj mi, że nie będziesz chodził sam do lasu. Tym razem nie możesz złamać obietnicy. Obiecuj! – Głos mamy nie znosił sprzeciwu.

Była to mama potrafiąca pełnić rolę złego policjanta, który żąda przestrzegania zasad bez słowa sprzeciwu.

– Dobrze. Obiecuję.

– Dam ci do pooglądania jakieś książki. Chyba mam tutaj atlas zwierząt, na pewno ci się...

Przestałem słuchać mamy. Moja dłoń podążyła w stronę kieszeni, kamień, który wymacałem, był dowodem na obecność Emilki. Gładziłem go, jakbym głaskał jej dłoń, krążyłem palcami po szorstkiej powierzchni. Ludzkie uczucia bywają jak przedmioty, zrozumiałem, że to, co łączy mnie z Emilką, było jak ten kamień. Zimne i niezłomne.

Teraz

Wracając z Tarnowa, uzmysłowiłem sobie, jak wielkiej głupoty się dopuściłem. Nawet jeśli facet z salonu komórkowego nie zgłosi na policję mojej wizyty, to i tak wyjdzie to na jaw. Odbiorniki zlokalizują miejsce, gdzie logowałem się do sieci. Nic, tylko czekać, aż do domu zapukają policjanci. Co gorsze, mój telefon logował się w tych samych miejscach – głupota w czystej postaci.

Gdy zbliżałem się do Kamieńca, niebo stawało się coraz ciemniejsze. Zapowiadano sówite opady śniegu i silne przymrozki. Dzień skrócił się do kilku godzin, dodatkowo aura kapryśnej pogody okradała ludzi z promieni słońca. Posępny krajobraz roztaczał się przed moimi oczami, wycieraczki wprawiały mnie w trans, chwilami odpływałem w przeszłość. W miejsce, gdzie wszystko miało swój początek, a zarazem koniec. Prawą ręką chciałem wymacać paczkę papierosów, złożona kurtka była jak sieć z tajemnymi skrytkami. Splątane słuchawki, klucze, paczka chusteczek higienicznych – wszystko, tylko nie cholerne papierosy. Nerwowo przetrzepałem kurtkę, nie spuszczać wzroku z jezdnii; na fotel wypadł telefon, czarna prostokątna bryła przypominała mi o kończącej się drodze. Lepiej było nie chować dowodów na własnym terenie. Ale było za późno.

Wjechałem do Kamieńca, noc dopadła mnie niczym złodzieja na gorącym uczynku. Zjechałem w stronę starej leśniczówki, samochód z trudem miał zalegający śnieg, kołyszac pojazdem niczym sztorm zapomnianym jachtem. Wycie silnika nie miało nic wspólnego z dyskretną wizytą, którą sobie zaplanowałem. Kolejne metry zostawiałem za sobą, światła reflektorów namacały czerwoną farbę leśniczówki, aż huk dobiegający spod siedzenia unieruchomił samochód.

– Kurwa!

Szybko przekułem złość w działanie, wrzuciłem na luz. Wziąłem telefon, po czym zabrałem koc z bagażnika, grzęzłem w śniegu, krocząc w stronę rozpadającej się rudery, dach zsunął się na drzewo, drzwi były wyłamane. Wdepnąłem na potłuczoną butelkę, na szczęście szkło nie przecięło podeszwy. Potarłem komórką o bluzę, po czym zrzuciłem ją na koc.

Wnętrze leśniczówki było pełne puszek po piwie, petów i zużytych prezerwatyw – klasyk. To miejsce już dawno przestało mieć coś wspólnego z życiem w lesie. Wyciągnąłem swój telefon, by rozświetlić wnętrze, na ścianach było pełno bazgrołów.

Od pentagramów po naiwne wyznania miłości. Cztery ściany zawierały całą burzę hormonów i rozchwianych emocji kilku pokoleń Kamieńca. Pod stołem walały się roztrzaskane dykty, naprzeciwko drzwi dostrzegłem mały piec. Metalowa rura łącząca go z kominem oderwała się od górnej warstwy. Wystawały z nich wyschnięte kwiaty, niegdyś służące za kartę przetargową w „zaliczeniu”. Zawiniątko z komórką schowałem wewnątrz komina. Następnie wrzuciłem torebkę pani Wojtaszek do pieca. Leżącą obok starą gazetę, której jedynka informowała o rozpadzie AWS-u, zgmiotłem i włożyłem, by zakryć skrytkę. Niemal przewróciłem się o rozpadający się kredens. Stary rupieć zazgrzytał niczym przebudzony z zimowego snu olbrzym.

Podświadomość dyktowała mi, bym rozejrzał się jeszcze raz. Coś przykuło moją uwagę podczas wcześniejszych oględzin. Pewien szczegół zasiał ziarno niepokoju, za którego żniwo przyjdzie mi zapłacić koszmarem sennym. Szczegółowo analizowałem każdą pamiątkę cudzej obecności, były jak urywki z setek książek, kadry z filmów, które kiedyś widziało się jednym okiem. Razem tworzyły odrażający twór wijący się po pomieszczeniu.

– Potworki przeszłości – wyszeptalem.

Światło wyświetlacza odkrywało kolejne elementy układanki. Niektóre zapiski przyprawiły o młodości.

Kalicka zrobiła skrobankę!

Znowu dziwka się kurwiła.

Kolejne teksty świadczyły o kiepskiej znajomości języka, błędy ortograficzne raziły nawet takiego dyslektyka jak ja.

W sieci grafomani i pustego okultyzmu nic nie wiązało się z moją przeszłością. To była obca ziemia, po której moje stopy nigdy nie kroczyły.

Spłoszył mnie huk. Odruchowo rozświetliłem miejsce, z którego płynął hałas. Stary kredens runął niczym domek z kart. Opary kurzu unosiły się, tworząc poświatę z odległej przeszłości. Zanim mózg zarejestrował to, co oczy obejmowały łączywie, minęła chwila, której potrzebowałem, by zrozumieć rozmiar szaleństwa.

Na wybrakowanej ścianie widniał obraz. Namalowany czymś, co przez lata szerniało, tworząc złowrogi napis widniejący na ścianie pełnej pajęczych sieci.

RATUNKU!

Zbliżałem się do napisu, krocząc na palcach, krew pulsowała mi w żyłach, kurz piekł mnie w oczy, a struga światła potęgowała narastające przerażenie.

Prawą dłonią przejechałem po szorstkiej nawierzchni. Wypukłości tworzące niewerbalny krzyk pozostawiały ślad na opuszkach palców. Mój mózg z trudem pracował, miałem każdy szczegół drobiazgowo. Czułem, jak się osuwam, jak

pochłania mnie ziemia i tonę pośród setek kamieni. Ich krawędzie kęsały mnie, zamieniając moje ciało w jedną wielką ranę.

Wziąłem głęboki oddech, zamknąłem oczy i policzyłem do pięciu. Po ponownym otwarciu powiek powróciło racjonalne myślenie.

– Żart, który miał narobić niezłego zamieszania... Tak, to na pewno był żart, który nie natrafił na docelowego odbiorcę – powtarzałem to sobie. – Głupi, niedojrzały i okrutny, ale żart.

Ten napis mógł stworzyć każdy, przez tę chatkę przewinęły się setki ludzi.

Człowiek po pijaku robi wiele głupot, nic dziwnego, że jedna z nich zdobyła ścianę budynku.

Przestałem być czujny, niczym kosa natrafiająca na kamień ukryty w gęstej trawie. Poza napisem nie było nic, co mogłoby wzbudzić ciekawość. Osunąłem się na kolanach, a wraz ze mną światło płynące ze smartfona. Tuż pod napisem dostrzegłem pojedyncze rysunki, podobnie jak on pochodził z czasów, gdy kredens stał w innym miejscu. Kolejne głupoty związane z czarną magią, oprócz...

Nie, kurwa, nie. To był jakiś jebany koszmar.

Z trudem dostrzegłem wyryty obrazek. Jego twórcą musiało być dziecko. Naiwna sztuka, prosta, a jednocześnie wyrażająca więcej niż dziesiątki opisów. Prymitywny rysunek przedstawiał małego kota z naciętym lewym uchem, kota wyglądającego zupełnie jak Śnieżka.

– Przypadek – powtarzałem sobie.

Natrętnie wyrzucałem z głowy obraz kota, który ostatecznie nie trafił w moje ręce. Takich kotów musiało być setki, małe koty praktycznie się nie różnią, ale to nacięte ucho...

Z lewej strony poczułem świst powietrza, jakby tenisista trafił mnie z serwisu. Zanim zdążyłem zareagować, potężny ból odurzył mnie, przygważdżając do podłogi. Poczułem, jak przygniata mnie nieokiełznana moc. Telefon upadł obok, zaledwie kilka centymetrów od mojej prawej ręki. Niby nie dużo, ale jednak za wiele, bym mógł dosięgnąć. Ponadto smartfon wylądował wyświetlaczem do ziemi, a światło rozchodziło się ku sufitowi. Ciemność wokół sprawiała wrażenie bezdennej. Usłyszałem czyjeś kroki, były ciężkie i mozolne. Ktoś albo miał problem z poruszaniem się, albo ważył całkiem sporo. Instynkt obronny dodał mi siłę, jęknąłem z bólu, ale udało mi się podnieść, by po chwili kopniak w brzuch dokończył moją kapitulację.

Ciemność zalała mnie w całości, słyszałem, jak ktoś grzebie przy piecyku.

Telefon – dowód być może obciążający kogoś z mojego domu zaraz trafi w obce ręce.

Chwilę później kroki ponownie zbliżyły się do mnie. Poczułem cudzy oddech na swoim karku, był ciężki, wyczułem woń tanich papierosów i zepsutych zębów.

– Lapis? – wyszeptałem z trudem.

Wiedziałem, że mój czas nadszedł i nie było odwrotu. Niekiedy małe kroki prowadzą ludzi do miejsca, gdzie nawet niewielki ruch może skończyć się upadkiem.

Ponowiłem swój szept, cudzy oddech stawał się coraz bardziej płytki i słabiej wyczuwalny.

Obcy oddalił się bez słowa, tym razem stanowczo stawiał każdy krok, jakby przez to chciał zakomunikować, kto wyszedł zwycięsko z nierównej walki.

Po kilku próbach się podniosłem, intuicyjnie sprawdziłem bolące miejsce na głowie. Na szczęście rozcięcia nie było, jedynie guz pozostanie pamiątką po idiotycznej wpadce.

Zabrałem leżący telefon, z trudem trzymałem się na nogach. Świat wirował mi przed oczami, skronie pulsowały zaciekłe. Oświetlałem sobie drogę powrotną, na zewnątrz zapadł zmrok. Mój samochód nadal rozjaśniał domek, silnik pracował na jałowym biegu. Dookoła nie było żywej duszy, żadnego śladu cudzej obecności oprócz mojej.

Poczułem mrowienie w dłoni, telefon wibrował, jakby skarżył się na sposób traktowania.

Odebrałem bez spoglądania na wyświetlacz.

– Cześć, kochanie.

Ciepły głos Ani był taki odległy, jakby należał do dalekiej przeszłości.

– Cześć, jak było u lekarza?

– Dobrze.

– A właściwie dlaczego u niego byłaś? – Starłem się nie brzmieć jak osoba, która z trudem trzyma się na nogach.

– Opowiem ci, jak będziesz w Krakowie.

– Ale to nic poważnego? – drążyłem temat, co podpowiadała mi intuicja.

– Nie martw się. Jutro jadę do rodziców, babcia ma osiemdziesiąte urodziny za dwa tygodnie, ale już teraz chcę ją zobaczyć.

– Jak jej wyniki?

– No właśnie... nie jest kolorowo. Dwa tygodnie to dosyć sporo. Nie chcę, by coś mnie ominęło.

– Zapowiedz naszą wizytę, okej?

– Jasne. Mam nadzieję, że przetoczenie krwi coś pomoże.

– Oby. A co u ciebie?

– Yyyyyy, wiesz. Zapoznają się na nowo ze starymi rewirami.

- I jak ci idzie?
- Całkiem okej. Ale trochę jeszcze tutaj pobaluję.
- Rozumiem.
- Na pewno? Nie jesteś zła?
- Rozumiem, zresztą ja też wyjeżdżam na parę dni.
- Co poza tym? – wypowiadając te słowa, poczułem, jak guz rozrywa moją głowę na pół.

Potrzebowałem solidnej dawki paracetamolu i wizyty u lekarza. Ale akurat tego ostatniego chciałem uniknąć za wszelką cenę.

- Natka rozstała się z Dominikiem, właśnie zaraz się do niej wybieram razem z Kami.
- Powiedziałbym „baw się dobrze”, ale to chyba nie na miejscu.
- Kto powiedział, że mamy opłakiwać jakiegoś frajera?
- W sumie. To co? Algida, damskie porno i kilka butelek wina?
- Jak ty nas dobrze znasz.

Jej seksowny śmiech rozszedł się po okolicy, był na tyle wyrazisty, by spłoszyć ptaki, które od momentu opuszczenia chatki dyskretnie mnie obserwowały.

- Baw się dobrze, tak czy siak.
- Dzięki. Pa, kochanie, odezwę się, jak będę już u rodziców.
- Okej. Pa.

Automatyzm wziął górę, po rozłączeniu się sięgnąłem po paczkę papierosów. Nikotyna już po pierwszym zaciągnięciu się osłabiła przytłaczającą dolegliwość. Zaciągnąłem się pazernie, gapiąc się na oświetloną leśniczówkę. W blasku sztucznego oświetlenia wyglądała na znacznie większą niż za dnia. W pierwszym odruchu chciałem wrócić do środka, znaleźć coś jeszcze – coś, co odkryje kolejne karty. W okamgnieniu dopaliłem, na dziś miałem dosyć.

Gdy obróciłem się, by wejść do środka, dostrzegłem, że przód samochodu wbił się w podłoże. Wsiadając, poczułem irytującą wilgoć, sprawiała dyskomfort nie tylko podczas siedzenia, ale również podczas dotykania kierownicy, no tak, nie domknąłem drzwi, wysiadłszy. Wrzuciłem wsteczny, po czym delikatnie ruszyłem do tyłu. Opony kręciły się w miejscu, a silnik wył zawzięcie. Po chwili wrzuciłem jedynekę, trochę do przodu, potem do tyłu i tak kilka razy. Udało się, samochód zawył, a głuchy trzask zadudnił mi w uszach. Wycofałem na drogę powiatową, świeży śnieg na czarnym asfalcie potwierdzał moje domysły, intruz nie przyjechał samochodem. Zniknął w lesie niczym pewna bliska mi osoba kilka lat temu. I podobnie jak ta osoba zostawił mnie z setką pytań.

Coś tłuło się przez całą drogę do domu, rozsądnie byłby się zatrzymać, ale moje działania rzadko kiedy były rozsądne. Zanim dojechałem przed dom, zrozumiałem, że samochód ponownie trafi do naprawy, tym razem będę musiał znaleźć konkretną przyczynę.

Zajechałem przed dom, hałas z samochodu sprawił, że domownicy przykleili się do okien.

Zanim opuściłem pojazd, niemal jak spod ziemi wyrósł przede mną Wiktor.

– Znowu miałeś przygodę?

– Taaa...

Nie byłem przygotowany na tak szybką konfrontację.

Brat przyklęknął i poświecił latarką pod podwozie samochodu, taktownie pokręcił głową, dając znak o zaistniałej usterce.

– No, no. Coś ci się leje.

– Co to może być?

– Z przodu; sądząc po barwie, pewnie chłodnica. Zresztą włącz silnik i powiedz, ile wskazuje temperatura.

Ponownie zasiadłem na fotelu kierowcy, ból z tyłu głowy powrócił ze zdwojoną siłą. Odpaliłem silnik metaliczny harmider ponownie popłynął z podwozia.

– I co?

– Jest na czerwono.

– Otwórz maskę.

Minęła chwila, zanim przypomniałem sobie, gdzie jest ta przeklęta wajcha. Zastanawiałem się, kiedy ostatnio zaglądałem w miejsce, w którym przeciętny właściciel czterech kółek sprawdzał stan swojego pojazdu.

– Pusto. Wyłącz.

– Czyli chłodnica?

– Na pewno chłodnica, ale zdaje się, że nie tylko. Zostaw kluczyki, jutro się tym zajmę.

– Dzięki, brat.

– A tak w ogóle. To gdzie się podziewałeś?

– Aaa... byłem u starych znajomych pod Tarnowem.

O dziwo, kłamstwo przyszło mi równie łatwo, jak i niejedna oczywista prawda, którą wypowiedziałem w życiu.

– Udana wizyta?

– Wiesz, jak jest. Każdy żyje swoim życiem.

– Chłopaki! Chodźcie do środka! – zawołała Agnieszka.

Stała w progu, machając do nas, byśmy przyziemną rozmowę kontynuowali w środku.

Wlekłem się za starszym bratem i zastanawiałem się, jak wytłumaczyć wypuklenie na głowie. Moje włosy były zdecydowanie za krótkie, by zasłonić to, co dostałem w prezencie od nieznajomego. I już na wstępie zostałem zmuszony do kłamstwa.

– Oooo. A co?

Ledwo przekroczyłem próg domu, gdy tata jako pierwszy dostrzegł przekłety siniak.

– Siniak, trafiłem na oblodzony chodnik.

– Byłeś z tym u kogoś? Nieładnie to wygląda. – Agnieszka obeszła mnie, mierząc wzrokiem. Jej spojrzenie było oceniające, jakby próbowała sprawdzić, czy w opowieści jest choćby ziarno prawdy.

Akurat ją okłamać było równie trudno, jak i wygrać Premier League ekipom spoza wielkiej szóstki.

– Nie, to tylko siniak, nic mi nie jest.

– Takie urazy wychodzą dopiero po paru dniach. Nie możesz tego ignorować – drażył temat tata.

Trafił na sojusznika w postaci Agnieszki, przez neutralność Wiktora zostałem w mniejszości.

– Tata ma rację. Musisz to zbadać, dziś jest późno, ale może jutro.

– Nie jest późno. Zawiozę go. Wiesz, że następcą mamy to stary kawaler, pewnie siedzi i ogląda telewizję.

– Tato, nie znam gościa. Ale jego wzrok nie zastąpi rentgena głowy.

– Oj, Szczepan, trochę czasu minęło. Ostatnie wybory sprawiły, że pan poseł chciał za wszelką cenę pokazać, jak dobry jest dla ludu. Zakupił między innymi rentgen dla przychodni. Na jego nieszczęście wypadł blado podczas wyborów i zamiast Wiejskiej ma realną wieś. – Uśmiech Agnieszki był pełen szyderstwa.

Nie musiałem zgadywać – pan eksposeł nie był jej ulubieńcem.

– Poczekaj, zadzwonię do niego, żebyśmy nie czekali na zimnie, i jedziemy.

Tata przypominał mi tego człowieka z dzieciństwa. Pełnego wigoru i zapału.

Działanie było wpisane w jego DNA, nie potrafił siedzieć beczynn timer. Może przez to wpadłem w to bagno?

– Mówisz, że gdzie się przewróciłeś? – Agnieszka nie dawała za wygraną.

– Na chodniku. – Puściłem jej oko.

Podziałało, do powrotu taty wymieniliśmy spojrzenia pełne zrozumienia.

Z salonu dochodziły strzępki rozmowy z nowym lekarzem. Z tego, co zrozumiałem, pan doktor wyraził zgodę na wizytę, za którą NFZ mu nie zapłaci.

– A nie mówiłem. Zgodził się – odparł dumnie tata, gdy powrócił z salonu.

Ledwo zdążyłem się zorientować, a ojciec już był na zewnątrz. Ruszyłem za nim, samochód taty, podobnie jak mój, nie wymagał odśnieżania, strzelający metal potwierdzał fakty – dopiero co wrócił.

Wyjazd do lekarza nie był mi na rękę, nie lubiłem wizyt u dentysty, nawet u mamy w gabinecie czułem się nieswojo. Świadomość, że na dawnym fotelu mamy będzie siedział ktoś inny, była dobijająca. Mimo wszystko zrozumiałem, że sam wyjazd jest mi na rękę. To była najlepsza okazja, by skonfrontować się z tatą.

Ojciec delikatnie wycofał, stał zbyt blisko garażu, więc musiał uważać na stary ciągnik, który z łatwością wbiłby się przez karoserię volkswagena. Od przychodni dzieliło nas zaledwie pięć minut, za mało, by wyjaśnić kwestie znaleziska na strychu, za mało na cokolwiek. Ale wolałem niedopowiedzenie niż wymuszoną ciszę.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne, wal śmiało. – Tata pilnował drogi, nawet nie zerknął na mnie.

– Czy łączyło cię coś z panią Wojtaszek?

– Co? Co masz na myśli?

– Nie wiem. Pytam tylko, czy coś was łączyło?

Tata zjechał na pobocze, po czym wyłączył silnik, radio grało jedną z nudnych popowych piosenek, ale i ono zostało wyłączone. Tata wreszcie spojrzał na mnie, pomimo ciemności panującej w samochodzie widziałem w jego oczach niepokój.

– Nigdy nie zdradziłem twojej mamy. To, że teraz się z kimś spotykam, nie znaczy, że spotykałem się wcześniej.

– Nie o to pytam.

– A o co? – W głosie taty pojawiła się irytacja.

– Znalazłem coś.

– No. Co znalazłeś?

– Byłem wczoraj na strychu. Obok moich rzeczy, które spakowała Agnieszka, znalazłem coś jeszcze – musiałem zaczerpnąć powietrza, by wyrzucić to z siebie – czarny worek.

Milczałem chwilę, chciałem dać szansę tacie na wyjawienie prawdy. On jednak również milczał, czułem, że ruch nadal był po mojej stronie.

– W środku była torebka należąca do pani Wojtaszek. Telefon, portfel.

Tata nadal milczał. Utkwił spojrzenie w przedniej szybie, na której ginęły pojedyncze płatki śniegu.

– Powiesz coś wreszcie?

– Szczepan, nie wiem, co się z tobą dzieje. Nie wierzę, że ten siniak to efekt śliskiego chodnika.

– Nieważne.

– Ważne! Nie ma rzeczy nieważnych. Zrozum to wreszcie...

– Odpowiedz mi.

– Gdzie jest ta torebka, którą rzekomo znalazłeś?

– Telefon znikł, ktoś go zabrał, ale torebkę zostawił. To znaczy chyba zostawił. Nie słyszałem, by wyciągał ją z pieca.

– Z jakiego znowu pieca?

– Schowałem wszystko w starej leśniczówce.

– Tam, gdzie dzieciaki ćpają i uprawiają seks? Nic dziwnego, że ktoś cię napadł. Ciesz się, że nie ukradli ci samochodu i kasy.

– To nie był złodziej.

– Nie, nic mnie nie łączyło z panią Wojtaszek. O to pytałeś. – Tata spojrzał mi w oczy.

Mówił prawdę.

– Przeczytałem esemesy, które wymienialiście między sobą.

– I?

– I ty mi powiedz.

– Nie wiem, o które esemesy ci chodzi.

– Prosiłeś ją, by o czymś nie mówiła.

– Aaa, o to ci chodzi.

– Wytłumacz mi wreszcie – wycodziłem przez zęby.

Złość na tatę rosła, chciałem poznać prawdę i czułem, że to on jest jej źródłem.

– Chodziło o Martę. Ona...

– No... powiedz! – Mój krzyk rozszedł się po wnętrzu samochodu.

– Marta nie jest jej córką. Została adoptowana. Cała sprawa mogła wyjść na jaw. Wnuczka Eli zachorowała. Zaczęły się badania genetyczne. Na szczęście drugie wyniki badań dziewczynki okazały się dobre. Kolejne badania również potwierdziły, że pierwsze było błędne, a to, co dolegało małej, było tylko chwilową infekcją. Ale Ela stwierdziła, że musi powiedzieć.

– Dlaczego namawiałeś ją, by nie mówiła?

– A dlaczego uważasz, że ją do tego namawiałem?

– Wnioskuje z treści esemesów.

– Chciałem ją tylko przekonać, by nie mówiła tego w tamtym momencie. O takich rzeczach nie powinno się mówić w nagłych sytuacjach.

– I to wszystko?

– Tak, a co ty myślałeś?

– Że kryje się za tym coś mrocznego – wypowiedziałem te słowa z trudem, jakby uwierały mnie w język i kłuły w podniebienie.

– Mrok to stan duszy. Rzeczywistość to czyste fakty, którym my nadajemy barwy. Wiem, że od momentu zniknięcia Emilki czujesz mrok. Ale to od ciebie zależy, kiedy on minie.

– Jedź – odparłem gorzko.

Samochód ruszył przed siebie, by po chwili zawrócić na wjeździe w jedno z pól. Kierowaliśmy się w stronę leśniczówki. Liczyłem, że chłodna głowa taty dostrzeże znacznie więcej niż ja. Po wymianie zdań zapadła cisza. Obaj oczekiwaliśmy na przełamanie tej drugiej strony, lecz pozostawialiśmy w okopach. Przyjemny warkot i ogrzewanie sprawiały, że stałem się senny, za oknem majaczyły ciemne plamy. Ręką delikatnie przetarłem szybę, mój oddech pojawiał się i znikał, tworząc chwilową parę zamieniającą się w smugę.

– Szczepan.

Odwróciłem się w stronę taty. Dostrzegłem, że języki ognia rozświetlają niebo przed nami. Były na tyle wysokie, by wystawać ponad drzewa. Byliśmy oddaleni co najmniej kilometr od leśniczówki. Było za późno na uratowanie czegokolwiek. Ktoś wrócił i posprzątał po naszym spotkaniu.

Tata spojrzał na mnie, było to to samo spojrzenie, które pojawiło się w jego oczach po zniknięciu Emilki.

Wtedy

Szkoła zbliżała się niczym rozpędzony pociąg. Jesień wkraczała do wsi, skracając dzień, zwiększając opady i chowając słońce za ciężkimi chmurami. Pola świeciły pustkami, żniwa zapędziły ludzi do swoich domów, wykopki rozpoczęły się znacznie wcześniej niż w poprzednich latach. Jeszcze przed końcem sierpnia ciągniki zwiozły ostatnie worki ziemniaków. Ziemia pozostała naga, gotowa do zaorania i siewu na kolejny rok. Cykl życia na wsi właśnie zatoczył koło, tutaj rok mierzyło się za pomocą kolejnych zbiorów. Czy były to zboże, maliny, truskawki czy buraki, jesień nastawała wraz z ich zbiorem.

W lesie coraz częściej pojawiali się ludzie. Lwią część stanowili mieszkańcy pobliskich miast. Kamieniec poza jedyną, owianą legendą, atrakcją turystyczną mógł się pochwalić sowitym wysypem grzybów. Podczas weekendów nie było wolnego pobocza, które nie byłoby zastawione przez pojazd z obcą tablicą rejestracyjną. Tata również uwielbiał zbierać grzyby, pomimo jego wielokrotnych prób zapoznania mnie z najpopularniejszymi, nigdy nie potrafiłem rozróżnić prawdziwka od kozaka. Byłem oporny na tę wiedzę, podobnie jak na ostrzeżenia, bym sam nie oddalał się do lasu. Wielokrotnie szukałem sposobności, by znaleźć się w lesie i poszukać choćby śladu po Emilce. Dziadek skutecznie pilnował mnie za każdym razem, gdy niby-przypadkiem piłka znalazła się nieopodal skraju lasu, wówczas pojawiał się na horyzoncie pod pretekstem, który w praktyce okazywał się nieistotnym zajęciem.

Inaczej było z tatą, zabierał mnie na grzyby pomimo niechęci mamy; pozwalał, bym kręcił się w pobliżu, podczas gdy on przeczesywał kolejne metry. W naszych wyprawach rzadko towarzyszyła mama, wykręcała się zmęczeniem i chęcią spędzenia czasu w ogródku, lecz tak naprawdę las był dla niej stratą czasu i miejscem tragedii, której nie chciała być częścią, w przeciwieństwie do mnie.

Ostatnia niedziela przed rokiem szkolnym była wyjątkowo chłodna. Dzień wcześniej padał deszcz, przez co powietrze w lesie było ciężkie, ostatnie komary biły się ze sobą o dostęp do krwi. Mama przygotowała mnie na wyprawę, smarując maścią przeciw ukąszeniom oraz kupując nowe gumki – na tyle wysokie, by żaden kleszcz nie znalazł wejścia, i na tyle grube, by żmija nie mogła się przebić.

Wstaliśmy o świcie, po śniadaniu tata zabrał mnie na pierwszą mszę, w kościele była jedynie garstka ludzi, których średnia wieku wynosiła mniej więcej tyle co tych

pochowanych na cmentarzu. Po mszy pojechaliśmy do lasu. Szybko przebraliśmy się w samochodzie i jeszcze przed siódmą weszliśmy do królestwa grzybów oraz dzikich zwierząt. Jesienią to miejsce zyskiwało na uroku, zapachy tworzyły hipnotyzującą woń, dźwięki ukrytego życia karmiły wyobraźnię. Lubilem zamykać powieki i wyobrażać sobie ptaki wijące sobie gniazda skryte przed potencjalnymi intruzami, oczami wyobraźni widziałem cywilizację opanowującą martwe drzewo, które skazane na rozkład i powolną śmierć stawało się nowym życiem panującym dookoła. Na każdym kroku dostrzegałem owady i ich owoce wciąż obecne na krzakach. Las przypominał ogród Boga, miejsce, gdzie człowiek jeszcze nie zdążył zasiać zniszczenia i gdzie grzech nie był obecny. Tylko że to była fikcja, grzech w tym lesie wił się pomiędzy drzewami, był każdym kamieniem, który napotykałem, a jego sercem był Kamieniec.

- Szczepan, a ten grzyb poznajesz?
- Nie. Ale jest duży i mama się ucieszy.
- Mama bardziej ucieszyłaby się z kwiatów.
- To dlaczego jej nie kupisz?
- Gdybym kupował codziennie, tobyśmy zbankrutowali.
- Przynajmniej mama byłaby szczęśliwa.
- Na pewno, już ją widzę. Szczęśliwa i mieszkająca pod mostem.

Ostatnie zdanie tata wypowiedział pod nosem, z trudem je usłyszałem. Wówczas uważałem, że szczęście jest zależne tylko od ludzi. Że nawet mając pusty portfel, można budzić się z lekką głową.

To okropne, jak dorosłość okrada człowieka, sprawia, że cały prosty światopogląd staje się jedynie naiwnością, a świat miejscem, gdzie z trudem da się wytrzymać.

Tata idealnie wybrał dzień na wyprawę do lasu, niemal na każdym kroku natrafiał na ładny okaz, ja jednak szybko zacząłem się nudzić. Powoli oddalałem się od ojca, na początku na kilka kroków, by co chwilę zyskiwać większą niezależność. Tata stawał się punktem kontrolnym, raz na jakiś czas musiałem nawiązać krótką rozmowę lub pojawić się w jego polu widzenia, by na krótki czas mieć święty spokój. Dodatkowo tata był moją hydroksyzyną, dzięki niemu strach przemijał. Nie dopisywałem sobie abstrakcyjnych scenariuszy i demonicznych wizji. Było tylko to, co widziałem i słyszałem. Starłem się całym sobą chłonać otaczającą rzeczywistość, każde drzewo, każdy pozostawiony na pastwę czasu pień i obrosnięte mchem wzniesienie.

Przez chwilę poczułem spokój, był niczym narkotyk. Było to dziwne uczucie, ciepłe, lekkie, ale jakby nieprawdziwe. Sen, z którego nikt nie chciał się wybudzić, ale ja

jednak chciałem. Coś obok szeptało mi, że to urojenie. Że las jest moim przekleństwem, miejscem, gdzie koszmar się rozpoczął i gdzie będzie jego kres.

Odrzucałem niewygodne myśli, jakby były jedynie natrętnym owadem krążącym wokół głowy. W pewnym momencie zorientowałem się, że między mną a tatą powstał całkiem spory dystans. Wprawdzie dostrzegałem jego schylone plecy, jawnie jednak złamałem dane mamie słowo – trzymaj się taty i nie odchodź dalej niż kilka metrów. Dzieliło nas kilkadziesiąt, pewna część mnie chciała wrócić, lecz druga warstwa mojego ego chciała podążać własnymi ścieżkami. Tak właśnie wyglądało moje życie; gdybym wówczas zabił ten bunt, to dookoła byłoby znacznie mniej zła. Banał, ale sprawczość to również bierność. Wtedy to zrozumiałem, podszedłem do jamy, wzmożone opady ostatnich dni utworzyły małą jaskinię, teren wokół przypominał błotny lunapark. Moje gumki niemal zapadały się do kolan. Każdy krok stawał się wyzwaniem, a jednak coś pchało mnie do przodu. Wiatr strącił liście z drzewa, były jak serpentyny tańczące na rozkaz każdego podmuchu wiatru. Kolejny krok i grunt stawał się twardszy, lecz dwa metry dalej trafiłem na pole minowe. Po kilku następnych krokach moja prawa stopa napotkała opór. Spojrzałem w dół, z ziemi wystawała mała, drobna dłoń, była brudna od ziemi, skóra z opuszków palców była zdarta, jakby ktoś potraktował ją papierem ściernym.

Krzyknąłem.

Odruchowo próbowałem się cofnąć, lecz mokradło zatrzymało moje stopy. Wpadłem w błoto. Z oddali dobiegał głos taty, który mnie wołał, słyszałem, jak ojciec pokonuje dzielącą nas odległość, jak brnie przez zarośla i korytarze pomiędzy drzewami. Słyszałem swoje imię odbijające się od pagórków i wystających z ziemi wielkich kamieni. Próbowałem się podnieść, lecz z każdym ruchem coraz bardziej zakopywałem się w błocie. Spojrzałem za siebie, tata, niemal jak na zawołanie, wyłonił się zza wielkiego krzewu.

– Szczepan, nie ruszaj się!

– Tato...

– Nie ruszaj się, idę po ciebie. – Rozglądał się dookoła, jakby szukał podpowiedzi, co ma zrobić. Po chwili zrozumiałem, że szuka gałęzi.

– Chwyć się tego, a ja cię wyciągnę.

– Nie mogę się ruszyć.

– Wiem, ale jak pójde po ciebie, to obaj ugrzęźniemy. – Tata zbliżył się na tyle, by gałąź była w moim zasięgu.

Wyciągnąłem się tak bardzo, jak tylko byłem w stanie. Od mojej prawej ręki do końca gałęzi pozostawało jedynie kilka centymetrów, przez chwilę musnąłem krawędź

kija.

Tata wychylił się jeszcze bardziej, przez co niemal sam nie utonął w błocie.

– Szczepan, postaraj się! – Głos taty był stanowczy. Tym razem nie uznawał porażki.

Chwyliłem kij, był stosunkowo gruby, ale nie budził zaufania, zwłaszcza że sam wielokrotnie z nudy łamałem podobne podczas spacerów z Emilką.

– No, teraz druga ręka.

Z grymasem świadczącym o zbyt wielkim wysiłku wyciągnąłem lewą rękę, była cała w błocie.

– No dalej, dasz radę.

I dałem.

Rękami pewnie chwyciłem kij. Tata powoli ciągnął w swoją stronę, czułem, jak szczerlnie opinające warstwy błota puszczają mnie z wnyków. Wysuwałem się pomimo gęstych warstw, które mnie pochłonęły; czułem, jak moje stopy otula zimna magma. Wówczas zrozumiałem, że podczas szamotaniny straciłem gumki, przez co o incydencie dowie się mama, i to niezależnie od tego, jak bardzo będę błagał tatę o zachowanie tajemnicy. Ojciec ciągnął mnie jednostajnym, lecz wolnym tempem. Zanim się zorientowałem, byłem w zasięgu jego rąk. Wziął mnie i przytulił, spodziewałem się srogiej bury albo nawet kary fizycznej, której nigdy nie otrzymałem. Zamiast tego tata powiedział słowa, która padają na tym świecie bardzo często, lecz rzadko idą za nimi prawdziwe uczucia.

– Kocham cię.

W moich oczach pojawiły się łzy. Ale nie dlatego, że obawiałem się kary lub przestraszyła mnie sytuacja. Nawet jeśli człowiek ma świadomość istnienia pewnych uczuć, to gdy już wybrzmia, i tak czasem stają się czymś więcej niż tylko wypowiedzianymi słowami.

Obróciłem głowę, by zaczerpnąć powietrza, całą twarz miałem umazaną w błocie, lecz tuż po wpadnięciu w ramiona ojca zmazałem z oczu ostatnie bryły. Miejsce, gdzie wystawała dłoń było puste.

Wówczas to postanowiłem – nie chciałem już wracać do tego lasu.

Teraz

Przychodnia kompletnie nie przypominała placówki publicznej, którą znałem. Dwudziesty pierwszy wiek wkroczył tutaj pełną parą. Meble, które bardziej nadawałyby się do prywatnej, zachodniej kliniki, ściany z czystą bielą. Pracownia rentgenowska jeszcze bardziej zapierała dech w piersiach. Na urządzeniu, które niemal błyszczało nowością, o palmę pierwszeństwa biły się kolejne agencje rządowe dumnie oznaczone naklejką „sfinansowane z funduszy”. Wygrała ta najbardziej związana z Unią Europejską, największe logo, które równie dobrze mogłoby być jawną reklamą na koszulce Cracovii.

Wyszedłem z pracowni, tata siedział naprzeciwko drzwi, dla zabicia czasu przeglądał gazetę, jedną z tych, która dotyczyła kwestii życia towarzyskiego celebrytów. Problem w tym, że numer pochodził z października, co przy zmiennych nastrojach i nadmiernej chuci gwiazd popkultury oznaczało, że większość z nich miała już innych partnerów, a zdjęcia zrobione niby ukradkiem straciły jakąkolwiek wartość.

– I jak?

– Nie znoszę tych wszystkich badań. Są takie, takie... sam nie wiem. Klaustrofobiczne, poza tym przy tych wszystkich urządzeniach czuję się jak oznaczany kurczak.

– Kurczak? – Brwi taty uniosły się wysoko.

– No dobra, głupio gadam.

– Co o tym wszystkim myślisz?

– Robi wrażenie.

– A tak poważnie?

– Dziwnie jest tutaj przychodzić, podczas gdy jakiś koleś panoszy się w miejscu, które mama zbudowała od zera, i dzięki kasie z Unii sprawił, że wszystko wygląda jak z jakiegoś serialu medycznego.

– To zasługa twojej mamy. Jeszcze kiedy żyła, walczyła o dofinansowania...

– Ale kobiety mało kto słuchał. Przyszedł facet i nagle dało się załatwić kilka rzeczy.

– Seksistowska uwaga.

– Prawdziwa.

Obaj patrzyliśmy przed siebie. Temat spalonej leśniczówki wisiał w powietrzu. Żaden z nas nie chciał jako pierwszy wkroczyć na tę ziemię. Zbyt wiele min czekało nas po

drodze. Jadąc do przychodni, obaj milczeliśmy jak zakłeci, dla „umilenia” czasu tata włączył jedną ze swoich ulubionych płyt – *The Dark Side of the Moon* Pink Floyd. Akurat ten wybór nie wygonił narastającego niepokoju.

– A więc tak. – Lekarz wyszedł z pracowni, kulejąc, jakby dopiero co wrócił z wojny. Był dużej postury, nieco przygarbiony z nieokiełznaną brodą idealnie nadawałby się do roli Świętego Mikołaja.

– Będę żył?

– Jeśli rzuci pan palenie, to owszem, jeszcze sporo przed panem. Rentgen nie wskazał jakichś nieprawidłowości, poza...

– Poza?

– Poza tym, że pana mózg... Nic. Proszę mnie nie słuchać. Guz nie jest groźny. Skończy się na dyskomforcie kilkudniowym, paracetamol powinien pomóc.

– Okej. Panie...

– Nazywam się Piotr Orzecki,

– Orzecki? To chyba nie jest miejscowe nazwisko.

– Szczepan! – wycedził przez zęby tata, napiętnowując moją wścibskość.

– Tak, pochodzę z Dolnego Śląska.

– I co pana sprowadziło na takie zadupie?

Chrząknięcie mojego towarzysza świadczyło o przekroczeniu rodzinnych norm zachowania.

– Powiedzmy, że na starość chciałem znaleźć się w spokojnym i miłym miejscu.

– Dobrze pan trafił?

– To chyba oczywiste. Przecież to pan stąd pochodzi.

– Dlatego chciałem poznać zdanie kogoś neutralnego.

Na twarzy doktora pojawił się uśmiech świadczący o niechęci do dalszej rozmowy.

– Widzę, że twój syn jest bystry.

– Czasem aż za bardzo.

Wymiana zdań między dwójką starszych mężczyzn sprawiła, że poczułem się jak niesforny dzieciak, który po opuszczeniu przychodni oberwie za swój niewyparzony język.

– Skoro już wiemy, że panu nic nie dolega, to może wróć do swojej książki i ciepłego kominka. No chyba że macie ochotę pogadać o Kamieńcu.

Telefon taty wydał okropny dźwięk, kiczowaty dzwonek podkreślało echo, które gwarantowała akustyka pustej poczekalni.

– Tak. Mhm...

Nasłuchiwałem strzępków wyrwanych z kontekstu. Rozmówca mówił zbyt cicho, a może to ja miałem za słaby słuch po uderzeniu.

– Jest pan pewien?... Ale wiadomo, do kogo należą? Okej, to czekamy na dalsze wieści. Niech pan dzwoni, kiedy będzie coś wiadomo.

– Co się stało?

– To z policji. Przez to, że jako pierwszy zadzwoniłem z informacją o pożarze, będę w papierach tej sprawy.

– Ale co powiedział?

– Było to podpalenie, według strażaków ktoś polał budynek benzyną. Dlatego wszystko spłonęło tak szybko. Istotniejsze jest jednak to, co znaleźli po ugaszeniu.

– Mów dalej.

Poczułem, jak guz na głowie miażdży moją czaszkę. Ucisk był na tyle silny, że z trudem trzymałem się na nogach.

– Pod podłogą ktoś wykopał dziurę. W środku znaleziono ludzkie szczątki. Były na tyle dobrze zachowane, że...

– No mów wreszcie! – Mój głos echem odbijał się od ścian.

Nawet lekarz wzdrygnął się na moją reakcję.

– Czekają na przyjazd ekipy z wojewódzkiej i na prokuratora. Ale według strażaka, który to odkrył, to szczątki bez głowy. Sądząc po wielkości kończyn... – tata wziął oddech, jakby chciał podnieść napięcie do granic wytrzymałości – należały one do dziecka. Dodatkowo były owinięte w spódnicę dziecięcych rozmiarów.

III



Wtedy

Dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego w lesie odbywała się impreza. Była ona przewidziana tylko dla starszych dzieciaków. Tych, które miały na koncie pierwszego papierosa i straciły dziewictwo w leśnych zakamarkach. Było to niczym bilet wstępu, świadczący o kompetencjach, które zapewniają możliwość właściwej zabawy podczas libacji alkoholowej. Impreza była dla wybranych, również wybrani wiedzieli o niej. Sam dowiedziałem się o niej przypadkowo, gdy Wiktora odwiedził kolega ze szkolnej ławki.

– Stary, tam będą dupy z Lipnicy i nie tylko. Będzie taa, jak jej tam. No wiesz, ta blondyna z dużymi cyckami.

Kolega Wiktora mówił bardzo szybko, jakby treść, którą miał do przekazania, mogło coś pożreć. Ubrany w brudne od oleju szorty, stare tenisówki, które niczym nie zdradzały swojego pierwotnego koloru, T-shirt tak naciągnięty, że na wietrze odsłaniał całe, wychudzone ciało pełne siniaków i zadrapań, mógł uchodzić za bezdomnego. Czapka z logo Vancouver Grizzlies uzupełniała luzacki *outfit* rodem z polskiej wsi, gdzie czystość oznaczała frajerstwo. Ciążący na Wiktorze szlaban był jedyną przeszkodzą, podobno nikt nie wyobrażał sobie zabawy bez niego.

– Stary, bez ciebie to lipa, nie impreza – powtarzał jak nakręcony.

Ale kiedy człowiek wybiera się na studia daleko od domu rodzinnego, to żadna siła nie powstrzyma go przed ostatnią imprezą, tym bardziej gdy jedyną konsekwencją może być złość rodziców.

Stodoła stanowiła kiepską skrytkę dla konspiracji, ale obaj nie mieli żadnych barier, by wyłożyć kawę na ławę. Nawet nie szeptali, gdy przeszli do szczegółów. Przykleiłem ucho do dziurki, rycząca w oddali krowa zakłócała rozmowę, lecz nie na tyle, by nie wychwycić sedna rozmowy. Po chwili zwierzę zamilkło, a ja wreszcie mogłem usłyszeć, jak wygląda życie starszych chłopaków, gdy rodzice nie patrzą.

– Zgoda, ale mój brat musi mi pomóc.

– Ten mały?

– Szczepan, nie ten mały.

– No wiem, sorry, stary. Ale chyba go nie zabierzesz ze sobą?!

– Nie, ale muszę coś wymyślić. Agnieszka też idzie?

– Ta od...

– Tak, ta!

– No każdy idzie. Poza tą idiotką od Walaciaków, szmata doniosła ostatnio, to teraz ma przesrane. I dobrze, brzydka jest i w ogóle, no...

Soczyste splunięcie zapewne oznaczało brak dodatkowych argumentów.

– Powiem, że jadę ze Szczepanem i Agnieszką do miasta. Niby że idziemy na jakiś film albo coś w tym stylu.

Kolega zmarszczył czoło, być może jedno ze słów nie znajdowało się w jego słowniku.

– I?

– Co i? Ona na pewno też potrzebuje alibi.

Tym razem trudność wypowiedzi przerosła młodzieńca. Wytrzeszczył oczy, by po chwili rozpocząć intensywne dłubanie w nosie.

– No ja pierdolę. Wymówki też potrzebuje.

– Aaa, no tak, tak.

– Bądź o dziewiętnastej koło kapliczki, wiesz, co masz przynieść?

– No nalewkę dziadka.

– Nie! Ostatnio po tej nalewce wszyscy rzygali. Niech ten twój wujek kupi ci kratę piwa, na niego można liczyć.

– Dobra, a co z tym alibi?

– Idź już, Łapka, ogarnę swoje sprawy i widzimy się o dziewiętnastej.

Wiktor odczekał chwilę, po czym wyszedł i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę domu. Ja z kolei odczekałem niespełna kwadrans.

Wiedziałem, że za moment usłyszę głos mamy i swoje imię. Nie musiałem domyślać się, w jakiej sprawie woła mnie mama. Oficjalnie miałem z Wiktorem i Agnieszką udać się do Tarnowa na film, tytuł również był zmyślony, podobnie jak seans, na który się wybieraliśmy. Wiktor mrugnął do mnie, był to nasz znak – obaj znaliśmy go na wylot i zawsze oznaczał coś, co nie jest w zgodzie z wolą rodziców.

W zamian za wymówkę miałem dostać kilka komiksów i masę niezdrowego jedzenia, oczywiście gdy Wiktor zadomowi się w nowym mieście i będzie miał coś więcej niż na chleb i czynsz. Nie oczekiwałem niczego w zamian, on poszedłby za mną w ogień, więc taka drobnostka była raczej wyróżnieniem niż przysługą. Lecz gdy Wiktor się uparł, to nie było żadnej siły, by zmienić jego zdanie.

– Chcę ci w ten sposób podziękować. Poza tym wiem, że nie miałeś łatwo w wakacje. I nie chcę cię zostawiać, ale muszę. Może będziesz mnie odwiedzać. Wtedy na pewno pójdziemy do kina i film nie będzie wymyślony, ale prawdziwy.

Taki był Wiktor. Dla niego najbliżsi byli ważniejsi niż on sam. Zazdrościłem mu tej cechy, tego dostrzegania u nich potrzeb, których nie wyrażają, dobra, które dawał, nawet gdy sam go nie otrzymywał.

Plan był dosyć prosty, miałem siedzieć grzecznie w samochodzie, potem iść spać, Wiktor miał co pewien czas przychodzić i sprawdzać, czy wszystko jest okej. Tylko w wyjątkowej sytuacji mogłem opuścić samochód i przyjść do niego, ale wachlarz takich sytuacji był niezwykle wąski i poza pojawieniem się kogoś w pobliżu lub zagrożenia nie mogłem opuścić auta. Akumulator nie był zbyt pewny, więc o słuchaniu kaset mogłem zapomnieć, zresztą muzyka mogłaby dolecieć do któregoś z domu.

Rodzicom nie było zbyt wesoło, gdy usłyszeli, o której kończy się fikcyjny seans. Tata zaproponował, że poczeka na nas przed kinem, lecz powołanie się na dojrzałość i odpowiedzialność pomogło. Wiktor dostał do ręki kluczyki i pieniądze, gwarancja, że odbędzie bez problemów, podziałała. Piękno lat dziewięćdziesiątych wyzbyte komórek i mediów społecznościowych zapewniało nie tylko magię chwili, której nie można było odtwarzać na szklanym ekranie, ale również możliwość zniknięcia z radarów rodziców. Wyjechaliśmy, odgrywając rolę radosnych z wieczornego seansu młodych ludzi, których nie imają się rogate myśli. Być może naiwność to bardziej cecha dojrzałości niż młodości.

– Powtórzmy jeszcze raz. Gdyby się coś działo, naciśnij klakson albo przyjdź do nas. Ale tylko gdyby działo się coś poważnego! Okej?

Pokiwałem głową, nie bałem się samotności skąpanej w ciemności w blaszanej pułapce ze szklanym wstawkami, w której ruska latarka była jedynym orężem. Ale ciemność pośród dziesiątek drzew, zaledwie o kilkadziesiąt metrów od domu diabła była przerażająca.

Miałem przed sobą ucieczkę w ramiona brata albo przewyciężenie nocnych koszmarów i milowy krok w stronę dorosłości. Nie brałem pod uwagę pierwszej możliwości, nie będę już tym dzieckiem, które nawala i chowa głowę w piasek. Powtarzałem sobie, że Wiktor na mnie liczy, że widzi we mnie kogoś, kto nie jest gorszy, i ja nie mogę być gorszy od tego wyobrażenia.

Gdy Agnieszka z Wiktorem znikali pomiędzy drzewami, czułem, jak z każdym ich krokiem moje ciało staje się coraz bardziej sztywne. Gęsia skórka i spocone plecy przygnały kłęby komarów. Nie nadążałem z ich zabijaniem, raz po raz miażdżyłem kolejnego intruza. Irytujące bzyczenie jednak nie ustępowało, w miejsce jednego zabitego komara pojawiały się kolejne. Zajęty zabijaniem nie dostrzegłem, jak samochód zatonął pośród ciemności. Muzyka i okrzyki zabawy przedzierały się do auta, zapewniając pozory bezpieczeństwa. Zdążyłem najeść się chipsami i oryginalną

colą, która była niczym towar ekskluzywny w zalewie krajowych podróbek, gdy ogarnęła mnie senność.

Zasnąłem, Lapis i jego przekłute kamienie, Kamieniec, Emilka – to wszystko było daleko ode mnie. W samochodzie czułem się bezpieczny, chroniony przez zużytą karoserię mogłem być jedynie widzem, scenę pozostawiłem innym.

Spanie na tylnym siedzeniu nie należało do przyjemnych doświadczeń, maluch nawet dla dziecka stał się ciasną klatką. Przebudzałem się za każdym razem, gdy moja głowa zahaczała o wystające zagłówki lub błakającą się po ziemi gaśnicę. Zdążyłem przywyknąć do braku wygody, ale ciasnota zabierała mnie z powrotem na jawę.

Z ogniska zaczęły dobiegać coraz głośniejsze krzyki. Te jednak różniły się od poprzednich, nie było w nich domieszki śmiechu lub libacyjnego gwaru. Co raz więcej głosów mieszało się ze sobą, jakby krzyk był kolejnym elementem zabawy, która łączy ludzi. Kolejne minuty mijały, a wraz z nimi cisza stawała się coraz bardziej obecna. Najpierw wrzask zastąpiły wytlumione rozmowy, potem i one przerodziły się w pojedyncze zdania, na tyle ciche, że nie dało się z nich nic wyłowić.

Udawałem, że śpię, liczyłem, że pijane grupy omijające auto powstrzymają się przed głupkowatymi żartami, widząc śpiącego dzieciaka w środku. Być może była to zasługa autorytetu Wiktora, a być może coś innego wpłynęło na przechodzących. Gdy przechodzili, milczeli, jakby właśnie wracali z pogrzebu. Odliczałem kolejne osoby, które minęły samochód, Wiktor z Agnieszką wciąż się nie pojawili.

Gdzieś spośród cudzych oddechów i ciężkich kroków wyłonił się płacz. Lament wgryzał się do głowy, przypominając koszmar, który kryły leżące kamienie. Należał do dziewczyny, tyle byłem w stanie wyłowić. Dziewczyny, którą opętał strach, ten sam, który nosiłem ze sobą. Znałem tę rozchodzącą się bezradność i samotność, którą słyszałem u niej. Podniosłem głowę, latarka pośród drzew stanowiła daleki punkt w oddali, to stamtąd dochodził płacz. Jasny punkt zbliżał się w moją stronę, był coraz bliżej, po chwili usłyszałem głos Wiktora. Mówił cicho, jedyne, co zrozumiałem, to coś o zwidzie. Brat mówił spokojnym głosem, brzmiał, jakby bronił swoich racji przed sądem; kiedy zbliżyli się do samochodu na odległość kilku kroków, usłyszałem o słowo za dużo.

Emilka.

– Mówię ci, ona tam była, jestem pewna!

– Ciiii...

– Nie uciszaj mnie, tylko wróć tam ze mną. Proszę.

Zamilkli, jedynie bzyczenie komara trwało bez ustanku. Światło latarki przemknęło po wnętrzu malucha niczym złodziej unikający kamer. Od lewej ktoś otworzył drzwi,

zamek wydał metaliczny pomruk, który zbudziłby niemal każdego. Nadal jednak grałem śpiącego, dzięki czemu moja obecność ograniczała się jedynie do materii.

– Agus, wydawało ci się.

Dziewczyna milczała, słyszałem jej oddech przez nos, który wołał o chusteczkę higieniczną. Woń taniego alkoholu i ogniska była przytłaczająca, na szybach pojawiła się pajęczyna mgiełki. Tata powtarzał mi, że w taki sposób można poznać kogoś, kto spożywał alkohol.

– Posłuchaj, od razu przybiegli inni i nikogo nie widzieli. Może...

– Może?

– Nie wiem, może wypijaś za dużo. Ostatnio było u was trudno.

– Przestań, proszę cię. – Płacz zatkał jej usta, po chwili z trudem dodała: – Nie zwariowałam. Wiem, kogo widziałam. To była ona.

– Nie powiedziałem, że zwariowałaś.

– Wiktor, to nie był duch. Ona nadal jest w tym lesie. Sama, przerażona, coś trzyma ją tam siłą. Ona czeka na ratunek.

– Agnieszka, to dlaczego nikt z nas jej nie znalazł? Przeszukaliśmy okolice, każdy krzak, miejsce, gdzie mogłaby się schować. Nikt nie widział choćby śladu obecności. Nikt poza tobą jej nie widział. Uwierz mi, gdyby coś było na rzeczy, nikt by nie zostawił tego tak po prostu.

Zamilkła, czuć było, jak jej świadomość tłamsi nieokiełznane emocje. Po kilku minutach wreszcie przemówiła:

– Jak uważasz? Co się z nią stało?

– Nie wiem. Może faktycznie ktoś ją porwał. Albo nie wiem, może jakieś zwierzę ją zaatakowało. Wiele mogło się wydarzyć, ale boję się, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw.

– A Szczepan?

– Co Szczepan? – zabrzmiał srogo, niczym adwokat broniący klienta podczas wstępnego przesłuchania.

– Musi coś wiedzieć, widział ją ostatni.

– Agnieszka, on nie ma z tym nic wspólnego. – Wiktor nawet szeptem potrafił wyrazić swoją złość, zamiast krzyczeć, cicho wycedził szorstkim głosem. – Zapamiętaj to.

– Mówisz tak, bo to twój brat.

– Tak. I znam go najlepiej na świecie. Wiem, że ją uwielbiał. Nikomu krzywdy by nie wyrządził. Wiesz o tym.

– Ludzie mówią, że szlaja się po lesie i zbiera kamienie.

– To jakieś głupy. A chodzenie po lesie nie jest niczym złym.

– Moja siostra powiedziałaaby co innego.

Spojrzał na nią, przez lekko uchylone powieki dostrzegając tę złość, która nie pochodziła od człowieka. Miał ogień w oczach, chochliki płonące z gniewu i obłąd, którego granice nie miały końca. Chciał zamknąć jej usta, choćby ceną za to była nawet najgorsza rzecz, na jaką człowiek może sobie pozwolić.

– Powtarzam. On nie ma z tym nic wspólnego. Zrozum to wreszcie!

– Ale...

Chwycił ją za dłoń, drugą ręką zatkał jej usta.

Dziewczyna wydała urwany pisk; gdy zbliżył swoją głowę do jej ucha, zaczęła się szamotać. Trwało to zaledwie kilka sekund, lecz po wszystkim rozmowa zamilkła. Kiedy zajechaliśmy pod jej dom, nie padło nawet oklepane „dobranoc”. Agnieszka z trudem wysiadła z auta, nie alkohol plątał jej nogi. To słowa Wiktora wiązały krzyk, który miała w ustach.

Teraz

– Nie powiemy o tym znalezisku Agnieszce. – Tata oparł lewą rękę o szybę.

Płatki śniegu zjeżdżały z niej niczym dzieciaki z górki podczas ferii. W samochodzie było duszno, pomimo półgodzinnej wizyty temperatura w przychodni nie spadała. Obaj gapiliśmy się przed siebie, lampa oświetlała śmietnik komunalny służący głównie działalności przychodni, choć większość śmieci należało do pobliskich gospodarstw starających się zaoszczędzić na wywozie.

– I tak się dowie.

– Im później, tym lepiej. Nie wiadomo, czyje to zwłoki.

– Należą do dziecka, prawdopodobnie do dziewczynki. Zbyt wielu możliwości nie ma. Bo inny dzieciak nie zniknął.

– Tutaj nie zniknął, może ktoś wybrał to miejsce przypadkowo, a dziecko pochodziło zupełnie z innego krańca Polski. Nie wiem, to wszystko jest chore. – Tata przetarł czoło. Wyglądał na zmęczonego. Całe życie nosił cudze problemy na swoich barkach. Na starość ciężar zaczął wbijać w ziemię.

– Dobra. Nie powiem nawet Wiktorowi.

– Okej. Ale jest coś jeszcze. Dlatego akurat do mnie zadzwonili.

– Ale to ty wezwałeś policję.

– To dodatkowe obciąża ciebie.

– Mnie?! – podniosłem głos, wlepiając spojrzenie w tatę, któremu zabrakło odwagi, by odwzajemnić się tym samym.

– Po pierwsze, pod szczątkami znaleziono jakieś stare papiery; gdy się im przyglądaliśmy, okazało się, że są to komiksy. Po drugie, telefon Wojtaszkowej zalogował się w Tarnowie, następnie na obrzeżach miasta. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, co wydarzy się dalej.

– Chcesz mi powiedzieć, że ogień nie strawił rzekomych komiksów?

– Wierz mi lub nie, ale za chwilę zjawi się u nas policja. Obiecali przeszukać dom dyskretnie, żebyśmy tylko my o tym wiedzieli. Przyjadą pod pozorem zmarznięcia i chęci napicia się gorącej herbaty. Ale warunek jest taki, że przyjedziemy do nich, tak abyś nie mataczył.

– O czym ty gadasz?

– Kurwa! Szczepan, sprawa robi się poważna, ta torebka, twoja obecność w leśniczówce, potem jej pożar i znalezisko pod podłogą. – Na twarzy taty pojawił się gniew. Jego wyblakłą skórę zaalał krwisty rumieniec, źrenice były poszerzone, żyły na szyi pulsowały dynamicznie.

– Powiedz to, co myślisz. – Nie chciałem wychodzić przed szereg. Wiedziałem, że to, co ma się wydarzyć, wydarzy się tak czy inaczej.

Rzuconego kamienia nic powstrzyma.

– Czy zabiłeś Emilkę?

– Tak – wyszeptałem z zamkniętymi oczami. Po policzku spłynęła łza, była ciepła, a zarazem kojąca.

– Jak?

– Mam ci powiedzieć szczegóły?

– Masz powiedzieć wszystko. Co, jak i dlaczego. Koniec kłamstw.

– Nie wiem jak. Chciałem, by poczuła ból po tym, jak mnie oszukała. Potem zniknęła, nic więcej nie wiem.

– Co ty gadasz?

– Prawdę. Nie zabiłem jej, fizycznie nie zrobiłem jej jakiegokolwiek krzywdy.

– To jak wytłumaczysz to wszystko?

– Kurwa, nie wiem. Tato, wtedy przy Kamieńcu powiedziałem, że chcę, aby zamieniła się w kamień tak jak moje serce i zniknęła.

– Szczepan! Nie opowiadaj takich bajek. Nikt nie znika po wypowiedzeniu słów, to nie jest magia czy kraina marzeń. Ludzie nie znikają tak po prostu. Powtórzę ostatni raz, czy masz coś wspólnego z jej zniknięciem? Nie mam na myśli żadnych opowiadań o życzeniach czy też magicznym myśleniu, chodzi mi o realne działanie, nic więcej.

– Wiesz, że nie.

Odpalił silnik, nawiew powietrza drażnił moje policzki, nieśmiały szum zagłuszał niezręczny koniec rozmowy. Wycieraczki rozmazały plamy po płatkach śniegu, smugi ginęły wraz z kolejnym ruchem, tworząc plamy po płynie. Cytrusowy zapach drażnił moje nozdrza, nagle cała rzeczywistość stała się uwierającym swetrem. Za ciasnym, gryzącym i zbyt gorącym, mniej więcej jak całe moje życie.

Ruszyliśmy w stronę domu, droga wydawała się wyjątkowo długa, mijane domy straszyły ciemnymi szybami, jakby wszyscy zasnęli wraz z końcem popularnego serialu na TVP. Tata jechał poniżej dozwolonej prędkości, wydłużał maksymalnie powrót do domu, być może po to, by dać czas policji na przyjazd, a być może

zdobywał czas dla mnie, bym zbudował solidne alibi i mógł wybronić się z sytuacji jak wtedy, gdy na schodach kościoła graliśmy w klasy.

Przed zjazdem do domu stał już radiowóz, światła miał wyłączone, jakby nie chciał spłoszyć wystraszonej zwierzyny, która właśnie zrozumiała, że jest w pułapce. W środku siedziało trzech mężczyzn, zamilkli, gdy tata ich minął, jakby urywki wyrwane z kontekstu mogły dojść przez szczelnie zamknięte drzwi auta.

Ruszyli za nami, trzymając się w równej odległości, dobre dwadzieścia metrów, dostosowali swoją prędkość do naszej, dopiero na podjeździe przyspieszyli.

Firanka w oknie salonu drgnęła, fragment kobiecej twarzy pojawił się w szybie niczym cień. Kiedy wysiadałem z auta, uderzył mnie podmuch wiatru, płynął wprost z lasu, miał w sobie coś złowrogiego, niczym groźby, by tajemnica nie wyszła na światło dzienne.

– Dobry wieczór, panowie – rzekł mężczyzna w eleganckim garniturze.

Był wyjątkowo wysoki, miał szerokie ramiona, ostre kości policzkowe i twarz, którą gdzieś już widziałem. Był o kilka lat starszy ode mnie.

– Dobry wieczór. To mój syn Szczepan. – Tata wskazał na mnie skinieniem głowy. – To pan Janowski, być może kojarzysz go. Wychował się tutaj.

– Nie, przykro mi, nie kojarzę – odparłem, podając wilgotną dłoń.

– A ja pana kojarzę. Byłem kolegą Wiktora, czasem tutaj wpadłem. Ale wtedy był pan dzieckiem zaczytanym w komiksach. – Mężczyzna wpatrywał się głęboko w moje oczy i lustrował nawet najdrobniejszy element mojej mimiki.

– Niewiele się zmieniło. – Starałem się zachować zimną krew, ale czułem, jak obcy rozczytuje mnie w najdrobniejszych szczegółach. Jak ukrywane przez lata tajemnice widnieją na moich policzkach, jak wina zdobi moje czoło.

– To co, może wejdziemy. Jak to będzie wyglądało? – Tata wybawił mnie przed nagłą kapitulacją.

– Pod pozorem zainteresowania komiksami zaprowadzi pan funkcjonariusza do swojego pokoju. Powiemy, że mój dzieciak interesuje się komiksami i jak dowiedział się, że twórca Kapitana Skały pochodzi z Kamieńca, to nie mógł odpuścić.

– Okej.

– A my napijemy się herbaty jak gdyby nigdy nic.

Ruszyłem tuż za tatą.

Jako pierwszy wszedł do domu, gdzie w przedpokoju czekali już Wiktor z Agnieszką. Nie musiałem nic mówić, twarz zdradzała wszystko. Odgrywanie szopki z opowieścią o komiksach dochodziło do mnie z opóźnieniem, jakby słowa trafiały do moich uszu dopiero po fakcie. Każde z nich traktowałem jak bombę z opóźnionym zapłonem.

– Szczepan, słyszysz?

– Co mówiłeś?

– No idź i pokaż swoje komiksy panom. – Tata wpatrywał się we mnie, mrużąc oczy.

– Tak, tak, chodźmy.

Prowadziłem swoich katów na własne ścięcie. Staralem się uspokoić oddech, oszukać panikę i zachować trzeźwe myślenie. Skrzypienie starej podłogi niemal doprowadziło mnie do wybuchu, w głowie analizowałem, co mundurowi mogą znaleźć i co może doprowadzić mnie do nocowania w posterunku.

Dźwięk naciąganych rękawiczek rozszedł się po korytarzu. Ktoś dotknął mojego ramienia.

– Pan zostanie tutaj, dobrze?

Nie potrafiłem odpowiedzieć, jedynie skinąłem głową, po czym oparłem się o ścianę. Dwóch obcych ludzi przeglądało moje dzieciństwo, wchodziło w intymny świat wyobrażeń, fantazji i lęków. Ten pokój był jak część mojego umysłu, wiele rzeczy magazynowałem, by tworzyć, by kreować świat nieimający się realnych kształtów.

Jeden z policjantów przeglądał stertę moich książek z czasów, gdy lektury były świętością, drugi z nich przeszukiwał moją garderobę, pomimo faktu, że już dawno wyrosłem z tych ubrań, były wyprane i poukładane, jakby ktoś wciąż z nich korzystał. Po początkowej nieśmiałości mundurowi szybko przeszli do rutyny. Moje rzeczy lądowały na ziemi bez zbędnej czułości, nie zważano na to, czy skarbonka, która przetrwała prawie dwie dekady, może zakończyć swój żywot lub czy komiksy przetrwają nachalne kartkowanie.

– Mam coś.

Moje serce zabiło nachalnie, a oddech ogarnęła panika.

– Co to jest?

– Zawołaj Janowskiego.

– Ale...

– Trudno, mieliśmy być dyskretni, ale jak coś znaleźliśmy, to koniec z udawaniem. Wołaj, szkoda czasu.

Wtedy

Pierwszy dzień szkoły w naszym domu zawsze był apokalipsą. Tata pełen nerwów, mama starająca się go wesprzeć, co na ogół skutkowało pogorszeniem sytuacji, i ja – przestraszony i zagubiony. Tata był świetnym organizatorem, szkoła, jaką oddawał uczniom pierwszego września, była gotowa niemal na wszystko. Kadra nauczycielska również była przygotowana na dziesięć miesięcy zmagania się z młodzieżą. Mimo to ojciec czuł, że musi mieć kontrolę nad wszystkim, nawet przemówienie z okazji rozpoczęcia roku szkolnego musiało być idealne.

Tym razem było ono wyzwaniem. Wakacje przyniosły tragedię, ten rok szkolny nie będzie taki jak poprzednie, nikt z nas taki nie będzie. Zrezygnowano z wystąpień artystycznych i rytualnego powitania pierwszoklasistów, całość miała skupić się wokół uczczenia pamięci Emilki. Zamiast dwugodzinnej uroczystości czekała nas kilkudziesięciminutowa przemowa taty. On, pomimo setek wystąpień, nie potrafił ułożyć choćby kilku zdań, które oddałoby całość nastrojów i emocji panujących we wsi. Spędził cały weekend nad kartką, pisał przez cały poranek, po czym kartka trafiła do kosza, a jego twarz tonęła w dłoniach. Chował się przed całym światem. Dorosły mężczyzna który mnie wychował, uczył, co jest dobre, a co złe, nie potrafił napisać przemówienia dla dzieci. Nie potrafił w kilku zdaniach wyrazić, czym jest życie i co niesie ze sobą, a nie zawsze oznacza unikanie zła. Bo sami je tworzymy.

Przez kilka dni bałem się początku szkoły, rozmów z kolegami z klasy, spojrzeń nauczyciel, którzy ze względu na tatę będą milczeć, choć po kątach szeptom nie będzie końca. Jedyne, czego się nie bałem, to prawda. Chciałem stanąć na miejscu taty, bez kartki w dłoniach, i powiedzieć, że Emilka zniknęła z mojego powodu. Że mam jej krew na rękach, ale zamiast tego siedziałem w pierwszym rzędzie i słuchałem, jak tata mówi o nadziei. Na początku wyłapywałem każde słowo, traktowałem je niczym kazanie, które zawsze było świętością, by po czasie odpłynąć. Dookoła znajdowały się puste twarze moich rówieśników niewyrażające niczego poza zagubieniem; nauczyciele znudzeni wystąpieniem, czekający, aż odbębnią spotkanie z uczniami; ich rodzice, którzy zastanawiali się, co by było, gdyby ten los spotkał ich dziecko. Człowiek jest skomplikowanym stworzeniem, poza spełnieniem zwykłych potrzeb szuka rzeczy, których nie widać gołym okiem. Ich źródło zawsze ma początek

w drugim człowieku. Tym razem każdy z nas był rzeką z wyschniętym korytem, gdzie źródło znikło pośród drzew, obumarłych liści i milczących kamieni.

Tata na koniec wystąpienia zaproponował minutę ciszy, po sali przeszedł szum, krzesła wydały irytujący pomruk, a z tyłu zabrzmiało kilka chrząknięć. Chwilę później szkoła zapomniała o Emilce, łzach jej matki i ciszy, która nastąpiła pośród drzew.

Po raz pierwszy poczułem się zagubiony, rok w rok błyszczałem w sprawach organizacyjnych, byłem przewodniczącym klasy – odpowiedzialnym i dojrzałym jak na swój wiek. Po tamtym dzieciaku zostało niewiele. Pośród białych koszul, czarnych spodni i spódniczek naiwnie szukałem znajomej twarzy. Krążyłem po korytarzach, gdzie spojrzenia skupiały się na moich plecach; minąłem swoją klasę, kilka osób coś do mnie mówiło. Byłem jednak za daleko, gdzieś, gdzie ona jeszcze była. Brnąłem przed siebie, przez grupki chwalone się wakacyjnymi przygodami i miłosnymi podbojami, które w większości były wyssane z palca.

– A ty gdzie się wybierasz, mój drogi?

Podniosłem głowę.

Moja wychowawczyni zastawiła mi drogę. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, dla dorosłego był szyderstwem w czystej postaci, dla dziecka stanowił element przywitania.

– Ja...

– Jeśli taty szukałeś, to jest z pierwszakami, oprowadza ich po szkole. A ty chodź, musimy z klasą zacząć rok szkolny, prawda?

Chwyciła mnie za rękę, poczułem się jak napiętnowany ze swoim prywatnym marszem wstydu jak w *Grze o Tron*. Byliśmy ostatnimi, którzy weszli do sali. Z racji naszego wieku rodzice nie byli potrzebni, formułka z przywitaniami nawet nie nawiązywała do Emilki. Jak gdyby nigdy nie należała do naszej klasy. Puste miejsce obok Klaudii w czwartej ławce przy oknie mówiło co innego. To tam skupiłem swój wzrok, przypominałem sobie, jak odwracała się, a światło rozjaśniało jej policzki. Dziś pustka uwierała, była częścią moich decyzji i czynów, słów i emocji. Więc zbieram to, co zasiałem.

Po podaniu tytułów i autorów podręczników oraz planu lekcji na najbliższy tydzień wreszcie byliśmy wolni. Pani nauczycielka wybyła jako pierwsza, kilka ziewnięć świadczyło o konieczności rychłego spożycia dawki kofeiny w postaci czarnego płynu. Po niej stado rozwrzeszczanych dzieciaków niemal dopuściło do trzęsienia ziemi. Rozejrzałem się po pustej sali, odmalowane ściany, nasze obrazki, a gdzieś pośród nich ten należący do niej. Nie byłem w stanie odgadnąć, który powstał od jej rąk, ale wiedziałem, że będzie na nim kot. Musiał być kot, ona je uwielbiała. Rysunków

z kotami było kilka, żaden nie zawierał podpisu. Podeszedłem do jej ławki, była czysta, przyklejone gumy zniknęły, wyryte wyznania absolwentów widniały na blacie ławki. Ale śladu jej obecności nie było.

– Co robisz? – Usłyszałem niski głos za plecami.

– Nic.

Przede mną stali chłopcy z klasy – Bartek, Wojtek i Przemek, po chwili zjawiała się Monika i jej najlepsza koleżanka – Dorota. Ta druga nie ukrywała tego, co miała na myśli.

– On widział ją ostatni.

– I co z tego? – odpowiedział Wojtek, marszcząc czoło.

– No wiesz. Może on ją zabił.

– Zabił i zgwałcił – dodał Bartek.

– Ty wiesz, co to ten gwałt?

– Wiem. Brat pokazywał mi na taśmie, jak chłopcy gwałcili dziewczynę – odparł dumnie Bartek.

– Nikogo nie zabiłem i nie zgwałciłem.

– To dlaczego siedziałeś w domu po tym, jak zniknęła? – Dorota nie dawała za wygraną.

– Bo było mi smutno.

– Mówię wam, on jest dziwny. Te komiksy i Emilka. Musiał jej coś zrobić.

– Zamknij się! – wtrącił się Przemek, przecierając załzawione oczy.

– On jej coś zrobił. Tata mi mówił, że nie jest normalny.

Ścisnąłem dłonie, poczułem, jak policzki robią się wilgotne, a czoło rozpalone. Warknąłem coś pod nosem, musiało być to bluźnierstwo, bo grupka stojąca przy drzwiach osłupiała.

– Mówię wam. On jest nienormalny!

Ruszyłem w ich stronę, krzyk dziewczyn zabrzmiał groteskowo, chłopcy rozsunęli się, tworząc mi drogę do ucieczki. Wybiegłem ze szkoły, pędziłem przed siebie, nogi same mnie niosły. Minąłem kapliczkę z Matką Boską Różańcową, pobiegłem w stronę lasu. Pokonałem polanę, która zdążyła zarosnąć trawą na wysokość moich bioder, i most, który ucierpiał przez letnie potopy. Wbiegłem do lasu, korzenie wyciągały swe pazury w moją stronę, wystające kamienie odbijały padające spomiędzy drzew promienie słońca. Coś pchało mnie do przodu, ku niej, ku kamieniowi. Aż coś zatrzymało moją prawą nogę i runąłem. Potem nastąpiła ciemność.

IV



Teraz

Gdy wsiadałem do radiowozu, tata miał łzy w oczach, podobnie jak Agnieszka, która siłowała się z policjantami. Ważniak w garniturze tłumaczył coś Wiktorowi, byli na ty pomimo oficjalnego zatrzymania. Po wszystkim usłyszałem prozaiczne słowa.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Po minie Wiktora nie było jednak tego widać.

Spojrzał na mnie. Miał na twarzy wypisane strach i coś, co znałem aż nadto – winę.

Radiowóz ruszył z wielkim trudem, kierowca zaparkował w miejscu, gdzie śnieg zasłonił dół po ognisku. Zawieszenie na cztery koła zrobiło swoje i po chwili wyruszyliśmy w stronę komisariatu.

Z przodu siedziała dwójka mundurowych, a obok mnie pan Janowski, był zdecydowanie za blisko, gwałcąc moje poczucie intymności. Nie nałożono mi kajdanek, być może przepisy tego nie wymagały, a być może koneksje rodzinne pomogły. Śnieżycą sprawiła, że z trudem można było odróżnić pobocze od drogi, mimo tego kierowca pędził na złamanie karku.

– Masz okazję, by powiedzieć coś więcej. Gdy dojedziemy na miejsce, będzie już oficjalnie.

– Nie mam wam co powiedzieć.

– Na pewno? A to, co znaleźliśmy?

Czułem oddech Janowskiego, woń jego obiadu i mentolowy posmak cienkiego papierosa, którego wypalił, jeszcze zanim wszedł do mojego rodzinnego domu.

– Znalazłem ten dowód osobisty, tyle.

– I nie przyszło ci do głowy, by zgłosić to na policję?

– Nie zdążyłem.

– Czyżby? Oprócz dowodu osobistego znalazłeś – mężczyzna nakreślił w powietrzu znak cudzysłowu, robiąc przy tym dziwną minę – coś jeszcze?

– Po co mam mówić, skoro wiecie swoje?

– Powiedz nam swoją wersję.

– A pan powie, że to bzdura.

– Tak to działa. Większość rzeczy, które słyszymy, są bredniami i mają drugie dno.

– A jakie drugie dno ma moja prawda? – Spojrzałem prosto w jego oczy, chciałem pokazać mu, że nie jestem przypartym do muru szczurem.

– Ty mi powiedz. O telefonie, który zalogował się w Tarnowie i okolicach, też pewnie nic nie wiesz?

– Nie powinienem zadzwonić po adwokata?

– To nie jest film. W praktyce wygląda to trochę inaczej. Poza tym masz adwokata?

– Nie. Ale chyba muszę szybko znaleźć.

– Skoro jesteś niewinny, to po co ci?

– Uważaj! – krzyknął siedzący obok kierowcy.

Zanim odwróciłem głowę w stronę przedniej szyby, wielka, drewniana beczka wtoczyła się na środek drogi.

Nie mieliśmy szans, auto pędziło znacznie za szybko, a oblodzony asfalt dolał oliwy do ognia. Wszystko potoczyło się jak zwolnionym tempie – ostre hamowanie i intuicyjne odbicie w prawo, poślizg, po którym samochód zamienił się w pocisk, i niekontrolowane wypadnięcie z drogi. Nie wiedziałem, ile razy auto kozłowało. Słyszałem trzask pękającego szkła i miażdżonej karoserii, widziałem sufit zamieniający się w podłogę. Po wszystkim do auta wpadło lodowate powietrze. Kierowca z trudem oddychał, jego kolega wydał cichy jęk. Z jego ust wypłynęła krew, dopiero po chwili dostrzegłem, że z jego fotela wystaje gałąź. Było po nim, podobnie jak z Janowskim. Pas bezpieczeństwa owinął się wokół jego szyi. Powieszony nawet nie drgnął, przyłożyłem lewą dłoń, lecz pulsu nie wyczułem. Jako jedyny nie odniosłem poważniejszych ran, ale wiedziałem, że to dopiero początek koszmaru.

Wtedy

Biały sufit był pierwszą rzeczą, którą zapamiętałem po przebudzeniu. Chwilę później dostrzegłem parawan i tablice do badania wzroku. Byłem w gabinecie mamy, chłodna tapicerka przykleiła się do mojej skóry. Podniosłem głowę, ból jednak przybił mnie z powrotem do pozycji leżącej. Pulsujący punkt na czubku głowy odezwał się niczym uczeń wezwany do odpowiedzi.

Niemal jak na zawołanie do gabinetu weszła mama. Byłem odwrócony tyłem od drzwi, ale rozchodzący się dźwięk obcasów uderzających o podłogę mówił wszystko. Zbliżała się do mnie, jakbym był zwierzyną, którą niezręczny ruch mógłby spłoszyć.

– O, nie śpisz już. – Pochyliła się nade mną. Jej włosy muskały moje czoło, a zapach perfum sprawiał, że poczułem się bezpiecznie.

– Mamo...

– Tak, kochanie?

– Jak się tu znalazłem?

– Jakiś mężczyzna znalazł cię w lesie i przyniósł do państwa Nalep.

Stare małżeństwo mieszkało najbliżej tej części lasu. Minąłem ich dom jako ostatni, jedynie stary pies zwrócił na mnie uwagę, szczekając dla zasady.

– Kim był ten mężczyzna?

– Nie wiem. Nie przedstawił się. Powiedział, że znalazł cię leżącego w lesie. Byłeś nieprzytomny.

– Ale skąd on się tam wziął? Jak wyglądał?

– Nie wiem. Czy to ważne? – W głosie mamy usłyszałem nutę irytacji. – Dlaczego znalazłeś się w lesie? Zabroniliśmy ci tam chodzić.

Odwróciłem głowę, nie chciałem kłamać, a prawda była oderwana od logiki dorosłego człowieka. Mama delikatnie gładziła moje skronie, jej ciepła dłoń była zachętą do spowiedzi. Poczulem, że chcę zrzucić ciężar, tylko wiedziałem, że słowa tego nie rozwiążą.

– Ktoś ci coś zrobił? Pokłóciłeś się z kolegami? A może w szkole coś wydarzyło?

– Tak.

– Powiedz, co się stało. Mnie możesz powiedzieć wszystko.

– Ktoś powiedział, że jestem nienormalny i że zrobiłem coś Emilce.

– A kim była ta osoba?

– Tego nie powiem. Nie jestem kapusiem – oznajmiłem z dumą.

– Dobrze. Wiem, że nic jej nie zrobiłeś.

Gdy mama zamilkła, wiedziałem, że szuka w głowie gotowego rozwiązania. Było ono oczywiste z punktu widzenia rodzica, dla którego świat dziecka jest prosty i naiwny.

– Zrobimy tak. Jutro pójdę z tobą do szkoły. Przed pierwszą lekcją powiesz, co się wydarzyło. Wtedy wszyscy zrozumieją, że nie miałeś nic wspólnego z jej zniknięciem.

– To znaczy co mam powiedzieć?

– Że Emilka odeszła, gdy dała ci kota, i na tym skończyła się wasza historia.

– Ale...

– Nie ma „ale”. Nie miałeś nic wspólnego z jej zniknięciem. Rozumiesz?

Nie odpowiedziałem. Mama uznała moje milczenie za zgodę.

– No dobrze. Nie mówiliśmy ci wczoraj, ale mam dla ciebie niespodziankę.

– Jaką? – Moja ciekawość wzięła górę nad smutkiem. Nagle zyskałem siły, które wcześniej zostawiłem w biegu do utraty tchu.

– Ktoś przyjechał się z tobą spotkać.

– Kto?!

– Sam zobacz. Wejdz już.

W drzwiach pojawił się Marek, był ubrany w modne jeansy i T-shirt z nadrukiem Iron Maiden. Uśmiechał się, jakby mój widok był dla niego powodem do radości. Usiadłem.

– Cześć – wydusiłem.

Jedynie to byłem w stanie zrobić.

Marek spędził wakacje w pracy, jedno zajęcie zmieniał na drugie. Podejmował każdą pracę. Od sprzątanina na budowie po pilnowanie parkingu. Był w pełni niezależny od rodziców, co skutkowało rzadką obecnością w Kamieńcu.

Z Markiem nie miałem aż tak dobrej relacji jak z Wiktorem. Co prawda nigdy nie było między nami napięcia czy dystansu spowodowanego różnicą wieku, ale nie było też tej niewidocznej więzi. Jego wizyta była niespodziewana, być może chciał zobaczyć najbliższych, zanim rok akademicki zajmie każdą jego wolną chwilę, a być może potrzebował odpoczynku. Niezależnie od intencji tamto popołudnie spędziliśmy na rynku. Mama miała do nas dołączyć po pracy, tata utknął pośród obowiązków dyrektora szkoły. Pogoda była jeszcze letnia, z nieba lał się żar, a delikatny wiatr umilał czas spędzony na zacienionej ławce.

Lody zawsze poprawiały nastrój, nie inaczej było tym razem. Porcja była duża, z trudem nadażałem z jedzeniem topniejącej gałki o smaku waniliowym. Rozmowa

jednak się nie kleiła, nie wiedziałem, o co mogę pytać chłopaka, który żyje już jak dorosły, choć jeszcze nie dawno musiał się spowiadać z wieczornych wyjść do kolegów.

– Jak ci minęły wakacje?

To pytanie musiało wreszcie paść.

– Słabo.

– Zniknięcie Emilki to nie wszystko. Na pewno coś fajnego cię spotkało.

– Nie bardzo.

– Byłem w domu, myślałem, że zastanę cię w pokoju, zaczytanego w komiksach.

– Nie wróciłem do domu po szkole.

– Wiem, ale nie martw się kolegami. Dzieci nie zawsze są świadome tego, co mówią. Zmierzył mnie wzrokiem, chciał, bym uwierzył w truizm, którego w normalnych warunkach życie nauczyłoby mnie za kilka lat.

– Tak w ogóle... w pokoju czeka na ciebie niespodzianka.

– A jaka?

– Jak ci powiem to już nie będzie niespodzianka. No chyba że bardzo chcesz wiedzieć.

– Chcę!

– Kilka świeżutkich komiksów. Prosto z salonu.

– Dziękuję! Ale nie mów jakie.

– Nie powiem. Mam nadzieję, że ci się spodobają. Poza tym widziałem twoje nowe hobby.

– Jakie hobby?

– No przecież wiesz. Ładną masz kolekcję kamieni.

Ostatnie słowo zapadło głęboko, czułem, jak przez uszy wpada do mojej głowy, by później odnaleźć drogę do mojego serca. Niepokój zamroził moje ciało, stałem się skamieniałą bryłą lęku i winy.

– Fajnie, że masz jakieś pasje. To sprawia, że życie jest ciekawsze.

Nagle Marek zamilkł, jego twarz była skierowana w stronę kobiety spacerującej przez rynek. Była ubrana w sukienkę odsłaniającą znaczą część biustu, wiatr rozwiewał materiał, podkreślając krągłości ud. Kobieta powolnym krokiem zmierzała w naszą stronę, słońce mnie oślepiało, więc jej twarz była zagadką. Głos jednak zdradził to, czego oczy nie mogły.

– Dzień dobry, chłopcy.

Pani Wojtaszek uczyła mnie angielskiego. Była miłą nauczycielką, szczególnie chłopcy lubili lekcję z nią. Dopiero później, gdy hormony dochodziły do głosu,

zrozumiałem dlaczego.

– Dzień dobry pani – odparliśmy niemal równocześnie.

Wzrok Marka był pełen iskier, niemal płonął, gdy zatrzymał się na wysokości biustu.

– Widzę, że nie tylko ja chciałam spędzić jeden z ostatnich dni lata na świeżym powietrzu.

– Może się pani dosiadzie do nas?

– Nie chcę przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pani. Poza tym – brat wyciągnął z portfela dwa banknoty, po czym wręczył mi je, jakbym był jego synem, któremu trzeba zapewnić rozrywkę – Szczepan, może w kiosku znajdziesz coś ciekawego.

Podziękowałam grzecznie, po czym cały w skowronkach ruszyłam do kiosku. Wprawdzie wiedziałam, co mają na stanie, ale liczyłam, że w międzyczasie doszła niezapowiedziana dostawa.

Gdy przeglądałam wiszące w witrynie tytuły, rzuciłam okiem w stronę Marka. Widok ten sprawił, że dorosłość stała się bliższa. Dłoń Marka znajdowała się na udzie pani Wojtaszek, byli wpatrzeni w siebie, a wypowiedane słowa musiały być tylko uzupełnieniem całego obrazka. Dłoń powędrowała wyżej, oboje rozglądnęli się dookoła. Chwilę później moja nauczycielka od angielskiego powiedziała Markowi coś na ucho, po czym odeszła.

Nie wiedziałam, co oznaczały słowa, które padły z jej ust, wiedziałam jednak, że gesty, jakimi się obdarowywali, były dozwolone jedynie dla osób, które łączyło coś więcej niż zwykła znajomość. Wieczorem Marek udał się na spotkanie z kolegami, tak przynajmniej twierdził. Dzień później pani Wojtaszek była w znakomitym nastroju, sprowadzając pierwszą lekcję do śpiewania popowych piosenek ze słówkami, które znaliśmy z poprzedniego roku, a Marek wyglądał jak młody Bóg choć spał niemal do południa.

Teraz

Los różnie rozdaje karty, siedzącemu obok mnie przypadły słabe. Ja otrzymałem talie asów, mój pas bezpieczeństwa uratował mi życie, jemu przyniósł śmierć. Z wypadku wyszedłem niemal bez szwanku, kilka zadrapań i stłuczona noga to za mało jak na masakrę, po której dwie osoby zginęły na miejscu, a trzecia ledwo oddychała. Leżeliśmy do góry nogami, dach z trudem utrzymywał ciężar samochodu, ja mocowałem się z zapięciem pasa, co w tej pozycji było sporym wyzwaniem.

Po pokonaniu pierwszej przeszkody musiałem wydostać się z wraku, jedynie tylna szyba, po której zostało kilka odłamków, nadawało się jako droga ucieczki. Przedtem „pożyczyłem” telefon od Janowskiego. Swoje zostawiłem w domu, sam nie wiedziałem, czy taki miałem obowiązek, czy to moje wieczne wychodzenie przed szereg, wzięło górę. Modliłem się, by komórka nie miała blokady klawiatury, niestety moja nadzieja okazała się płonna. Doczołgałem się do samochodu, głowa policjanta zwisała swobodnie, krople krwi szpeciły biel śniegu. Skorzystałem z serdecznego palca jego prawej dłoni, a ekran się rozświecił. Pęknięcie tworzące pajęczą sieć bruździło Herb Wisły Kraków, szybko przeszedłem do ustawień, wbiłem nowy kod blokady ekranu, by ponownie nie musieć korzystać z obcej dłoni. Wybrałem numer Wiktora, jedyny oprócz numeru Ani i taty, który znałem na pamięć.

Dwa sygnały, trzeci również przeszedł bez echa, po czwartym rozległo się:

- Tak, słucham.
- To ja.
- Szczepan?
- Tak. Posłuchaj, mieliśmy wypadek. Samochód wypadł z drogi. Dwójka z nich nie żyje, trzeci ledwo dycha.
- Co się stało? – Niepokój zmieszany z zagubieniem przenikał głos brata.
- Jakaś beczka nagle pojawiła się na środku drogi. Kierowca stracił panowanie nad samochodem i wylądowaliśmy na drzewach.
- Masz jakieś obrażenia?
- Nie, wyszedłem z tego w całości.
- Gdzie jesteś? Przyjadę!
- Nie wiem, dobre dwadzieścia minut od wsi.

Trzask łamanych gałęzi mnie rozproszył, z zachodu zbliżał się nieznajomy, starał się zakraść od tej strony samochodu, gdzie mrok był największy.

– Ktoś tu jest.

– Co ty mówisz?

– To, że beczka nie pojawiła się przypadkowo, beczki nie turlają się po drodze.

– Chłopcze.

Chłód przemknął po moich ramionach. Ten głos, pomimo lat, nadal miał chropowatą barwę jak u nałogowego palacza.

– Wiktor, wyjedź w stronę Tarnowa. Będę gdzieś przy drodze.

– Ale...

– Nie mów nikomu.

Nacisnąłem ikonę czerwonej słuchawki. Obcy stał kilka kroków ode mnie, wpatrywał się w moje plecy. Chwila nieuwagi i obszedł samochód, stawiając mnie w bezsensownym położeniu.

– Kopę lat, Lapis.

– Długo kazałeś na siebie czekać.

Odwrociłem się, odchylając ramiona, jakbym unikał lecących naboju. Stał tam w poświacie księżyca, jego twarz była zasłonięta, widziałem jedynie dwa punkty będące oczami. Były jak wrota do piekła – ciemne i bezdenne. Na studiach kolega wmawiał mi, że piekło nie istnieje, a jedynie człowiek je kreuje, by mieć alibi. Był w błędzie.

– Czego chcesz?

– Wróciłeś.

– Tak, wróciłem, by się z tobą pożegnać.

– Ze mną? Jestem aż tak ważny dla ciebie?

– Zniszczyłeś moje życie.

– Mylisz się.

– Co się stało z Emilką?

– Sam dobrze wiesz.

– Gdzie jest Wojtaszek?

– To już inna sprawa.

– Co masz na myśli?

Zastygł w bezruchu, jakby stracił grunt pod nogami i asa w rękawie, który okazał się słabym jokerem.

– Powinieneś o to zapytać brata.

– A co Wiktor może o tym wiedzieć?

- Nie mówiłem o nim. Masz przecież dwóch braci.
- Dobra. Teraz cię zabiję.
- Subtelny śmiech rozszedł się po okolicy, potężny mężczyzna lub demon z lasu, niezależnie od tego, kim lub czym był, miał przewagę w postaci mojego strachu.
- Nie możesz mnie zabić.
- Dlaczego?
- Bo jestem częścią twojej duszy.
- Co ty pierdolisz, starcze?!
- Wezwałeś mnie, bym zamienił twoją sympatię w kamień. Podobnie jak twój brat, który chciał uciszyć swoją dawną kochankę.
- Co?!
- To Marek, a nie mąż tej biednej kobiety jest ojcem jej dziecka.
- Pierdolisz!
- Sam się możesz przekonać. Wystarczy, że żywy wyjdiesz z tego bagna. Wystarczy, że zbierzesz swoje kamienie.
- Jakie moje kamienie? O czym ty znowu gadasz?!
- Każdy kamień jest ludzką duszą. Myślisz, że masz tylko jedno życie na koncie? Że nawet żyjący nie mają stryczka nad sobą? Masz w sobie dar, to przywilej, ale i przekleństwo. Słowa mają większą moc, niż myślisz. Przy narodzinach człowiek powinien dostawać instrukcję obsługi do wypowiedania pewnych rzeczy. Każda złość, przejaw gniewu lub zazdrości ma swoje konsekwencje. Nawet dzieci mogą zniszczyć człowieka bardziej niż największe zło na tym świecie. Razem z Markiem dostaliście możliwość decydowania o losie innych.
- Kim ty w ogóle jesteś?!
- Żyłem dawno temu. Miałem żonę i dzieci. Potem odkryłem swój dar, mogłem uzdrawiać ludzi, sprawiać, że ich życie na nowo stawało się piękne. Miałem uznanie i szacunek, pycha zbierała żniwo. Bo gdy stajesz się dla swojego ludu bogiem, to chcesz działać jak Bóg. Kiedyś poproszono mnie o uzdrowienie pewnego chłopca. Nic wielkiego, robiłem to wcześniej wielokrotnie i zanim nastał świt, ozdrowienie stawało się faktem. Ale nie tym razem. Chłopiec zmarł. Po wszystkim zrozumiałem, że nie życzyłem mu powrotu do zdrowia. Wielokrotnie znęcał się nad moim synem i próbował skrzywdzić moją córkę, choć ona była jeszcze dzieckiem.
- I co się stało z twoimi bliskimi?
- Moją żonę spalono na stosie, uznawszy ją za czarownicę, moje dzieci utopiono, a mnie ukamienowano. Paradoks tej historii tkwi w tych kamieniach, którymi mnie

ukamienowano. Każdy z nich był dowodem na uzdrowienie, którego dokonałem. Każdy z nich potem stał się więzieniem dla dusz, które nie zapłaciły dobrem za dobro.

– Nadal nie rozumiem, co pani Wojtaszek ma z tym wspólnego.

– Chodź ze mną. Poznasz wszystkie odpowiedzi, których szukasz od lat.

– Skąd mam wiedzieć, że nie prowadzisz mnie na zgubę?

– Wiem, że nie tego się boisz, ale prawdy, która będzie zbyt bolesna, by żyć dalej.

Spojrzałem w stronę zbocza, z którego spadł samochód. Połamane drzewa odsłaniały skrawek drogi. Wiktor zjawi się pewnie lada moment, ale mnie tam nie będzie. Nie po to przyjechałem do Kamieńca, by teraz zawrócić.

– Prowadź.

Wtedy

Pierwsze tygodnie szkoły są jak rozgrzewka przed meczem. Uczeń chce, by skończyły się jak najszybciej, by czekać na to, co tak naprawdę się liczy.

Drugi weekend roku szkolnego był szczególny, w domu oprócz Marka pojawił się również Wiktor. Obaj zagościli u nas po raz ostatni przed rozpoczęciem nauki w wielkim mieście. Młodszy z moich braci zaprosił na niedzielny obiad Agnieszkę. Po zachowaniu mamy uznałem, że to nie będzie zwykły obiad. Stół był ozdobiony świeżymi kwiatami, tata kupił importowane wino, a dziadek dzień wcześniej przygotował złowionego suma.

Żeby wyjątkowości nie było mało, Wiktor zabrał mnie na „męską rozmowę”. Opowiedział o swojej relacji z Agnieszką. Dopiero wówczas zrozumiałem, że jedna z sióstr jednak trafi do naszej rodziny. Naiwnie cieszyłem się ze szczęścia brata, z tego, jak się zmienił i promieniał radością. Było to widoczne w każdym geście i spojrzeniu. Był jakby omotany euforią, niemal unosił się w powietrzu, w przeciwieństwie do Marka. On sprawiał wrażenie nieobecnego. Często zerkał za okno, jakby oczekiwał na przybycie kogoś jeszcze.

Zanim na stole zagościł deser, jego już nie było. Tata prosił mnie, bym znalazł brata, przeszukałem całe piętro, garaż i wszelkie zabudowania, które dziadek dawniej uważał za swoją świątynię. Po Marku nie było śladu. Coś jednak było inne niż dotychczas, przy wjeździe do lasu stał zaparkowany samochód. Znałem go ze szkoły, na parkingu widywałem go codziennie, na pewno należał do jednego z nauczycieli. Biały polonez z obitym tylnym zderzakiem – świadkiem niejednego kiepskiego parkowania. W środku siedziały dwie osoby, nawet z daleka dostrzegłem gorączkową gestykulację. Pochylony niczym szpieg z Krainy Deszczowców zbliżałem się do samochodu, wysokie trawy osłaniały mnie przed możliwym przyłapaniem na gorącym uczynku. Byłem coraz bliżej, głosy stawały się na tyle słyszalne, że mogłem odgadnąć niektóre słowa. Jeden głosów był męski, stanowczy i nie wyrażał sprzeciwu, drugi zaś bardziej delikatny, kojarzył mi się ze szkolnej ławki. Po chwil rozpoznałem rozmówców, Marek i pani Wojtaszek kłócili się, lecz treść była zagadką. Krzyki narastały z wraz z moim oddechem, niemal czułem, jak nadają rytm popłochowi rozpalającemu moje ciało.

Pani Wojtaszek wybuchła płaczem niczym wulkan płonący od setek lat, by na chwilę dać upust swej naturze. Cisza, która zapadła w samochodzie, była jeszcze bardziej

niepokojąca od nieokiełznanej kakofonii. Mijały kolejne sekundy, a z auta słyszałem jedynie lament. Nawet przez zamknięte szyby przebijał się do moich uszu.

Czekałem na kolejny ruch, choć szach-mat już padł.

– Nawet nie próbuj – powiedział po chwili Marek, gdy opuszczał samochód.

Delikatnie zamknął drzwi, które i tak wydały zgrzyt rodem z horrorów. Ruszył w stronę lasu, nawet nie oglądnał się, gdy auto odjechało. Odczekałem chwilę, by nie dać się złapać na gorącym uczynku. Przez trawy wróciłem na podwórko, gdzie wreszcie mogłem przestać się chować.

Wbiegłem do domu, nikt nie zauważył moich rumieńców i spoconego czoła, zupełnie jakbym był niewidoczny. Domownicy wpatrywali się w Agnieszkę niczym w ósmy cud świata. Nawet Wiktor nie był tak wpatrzony w wybrankę jak pozostali. Być może ta historia potoczyłaby się inaczej, a kilka lat później to ja z drugą z sióstr siedziałbym na tym miejscu. Zamiast tego w pudełku pod łóżkiem znajdowała się sterta kamieni.

Teraz

Szedłem niczym baranek na rzeź, nie pytałem, gdzie i co mnie spotka. Liczyłem tylko na jedno – zakończenie koszmaru niezależnie od ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić. Lapis nie oglądał się za siebie, wiedział, że nigdzie nie ucieknę i że to on ma wszystko pod kontrolą. Szliśmy przez ośnieżone pola, co chwilę zapadałem się w świeży śnieg. W przeciwieństwie do mojego towarzysza, który sprawiał wrażenie unoszącego się nad ziemią. Nie miał latarki, mimo wszystko była od niego pewna aura, która wyznaczała nam kierunek. Weszliśmy do lasu, wachlarz drzew osłaniał nas przed wiatrem, na ziemi wały się puste butelki, które kamuflowała niewielka warstwa śniegu.

– Często tu przychodziłeś za młodu.

– Bo byłem głupim dzieciakiem.

– Nie byłeś głupi, nawet jako dziecko widziałeś i rozumiałeś znacznie więcej niż dorośli. Dlatego do tego doszło. Dar to także odpowiedzialność; gdy można dokonywać wielkich rzeczy, to nie znaczy, że będą one jedynie dobrem. Czasem zło przychodzi znacznie łatwiej, wiesz dlaczego?

– Oświeć mnie.

– Nie muszę, wiesz o tym. Ale powiem to. Bo zło nic nas nie kosztuje. A na dobro trzeba się czasem wysilić. Poświęcić i oddać część siebie. Nie każdy jest na to gotów, a w dodatku większość tego nie chce.

– Jesteś też filozofem? – starałem się go sprowokować, wejść na grunt, na którym nie tylko ja nie będę się czuł pewnie.

– Nie ma filozofów. Są jedynie mądrości uświadomione i ukryte. Niestety większość mądrości poznamy dopiero po śmierci, kiedy będzie już za późno.

– Jak to jest?

– Umrzeć? Naprawdę już chcesz wiedzieć?

– Po to mnie prowadzisz, bym nie wyszedł z tego cały.

– Poszedłbyś ze mną, nawet gdybyś wiedział, że nie wrócisz żywy?

Nie odpowiedziałem. Pozwoliłem ciszy zrobić swoje.

– Nie zabiję cię. Nie jestem mordercą.

– W takim razie kim?

Poczułem, że zbliżam się do celu, trafiając na właściwe tory.

– Kimś, kto sam ucierpiał. Za chwilę wszystko będzie jasne. Jesteśmy prawie na miejscu. – Zerknął przez ramię, jakby chciał zobaczyć moją twarz, która powie to, co usta chciały ukryć.

W lesie była zaskakująco dobra widoczność, jakby ktoś rzucał z nieba subtelne światło, biel śniegu dodatkowo potęgowała ukryty blask.

Mijaliśmy kolejne drzewa, porzucone paleniska, po których zostały jedynie sterty ułożonych gałęzi. I wreszcie Kamieniec – pomimo opadów śniegu był odsłonięty, jakby czekał na adorację. Dopiero wówczas dostrzegłem jego wyjątkowość, przez dziesiątki lat stał się ołtarzem lęków i pragnień. Przyjmował to wszystko, co nosiło ze sobą ludzkie serce, był spowiednikiem i kapłanem pogańskich pragnień. Był moim antychrystem, którego chciałem pochować głęboko pod ziemią.

– Idziesz?

– Tak – odparłem zniechęcony.

– Lubisz na niego patrzeć.

– Nie. Przeciwnie, wolałbym, żeby zniknął z powierzchni ziemi.

– To miło.

– Kiedyś myślałem, że to ty jesteś tym mężczyzną z legendy.

– Być może masz... rację. – Ostatnie słowo wypowiedział z opóźnieniem, jakby chciał, żeby niedopowiedzenie było obecne do samego końca.

– Legenda mówi o zakochanym młodzieńcu...

– Nie wierz bajkom. To tylko pewien zarys, który może zawierać prawdę.

– Wiem, że legendy to nieudokumentowane wersje historii.

– W rzeczywistości było trochę inaczej. No, może kiedyś się o tym dowiesz.

– Kiedy?

– Jesteśmy już na miejscu.

Zdziwiłem się, gdy nie dostrzegłem żadnego zabudowania, miejsca, gdzie można by schować człowieka i skrywać się przez dziesiątki lat.

– To tutaj. – Starzec pokazał na stertę kamieni, które pokrywał śnieg.

– Jaja sobie robisz?!

– Nie. Odrzuć kamienie na bok, to się przekonasz.

Nie spuszczałem z niego oka, gdy kolejne kamienie lądowały na poboczu, większość była lekka, lecz zimna, co sprawiło, że przestałem czuć swoje palce. Miałem wrażenie, że w miejsce jednego kamienia pojawiają się trzy kolejne, a sterta zamiast się zmniejszać, rosła, kpiąc ze mnie. Kolejne kamienie lądowały za mną, aż wreszcie dostrzegłem koniec. Dłońmi natrafiłem na drewniane wieczko. Przyspieszyłem

odrzuć kamieni, palce odzyskały sprawność, a moimi ruchami kierowała ciekawość.

Kwadratowa pokrywa puściła bez najmniejszego oporu. Z ciemnej dziury wydobyły się drobinki kurzu pędzące do świeżego powietrza niczym ćmy do światła. Ciemność, którą zastałem, nie miała końca.

– To?

– To dawna skrytka z pierwszej wojny światowej. Potem odkrył ją twój brat.

– Marek?

– Tak. Służyła jako miejsce spotkań erotycznych. Dziś służy jako wyrzut sumienia. I, podobnie jak grzech, jego owoc ciąży na sumieniu Marka.

– Idź pierwszy. – Skinieniem głowy zachęciłem starca do wejścia.

– Jak sobie życzysz, młodzieńcze.

Schodził do głębi ciemności bez jakiegokolwiek chwili zawahania. Obserwowałem, jak jego ciało pochłania mrok; wraz z każdym centymetrem ginał, by całkowicie zniknąć w ciemności.

– Lapis?

Nie odpowiedział, otaczała mnie głucha cisza, nawet wiatr zamilkł.

Nagle dziurę rozpromienił błysk, wiązka światła była subtelna, lecz na tyle silna, by wyłowić kontury ludzkich sylwetek. Dostrzegłem poręcz drabiny, drewniana rękojeść była pełna drzazg, nawet z zachowaniem ostrożności czułem, jak w dłoń wbijają się drobne igły. Schodząc, byłem odwrócony plecami do Lapisa; dopiero gdy poczułem ziemię pod stopą, zrobiłem się spokojniejszy. Odwróciłem się, a moje ciało było przygotowane do obrony. Napięte mięśnie, wyczulone zmysły, wiedziałem, że to ten moment, by być gotowym do walki.

Światło rozświetlało jedynie najbliższą okolicę, wiązka światła miała około metra średnicy, resztę pokrywał mrok. Żółty blask odsłonił twarz Lapisa, była pełna bruzd, zielonych plam przypominających mech, a jego oczy były czarną plamą. Ruchem głowy wskazał na prawo, po czym skierował płonąca lampę oliwną w stronę siedzącej na podłodze kobiety.

Pani Wojtaszek miała zasłonięte oczy i zaklejone usta, ręce za plecami prawdopodobnie związane, włosy przyklejone do czoła. Była brudna od ziemi, a stare koce leżały na jej podkulonych kolanach. Sprawiała wrażenie śpiącej, jakby całe zło, które ją spotkało, porzuciła na rzecz błogiego snu.

– Pani Elu! – Ruszyłem do niej. – Halo, słyszy mnie pani? – Potrząsałem nią delikatnie, była wiotka, jej głowa odchyliła się, jakby kobieta kompletnie nie reagowała na mój głos.

– Co jej zrobiłeś?

Spojrzałem w stronę Lapisa, starzec miał zimne spojrzenie, jego twarz była posępna, nie wyrażała niczego poza pewnością siebie.

– Nic jej nie zrobiłem. To dzieło Marka. To jego kamień.

– Mów jaśniej!

Jego usta się otworzyły, lecz zastygły w niezrozumiałym szepcie, szmer na zewnątrz zwrócił naszą uwagę. Spojrzeliśmy po sobie, oskarżając się nawzajem.

– Kto do nas dołączy?

Wykorzystałem moment jego zawahania, by zadać oczywiste pytanie. Starzec uśmiechnął się, tym razem jego twarz miała w sobie coś z demona, była pełna wyrachowania i zadowolenia. Rybka złapała haczyk, teraz wystarczyło złowić.

Lampa się wyłączyła, delikatny podmuch musnął moje policzki. Ciemność zalała wszystko dookoła. Wyciągałem ręce przed siebie. Liczyłem na wymacanie czegokolwiek, co byłoby potencjalnym kołem ratunkowym, nawet jeśli miało to być ramię Lapisa. W miejscu, gdzie stał zastałem pustkę, krok dalej nadal przecinałem powietrze, nie natrafiając na choćby fragment jakiegoś istnienia. Dwa kroki i uderzyłem w ścianę ziemi usztywnioną przez kilka kawałków drewna. Lapis rozpląnął się w mroku, ale ten na zewnątrz się z niego wyłonił.

Wtedy

Mama była okazem zdrowia. Jako dziecko myślałem, że lekarze po prostu nie chorują. Dlatego niektórzy decydują się na ten zawód, by zawsze mieć zdrowie i siły oraz by dożyć wieku, którego inni będą im zazdrościć. We wsi pełno było osób, które zmagają się z różnymi schorzeniami. Kulejące staruszki z garbem wielkości bańki na mleko, mężczyźni bez palców, co było efektem pracy w tartaku, a nawet dzieci, które rozpoczynały rok szkolny z pamiątkami po wakacjach spędzonych na pracy rolnej. Moja mama jako jedyna nigdy nie miała problemów ze zdrowiem, nie pamiętałem, by była chociażby przeziębiona. Tej jesieni to się zmieniło.

Gdy wróciłem ze szkoły, w domu był już tata. Zdziwiłem się, bo przecież rok szkolny dopiero się rozpoczął, a ojciec ciągle pracował nad planem nauczania i innymi obowiązkami gospodarza szkoły. Gdy wszedłem do salonu, dostrzegałem, że nie tylko on wcześniej wrócił z pracy. Mama leżała, nie reagując na to, co się dzieje dookoła. Tata minął mnie, jakbym był psem, który płącze się pod nogami. Rozmawiał przez telefon, a jego twarz była napięta. Jego rola podczas rozmowy ograniczała się jedynie do potwierdzania.

– Tak, mhm, dobrze.

I tak przez kilka minut. Gdy odłożył słuchawkę, uklęknął przy głowie mamy. Mówił coś cicho, gładząc przy tym jej skronie, jego dłoń drżała. W pewnym momencie odwrócił się w moją stronę. Uśmiech na jego twarzy był sztuczny, przerysowany i zbyt empatyczny nawet jak na tatę.

Podszedł do mnie i objął mnie czule, myślałem, że obaj podejdziemy do mamy, lecz ojciec pociągnął mnie w przeciwną stronę. Zaprowadził mnie do kuchni, gdzie na stole leżała sterta dokumentów, przypominały papiery, które widywałem w przychodni lekarskiej. Tata schylił się, by jego oczy były na mojej wysokości. Widziałem, jak z trudem przełyka ślinę, a jego jabłko Adama staje się dygoczące.

– Szczepan, jesteś już dużym facetem. Wiesz? – Spojrzał na mnie przeszywająco.

Czułem, że jest to pytanie retoryczne, a odpowiedź jest daleka od prawdy.

– Wiem, tato, sami mi to mówicie.

– Tak, ale teraz będziesz musiał zachować się jak dorosły facet.

– A co się stało?

Potrzebował chwili na odpowiedź, przypominał jednego z wielu uczestników teleturniejów, którzy przy pytaniu gwarantującym wielką fortunę budują strategię umożliwiającą im odnalezienie właściwej odpowiedzi. Takiej właśnie poszukiwał tata, zgodnej z prawdą, ale nie brutalnie depreczającej rzeczywistość.

– Mama jest chora. Od paru tygodni kiepsko się czuje. Klika dni temu przyszły wyniki badań. Niestety... nie są dobre.

– Co to znaczy? Że mama umrze?

– Oznacza to, że trafi do szpitala. Musi przejść operację, a potem leczenie. Niestety będzie musiała zostać na kilka tygodni w Krakowie. Ale obiecuję ci, że będziemy ją odwiedzać, jak tylko będzie to możliwe.

– Na co mama jest chora?

– Wiesz, co to jest rak?

– Tak, wiem. To poważna choroba. Większość ludzi na to umiera.

– Ale nie wszyscy. Poza tym mama ma duże szanse na wyzdrowienie, rak został wcześnie wykryty, szybko zostanie poddana leczeniu.

– Mówiłeś, że wyniki są kiepskie.

– Bo nie są takie jak u zdrowej osoby. Ale nie są też przerażające. Teraz musisz pójść do mamy, powiedzieć, jak bardzo ją kochasz i że dasz sobie radę, gdy jej nie będzie.

– Kiedy mama wyjeżdża?

– Jutro.

Tata spojrzał w dół. Być może w jego oczach pojawiły się łzy, a być może i jego ta sytuacja przerosła na tyle, by nie był w stanie patrzeć dziecku w oczy. Niezależnie od przyczyn, wówczas zrozumiałem, że słabość to nie powód do wstydu. Każdy ma jakieś ograniczenia, paradoksalnie to one sprawiają, że człowiek jest silniejszy, uświadomiwszy sobie ich istnienie.

Nazajutrz mama pojechała do Krakowa wspólnie z tatą i pewnym panem, od którego brzydko pachniało. Palił papierosa za papierosem i miał olbrzymi brzuch, przez co z trudem się poruszał. Przytuliłem mamę, krępowalem się rozplakać przed obcym, ale też nie chciałem pokazać się jako słaby chłopiec. To mama potrzebowała wsparcia, nie ja. Rozplakałem się dopiero, gdy samochód znikł zza zakrętem. Kurz opadł, a wraz z nim poleciał potok łez.

Schowałem się w budzie po psie, pozwoliłem sobie na kilka minut rozpacz. Wylanie wszystkich niepokojów i trudów po to, by wyjść z maską niewzruszonego dziecka, które nie jest świadome tego, co dzieje się w świecie dorosłych.

Tamtego dnia poszedłem do szkoły pomimo cichego przyzwolenia ze strony babci na pozostanie w domu. Wiedziałem, że mama nie chciałaby, aby moje życie się zmieniło,

wiedziałem, że wolne od szkoły sprawiłoby jej przykrość, a tej już miała aż nadto.

Tata nie wrócił wieczorem, dzień później również się nie pojawił. Zadzwoił tylko do babci i przeprosił za swoją nieobecność. Podobno wziął kilka dni wolnego, by załatwić prywatne sprawy w Krakowie. Taka była wersja dla grona nauczycieli, nikt w domu nie chciał spojrzeć przepełnionych współczuciem i szeptów rozbrzmiewających wszędzie, gdzie byśmy się pojawili.

Dni miały, a tata nadal przebywał przy mamie. Czuję, że dziadkowie nie mówią mi wszystkiego, a dramat rozgrywa się jedynie beze mnie. Że wszyscy wiedzą więcej ode mnie, a prawda jest brzydsza od mojego wyobrażenia. Gniew wyładowywałem po lekcjach, gdy za domem rzucałem kamieniami daleko przed siebie. Tymi samymi kamieniami, które potem znalazły się w mojej kolekcji.

Teraz

Nad moją głową rozbłysła biała wiązka światła. Śnieg z góry okraślił moją głowę kilkoma płatkami, zamarłem niczym jeleń na środku drogi. Nieznajomy skierował latarkę wprost na mnie, milczał, jakby i jego sytuacja przerosła. Spodziewałem się ataku, na który nie byłem przygotowany, byłem w pułapce, kompletnie bezbronny, mogłem liczyć jedynie na łaskę przeciwnika, czyli było po mnie.

– Szczepan?

Znajomy głos niemal przyprawił mnie o zawał. Z krainy lęku trafiłem do zupełnie obcego miejsca, gdzie mój brat był kimś, kto odpowie na dziesiątki pytań. Zmniejszył moc latarki, a jego twarz pojawiła się niczym duch.

– Dlaczego?

– Nie zrozumiesz.

Na te słowa zareagowałem gniewem. Poczulem się jak dziecko, któremu dorosły nigdy nie powie prawdy, ponieważ sam się jej boi.

– Mów dlaczego!

– Wyjdź, Szczepan.

– Nie wyjdę sam. Wypuścisz ją, zawieszysz do domu, a wcześniej opowiesz mi całą historię.

– Nie ma czego opowiadać.

– Nie pierdol! Co ona tu robi?!

Schował latarkę do kieszeni, schodził, nie patrząc w dół, dobrze znał drabinę, każdy szczebel i miejsca, gdzie drzazg było na potęgę. Odłożył latarkę na półkę, słup światła padał na porwaną kobietę, jej głowa opadła, jakby stanowiła odrębną część ciała.

– Więc?!

– Ona chciała zniszczyć naszą rodzinę.

– Rodzinę czy ciebie?

– Gdyby byłeś jeszcze dzieckiem, to...

– Mów!

– Mieliśmy romans. W zasadzie to nasz układ trwał przez lata. Seks bez zobowiązań. Ale gdy rozpocząłem studia, Ela zaszła w ciążę. To było moje dziecko. Nie chciałem uznać dziecka. Wiesz, wkraczałem w dorosłe życie, studia, duże miasto, wolność i te

sprawy. Nie chciałem wiązać się z kobietą na całe życie, tym bardziej gdy mogłem mieć co noc inną.

– Wolałeś zostawić kobietę z dzieckiem.

– Sam byłem dzieckiem! W ciele dojrzałego mężczyzny. Wiem, było to egoistyczne. Ale ona wyjechała, ja ułożyłem sobie życie. Kilka lat później wróciła, byłem już żonaty.

– I wróciliście do starego układu.

– Tak... Na początku nie chciałem, ale zawsze działała na mnie jak viagra. Kilka tygodni temu chciała wyjawić prawdę, twierdziła, że to z powodu rodzinnej choroby i że to i tak wyjdzie na jaw. Ale myślę, że to tylko wymówka, którą chciała przedstawić światu.

– Mów dalej.

– Nie mogłem sobie pozwolić, by to wyszło na jaw.

Przede mną stał obcy człowiek, przez lata był moim bratem, ale nagle przestałem go poznawać. Był zupełnie obcym człowiekiem, którego nie chciałem poznać.

– Niby dlaczego? Jesteś wdowcem, nie masz powodów, by ukrywać nieślubne dziecko, w przeciwieństwie do niej.

– Na Boga, założyłem swoją firmę, dopiero co ruszył ważny przetarg. Wiesz, że w tej branży konkurencja się nie patyczkuje. Każdą słabość można wykorzystać, tym bardziej taką, która wychodzi po latach. Moja wiarygodność poszłaby do piachu. Wiem, że może nie jest to poważne wykroczenie, ale to pieniądze podatników, a oni zawsze uważali się za świętych.

– I to dlatego? Chciałeś wygrać przetarg, więc ją porwałeś?

Zamiast odpowiedzieć, podszedł do pani Wojtaszek, usiadł obok niej, nieśmiało omiół ją wzrokiem, jakby chciał zobaczyć swoje dzieło.

– Nie chciałem jej zabić. Chciałem jedynie skłonić do zachowania milczenia. Ale wszystko potoczyło się zupełnie nie tak. Wybuchła kłótnia, poniosło mnie. Potem wyszło, jak wyszło. A teraz nie wiem, co dalej zrobić. Nie można już tego odkręcić.

– Można, na pewno przekonamy ją do...

– Do czego? Do tego, że to była zwykła pomyłka?

– Nie, namówimy ją, by się z nami dogadała. Wymyślimy wspólną wersję. Wyszła na spacer, potem zasłabła i jakimś dziwnym trafem została odnaleziona w starej partyzanckiej norze.

– Przestań.

Odchylił głowę, kierując wzrok ku górze. Jakby niebiosa miały przynieść gotowe rozwiązanie.

– A Lapis?

Na dźwięk wypowiedzianego imienia podniósł głowę, przez jego twarz przemknęła złość, zwężone źrenice wyglądały jak u drapieżnika gotowego do ataku.

– Skąd znasz to imię?

– Nieważne.

– Odpowiedz.

– Nie!

– Kurwa! Zrobimy tak. Wyjdziemy z tej kurewskiej dziury i pogadamy jutro. Z dala od domu i tego lasu.

– Zapomnij. Musimy wyjaśnić sytuację tu i teraz.

Podniósł się z ziemi, cały czas patrząc mi w oczy. Lustrował mnie, starając się wejść do mojej głowy jak wtedy, gdy byłem dzieckiem, w którym można było czytać jak w otwartej księdze.

– To nie wszystko.

– Co masz na myśli?

– To ona miała wpływ na jej śmierć.

– Czyją śmierć? Emilki?

– Nie. Wiesz dobrze kogo.

Wtedy

Lubiłem wycieczki do Krakowa, wówczas miasto wydawało się magiczne, kolorowe i pełne ukrytej treści. Ten klimat uliczek, rynku tętniącego życiem, wielu teatrów i ulicznych artystów. W Krakowie czułem, jak moja fantazja znajduje ujście, jak wreszcie odnajduje to, czego szukała od zawsze.

Choroba mamy zmieniła wszystko, nagle magiczne miasto stało się wyłącznie betonowym mauzoleum, jednym z wielu, gdzie ludzie pędzą, a jedyne, co nie przemija, to budynki i ludzkie błędy.

Moja pierwsza wizyta na oddziale onkologicznym przypominała naukę jazdy na rowerze. Z trudem utrzymywałem równowagę, idąc przez pusty korytarz. Na oddziale nie było czym oddychać, wszystkie okna były zamknięte pomimo niezwykle ciepłego dnia. Tata tłumaczył mi, że to wyjątkowe miejsce, gdzie trzeba być bardzo ostrożnym.

Włożyliśmy dziwne kombinezony, worki na buty i rękawiczki oraz maski, przez które trudno się oddychało. W mijanych salach leżeli pacjenci, którzy już stracili włosy bądź byli w trakcie ich utraty. Przed nimi siedzieli najbliżsi, grali twardych, lecz łzy mówiły o słabości, którą chcieli ukryć. Mama leżała w ostatniej sali, miała tylko jedną sublokatorkę, która podobno ciągle spała, a w dodatku przypominała uschnięte warzywo.

Gdy weszliśmy do sali, mama nawet nie zareagowała, miała mętny wzrok i patrzyła przed siebie, gdzie pewnie szukała ukojenia. Skóra na jej twarzy przypominała papier ścierny, po włosach nie został nawet kosmyk. Jej usta były popękane, jakby od wieków nie miały do czynienia z wodą, z trudem wypowiedziała powitanie, kiedy pojawiłem się przed nią.

– Cześć, mamuś.

To było wszystko, na co było mnie stać. Nie płakałem, moje ciało nie reagowało na smutek, wszelkie emocje zostawiłem w głowie.

– Cześć, kochanie – wypowiedziała z najwyższym trudem. Sprawiała wrażenie nieobecnej, jakby coś omotało ostatnie fragmenty zdrowej części.

– Dostała chemię, może nie za bardzo kontaktować. Proszę jej nie męczyć za długo – powiedziała pielęgniarka, która pojawiła się znienacka.

– Kochanie, zostań przy mamie.

– Gdzie idziesz?

– Porozmawiam z pielęgniarką, dobrze?

Dotknąłem dłoni mamy, była koścista, jakby kości otaczała sama skóra. Zapadłe policzki i oczodoły przyprawiały o strach, z kobiety, która mnie wychowała, pozostało niewiele. Życie opuszczało jej ciało niczym tonący okręt. Spędziłem godziny w kościele, modląc się o jej zdrowie, o każdy dzień dłużej. Oczywiście patrzyłem na wszystko ze strony własnego koryta, nie rozumiałem, jak wiele cierpienia spotkało mamę. Liczyło się, by żyła jak najdłużej, nawet jeśli każdy oddech był dla niej wyzwaniem.

Patrzyłem w jej oczy, były nieobecne, jakby dusza uleciała gdzieś daleko. Skóra na dłoni była sucha, niemal pękała przy mocniejszym kontakcie.

Życie ludzkie jest jak kartka, niby można przeciąć palec, ale jeszcze łatwiej obrócić w nicość. To właśnie spotykało mamę, była kartką rozmokłą na wodzie – wystarczyło niewielkie szarpnięcie, by pozostały jedynie strzępy.

Za moim plecami tata rozmawiał z pielęgniarką, wypytywał ją o sprawy czysto fizjologiczne i o stan mamy godzina po godzinie. Kobieta musiała nie mieć życia prywatnego, skoro z taką precyzją referowała poszczególne sytuacje, takie jak krwiste wymioty lub znaczna poprawa nastroju poprzedniego dnia. Jedna rzecz sprawiła, że tata został zbity z tropu.

– Ta kobieta była całkiem atrakcyjna. Przedstawiła się jako członek rodziny, najbliższej rodzinny, dodała – podniosła głos na tyle, że druga część wypowiedzi trafiła wprost do sali.

– Wróciła potem?

– Nie. Po tym, jak pana żona zażądała, by ją wyrzucić, już nie wróciła.

– A może ją pani opisać? Blondynka, brunetka, młoda?

– Niestety, była tylko stażystka, my byliśmy u jednego z pacjentów, który miał zapaść. Słyszeliśmy zamieszanie na korytarzu, ale kiedy wyszłam sprawdzić, co się dzieje, to było już po wszystkim.

– Cholera. Czyli nie wiadomo, kto to był. – Tata przetarł czoło.

Sprawa miała wrażenie potwornie zmęczonego, jakby przebył maraton w trybie sprinterskim. Worki pod oczami i rozrzedzone włosy potwierdzały śladowe ilości snu w ostatnich dniach.

Gładząc dłoń mamy, odchyliłem głowę, by lepiej słyszeć. Czułem na plecach spojrzenie taty, ale liczyłem, że jest na tyle pochłonięty rozmową, by nie zwracać na mnie uwagi.

– Jakże to były przekleństwa?

– „Ladaczniczka”, „dziwka” i takie tam. Ale tamta kobieta mówiła, że kopnie w kalendarz, zanim będzie mogła coś „wyskrobać”. Chociaż może coś przekręcam. Wie pan, byliśmy pochłonięte obowiązkami, a przez ściany nie wszystko można usłyszeć.

– Rozumiem. Mimo wszystko dziękuję. Gdyby ta kobieta się zjawiała, proszę od razu dzwonić. Dobrze?

– Oczywiście. A teraz muszę wracać do pacjentów. Przepraszam.

– Proszę i dziękuję bardzo. – Głos taty zabrzmiał łagodnie, niemal błagalnie.

Wrócił do mnie, przybierając maskę twardziela.

Obecność taty ożywiła mamę. Jej oddech stał się głębszy, oczy zaszklily się życiem.

– Witajcie.

– Jak się czujesz, mammo? – wypaliłem bez zastanowienia.

– Dobrze, kochanie. Miło cię widzieć.

– Mam coś dla ciebie. – Z dużej kieszeni torby taty wyciągnąłem zeszyt A4.

– Co to jest?

– Zrobiłem dla ciebie komiks.

– Dziękuję, kochanie, a o czym jest ten komiks?

– O lekarce, która leczy wszystkich, nawet tych, którzy tego nie chcą lub są ciężko chorzy.

– Bardzo się postarałeś. – Mama kartkowała notes, z trudem przewracając kolejne strony. – Musiałeś sporo nad tym pracować.

– Dla ciebie mógłbym każdą chwilę poświęcić.

– To naprawdę miłe z twojej strony.

– Potrzebujesz czegoś? – przemówił łamliwym głosem tata.

Być może wzruszyła go nasza rozmowa, być może uznał ją za pożegnanie i chciał, aby czas stanął w miejscu, nawet jeśli mielibyśmy spędzić tutaj całą wieczność.

– Wody tylko.

– A ty, synek?

– Mogę marsa? – zapytałem nieśmiało.

Wprawdzie nie miałem problemów z nadmiernymi kilogramami, ale nie jedliśmy obiadu, a to oznaczało jedno dla moich rodziców – zero słodczy.

– Jasne, że możesz. Colę też ci kupię. Przypilnuj mamę, a ja zaraz wracam.

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, wystarczyły spojrzenia i dotyk. Czasem to znacznie więcej niż słowa, bo akurat one nie skłamią i zawsze wypływają prosto z serca.

Opowiadałem mamie historię komiksu, wyjaśniłem rzeczy, które były jasne jedynie dla fanów Marvela, a którymi się wówczas inspirowałem.

Z czasem i rozmowa stawała się rzeczą, która nie wymagała wysiłku. Tata nie wracał, zdaniem mamy była to pora wizyt, a więc sklepik szpitalny przeżywał prawdziwe obłędzenie. Ja jednak nie narzekałem, mógłbym spędzić cały dzień przy mamie. Stała się inną osobą niż ta, którą zastaliśmy. Z kartki zdanej na pastwę bezdusznej wody na nowo stała się znaną mi kobietą.

– Kochanie, mam do ciebie prośbę.

– Tak, mamo?

– W tej szafce – wskazała dłonią na stojącą obok szafkę nocną – jest kilka książek. Nie mam siły, by czytać, a termin wypożyczenia upływa w przyszłym tygodniu. Czy mógłbyś je wziąć ze sobą i oddać do naszej biblioteki?

– Jasne. Gdzie konkretnie są?

– Na najniższej półce. Musisz otworzyć te duże drzwiczki.

Otwarcie przyprawiło mnie o dreszcze, gdy metal wydał okropny zgrzyt. W szafce oprócz książek znajdowały się puste butelki wody, chusteczki, termometr, ręcznik, szczoteczka do zębów, różaniec oraz złożony w kostkę szlafrok. Wyciągając książki, zahaczyłem od szlafrok, który runął na podłogę. Wiedziałem, że nie nadaje się już do użytku dla mamy, ze względu na stan musiała unikać wszelki zarazków i brudu. Gdy kucnąłem, by podnieść szlafrok, coś na niego wypadło. Niemal niesłyszalny dźwięk przemknął obok mnie. Dawno go nie słyszałem. Obok moich stóp leżał kamień. Niewielki, przypominający martwego noworodka.

– Coś się stało?

Gdy obejrzałem się za siebie, zauważyłem tatę. Sprawiał wrażenie spokojnego, wiedziałem, że patrzy na mamę, więc poczułem się bezpieczniej.

– Nie, spadł tylko szlafrok mamy.

– Daj, wypierzemy w domu.

– Proszę.

Był nowy, nawet metka jeszcze dyndała.

– Ale to nie mamy. Gdzie go znalazłeś?

– W szafce mamy. Może ktoś pomylił się.

– Nie, chyba wiem, od kogo jest.

Teraz

Patrzyliśmy na siebie jak wytrawni pokerzyści. Żaden z nas nie chciał odpuścić, a plany na wyjście z sytuacji były ze sobą sprzeczne.

Sprawdziłem puls pani Wojtaszek, był wyczuwalny, oddychała przez nos, płytko, lecz spokojnie, jakby śniła o przyjemnych rzeczach. Była brudna, a jej włosy wołały o kąpiel.

– Na serio myślisz, że miała coś wspólnego ze śmiercią mamy? Czy tylko próbujesz przeciągnąć mnie na swoją stronę?

– To jakaś walnięta czarownica. Bawiła się w czarną magię czy jakieś inne gówno.

– Co masz na myśli?

– Jakieś stare lokalne wierzenia. Podobno jakiś człowiek bawił się w leczenie, takie wiesz... cudowne uzdrowienia. Ale coś mu nie wypaliło i źle skończył. Po tym wszystkim niektórzy modlili się do kamieni, które miały ich zdaniem magiczną moc.

Brat zasłonił twarz dłońmi. Sprawiał wrażenie wykończonego i bezradnego. Przypomniał tego samego człowieka, który lata temu stracił żonę – zagubionego i sprowadzonego do parteru.

– Mimo wszystko nie mamy pewności. I zdecydowanie nie upoważnia nas to do zabicia.

– Chcesz ją ot tak wypuścić?

Spojrzałem na niego, potem wzrokiem omiotłem zakneblowaną kobietę, była bezbronna. Zupełnie nie przypominała złowrogiej czarownicy, które spotykałem w dziecięcej literaturze, gdy jeszcze myślałem, że świat jest przyjazny.

– Marek, musimy. To nie może się tak skończyć.

– Ona niszczyła mamę.

– To tylko twoje wyobrażenie. Nie masz na to dowodów.

– Przecież sam wiesz o jej odwiedzinach w szpitalu.

– Ale, jak dobrze wiesz, mama wyzdrowiała i przeżyła kilka lat, zanim odeszła.

– Bo ona jej pozwoliła.

– Co masz na myśli?

Spojrzał w górę, jakby niebiosa skryte pod starymi deskami mogły wskazać upragnione rozwiązanie. Głęboko odetchnął, po czym podszedł do mnie. Usiadł po

drugiej stronie, dzieliła nas uprowadzona kobieta, zupełnie jakbyśmy byli współnikami w zbrodni.

– Obiecałem jej. Obiecałem, że nasz romans nigdy się nie skończy. Nawet gdy byłem z Beatą, spotykaliśmy się na seks. Wszystko skończyło się, gdy uznałem, że to nie ma sensu i że kocham żonę ponad wszystko. Jakimś dziwnym trafem mama zaliczyła remisję kilka tygodni później. Jak wiesz, nie potrwało to długo. Na pogrzebie mamy wręczyła mi kamień, gdy rzekomo składała kondolencje. Tak naprawdę przysłała, by pokazać swój triumf.

– Nawet jeśli to wszystko prawda, nawet jeśli jest pierdoloną czarownicą, to nie możemy. – Przetarłem oczy. Piekły mnie od nadmiaru kurzu i wilgoci. – Bóg ją osądzi. A my musimy zrobić to, co należy. Mama nie chciała, byśmy mieli czyjeś życie na sumieniu.

– Próbujesz wykorzystać mamę, bym odpuścił? Słabe.

– Próbuję ci pokazać, jak bardzo się pogubiłeś. Nie jesteś bez winy w tym wszystkim.

– Wiem. I może masz rację.

Zamilkł na chwilę, jakby odpląnął myślami gdzieś indziej. Znałem to puste spojrzenie, widziałem nieraz, jak miota się sam ze sobą, jakby próbował pokonać swoje demony. To była nasza wspólna cecha, pomimo wielu różnic właśnie to sprawiało, że momentami był mi bliższy niż Wiktor.

– Okej. Wygrałeś. Ale dowiodę, że ta suka niszczy ludzi i naprawdę jest walniętą wariatką. A teraz pomóż mi.

Obaj podnieśliśmy kobietę, wydała cichy pomruk, jakby wracała do świadomości. Podtrzymałem ją, co nie było trudne, była lekka i bezradna. Niczym lalka gotowa trafić w obce dłonie. On wyciągnął z kieszeni scyzoryk, ja przecierałem jej twarz. Brud skrywał siniaka nad prawym oczodołem, w dodatku gdy jej dłonie stały się wolne, zauważyłem połamane paznokcie i zdarty naskórek. Walczyła o wolność, jakby to, co ją spotkało, było zupełną niesprawiedliwością.

Zarzuciliśmy jej ręce na ramiona, była jeszcze bardziej lekka, niż można byłoby przypuszczać. Zesztywniałe kończy utrudniały nam zadanie, buty na wysokim obcasie nie nadawały się do takich rzeczy. Jako pierwszy z nory wyszedł Marek; sapiąc, wyciągnął kobietę. Ja zabrałem latarkę i przykryłem dziurę.

– Okej. Potem wrócimy, by zasłonić tę skrytkę.

– Policja chyba i tak dojdzie do miejsca, gdzie kobieta była przetrzymywana.

– Oby nie. To miejsce ma jakąś dziwną aurę. Lepiej będzie, jak to zasypię, ale nie dziś.

– Co teraz? – wypaliłem.

Choć to ja nalegałem, by zakończyć tę farsę, to jednak brakowało mi ściśle technicznego rozwiązania.

– Pójdę po samochód. Podjadę najbliżej, jak tylko się da. Resztę jakoś pokonamy. Aaaa, jeszcze jedna rzecz. Ciebie tu nie było.

– Co masz na myśli?

– To tylko moja sprawa. Powiem, że tylko ja byłem w to zamieszany.

– Marek...

– Przestań – warknął niczym dziki pies.

Spojrzał mi głęboko w oczy, nawet pośród nocnych ciemności dostrzegłem napięte źrenice i szeroko otwarte powieki.

Nie odpowiedziałem, byłem już zbyt zmęczony mrokiem, który krążył dookoła. Obserwowałem, jak Marek znika w ciemności, gdy po raz pierwszy od lat staliśmy się sobie bliscy. Spojrzałem na nią, odzyskiwała świadomość, jej oczy były mętne, lecz sprawiała wrażenie osoby kontaktowej.

Oszukałem Marka swym milczeniem, nie ucieknę kolejny raz. Nie dam się wyciąć z tej historii. Tego byłem pewien – opowiem swoją historię od początku do końca. Nawet jeśli uznają mnie za wariata.

Trzask łamanych gałęzi dobiegał od strony, gdzie znikł Marek. Nie było żadnego warkotu silnika ani blasku reflektorów. Widocznie odpuścił wjazd do lasu w obawie przed ugrzęźnięciem na niewidocznym pniu. By ułatwić mu widoczność, wyciągałem latarkę, stare baterie odmówiły posłuszeństwa. Dźwięk łamanych gałęzi i skrzypiącego śniegu zanikł. Próbowałem „naprawić” latarkę, uderzając nadgarstkiem o tył rzęcha. Nadal nic.

– Marek?

Nikt nie odpowiedział. Pewnie jakaś zwierzyna zaciekała się naszą obecnością.

Objąłem wzrokiem czubki drzew, delikatnie kołysały się w rytm powiewu wiatru, z gałęzi spadał zalegający śnieg, był puszysty i na tle ciemności wyglądał osobiwie.

Z prawej strony wyczułem ruch, jakby coś przemknęło obok. Intuicyjnie obróciłem się w kierunku, z którego dobiegł niemy szmer. Chwilę później leżałem na ziemi, a ból z tyłu głowy przytłaczał, uniemożliwiając mi próbę ucieczki. Na chwilę przed drugim ciosem dostrzegłem stare gumki cuchnące oborą. Potem oberwałem jak nigdy dotąd.

V



Wtedy

Skłamałbym, gdybym powiedział, że żałobę po Emilce nosiłem przez kolejne miesiące. Poprawa stanu zdrowia mamy i przyjazd braci do domu był świętem. Dom znowu był pełen, a ja czułem się, jakbym dostał najlepszy prezent pod choinkę. Taki, którego nie można kupić, wybłagać lub znaleźć.

Nie mogłem doczekać się końca lekcji, był piątek. Pogoda nie rozpieszczała, ale wiedziałem, że gdy wrócę do domu, zastanę mamę. Miała wrócić wraz z Markiem i Wiktorem, którzy mieli jej towarzyszyć w razie, gdyby poczuła się gorzej. Tata powoli wracał do pełni obowiązków, choć nadal większość czasu spędzał w szkole i w Krakowie, a ja widywałem go rzadziej niż wtedy, gdy szykował szkołę na wizytę kontroli z kuratorium.

Babcia przygotowała aż dwa ciasta, w tym jedno ulubione mamy. Na obiad dziadek przywiózł ryby kupione w mieście. Babcia gotowała od rana, chciała, byśmy potem mogli skupić się na powrocie mamy, a reszta miała być nieistotna.

Biegiem wracałem ze szkoły, przeskakiwałem kolejne kałuże i dziury powstałe po jesiennych przymrozkach. Ostatni fragment drogi ciągnął się w nieskończoność; nawet gdy dom pojawił się na horyzoncie, minęła wieczność, zanim zbliżyłem się do podwórka. Przed domem stał obcy samochód, rejestracja z Krakowa i świeżo wypolerowany lakier. Obszedłem czerwone cacko jak zabytek w muzeum, nowy peugeot 605, pewnie jeszcze pachniał nowością. Dopiero po chwili gapienia się w metalowy wyznacznik prestiżu doszedłem do siebie. Mama! Nie po to tak gnałem, by stać przed obcym samochodem i gapić się na niego jak ostatni idiota.

Wpadłem do domu, z salonu dobiegała wesoła rozmowa. Na wprost siedziała mama, nawet z odległości kilku metrów wyglądała znacznie lepiej niż podczas ostatniej wizyty. Chusta na głowie chowała wstydliwą część leczenia, policzki zyskały kolor, na nowo stały się zaokrąglone, a popękane wcześniej usta ponownie miały przyjemny odcień czerwieni.

Dostrzegła mnie, gdy stałem w bezruchu; jej oczy się zaszklily, uśmiech niemal wypełniał ją całą. Promieniowała, jakby przebyła daleką drogę. Podobno było z nią kiepsko, ale walczyła jak lwica, my również. Spędziłem dziesiątki godzin, modląc się; od klęczenia przed ołtarzem dorobiłem się odcisków i przetarć na spodniach. Nawet ksiądz proboszcz zlitował się nade mną, przynosząc mi klęcznik, który był

zarezerwowany tylko do adoracji. Błagałem Boga o jej życie, bym po powrocie do domu wreszcie usłyszał dobrą wiadomość zamiast oglądać łzy babci i dziadka siedzącego przed domem wypatrującego choćby namiastki nadziei. Bóg okazał łaskę, któregoś dnia wróciłem ze szkoły, po drodze zahaczyłem o kościół. Babcia już na wejściu powiedziała mi, że wyniki mamy znacznie się poprawiły i że wkrótce może wrócić do domu, choćby na kilka dni.

To było zbyt piękne, aby było prawdziwe, ale było. Mama siedziała w salonie, była równie prawdziwa, jak i każda łza, którą wylałem za nią.

– Kochanie, chodź do nas! – zawołała, widząc moje zakłopotanie.

Wpadłem do pokoju, oprócz wszystkich domowników był również dziwny człowiek. Otyły i śmierdzący potem, miał łysą głowę, choć dookoła niej błąkały się kępki włosów. Jego broda wyglądała jak odwrócona góra, dodatkowo brwi były tak gęste, jakby włosy które niegdyś zdobiły jego głowę znalazły swoje nowe miejsce tuż nad oczami.

– Kochanie, przywitaj się ładnie.

– Dzień dobry.

– To mój najmłodszy syn, Szczepan – zwróciła się do nieznanego, który w swojej nieporadności niemal stracił dzbanek z kawą. – Kochanie, to mój kolega ze studiów. Piotr z Krakowa, pomógł mi teraz w leczeniu.

– Dziękuję, że pomógł pan mojej mamie.

– Nie ma za co, młodzieńcze. – Wielgachną łapą potarł moją głowę.

Poczułem, co czują koty głaskane wbrew ich woli. Mimo wszystko nie mogłem się źle zachować, sprawiając mamie przykrość. Odegrałem rolę grzecznego chłopca, który jest potulny do bólu.

Obecność obcego irytowała coraz bardziej. To miało być nasze święto, osoba na dostawkę była niczym wirus w zdrowym organizmie. Chciałem, by znikł, irytowały mnie jego donośny głos i tendencja do ślinienia się, gdy śmiech przerastał jego możliwości kulturalnego zachowania w towarzystwie. Jeśli ktoś się zachowywał jak dziecko, to właśnie ten człowiek.

Zerkał na mnie co chwilę. Nie było to spojrzenie, które świadczyło o zwykłym zainteresowaniu, wówczas nie wiedziałem, co to znaczy, gdy ktoś patrzy wyostrozonym spojrzeniem, wędrując po ciele, kiedy nikt nie widzi.

Mimo wszystko nie chciałem, by ten dzień był zepsuty, by ktoś okradł mnie z chwil, których tak bardzo wyczekiwałem. Wykorzystywałem każdy moment, by nawiązać kontakt wzrokowy z mamą, zamienić choćby kilka zdań, pochwalić się nowymi komiksami. Wiedziałem, że na to wszystko byłby czas przez kolejne dni, ale chciałem

już teraz. Po to walczyłem o nią w modlitwach, po to błagałem Boga o każdy dzień jej życia.

Popołudnie minęło jak z bicia strzelił. Za oknami kłębiła się ciemność, deszcz stukał o szyby, widziałem, jak mama traciła siły wraz z każdą kolejną kroplą. Tata zauważył zmęczenie mamy, w jej imieniu przeprosił wszystkich, w tym obcego. Wraz z moimi braćmi odprowadził ją po schodach na górę. Był to pierwszy raz od dawien dawna, gdy widziałem ich w komplecie – moi rodzice oraz bracia.

– Chłopcze, pokażesz mi, gdzie mogę zapalić? – Mężczyzna patrzył wprost w moje oczy. Jego czoło było zmarszczone, w dodatku stanął tuż przede mną, zasłaniając mi widok mamy.

– Tak, proszę iść za mną.

Wprowadziłem gościa na zewnątrz, z tyłu domu był stary fotel zasłonięty blaszanym dachem. Dla każdego amatora nikotyny był to tron, na którym można było się poczuć Starkiem lub Lanisterem, nie trując innych.

Mężczyzna uśmiechnął się na widok wygodnego kącika do palenia, być może jeszcze bardziej ucieszył go fakt intymności. Nie było żadnego okna, żadnego domu, jedynie las na wyciągnięcie ręki.

– Może zostaniesz i dotrzymasz mi towarzystwa?

– Chyba muszę pomóc babci.

To nie była wymówka. Chciałem odciążyć babcię, która i tak całe przedpołudnie spędziła przy garach.

– Myślę, że dziadek jej pomoże. Zostań, proszę.

– No to dobrze.

Dopiero gdy mężczyzna usiadł, to zauważyłem, jak wielkiej postury był. Fotel zapewniał komfort, mój tata lubił w nim czytać gazetę, kiedy miał akurat na to czas. Mężczyzna z trudem się zmieścił, a gdy się poprawiał, fotel trząsł się, jakby miał się zaraz rozlecieć.

– Chodź tu bliżej. Nie gryzę.

Podszedłem, choć czułem, że to błąd i że tak nie wolno. Mężczyzna uśmiechnął się, gdy zbliżyłem się na odległość niespełna metra.

– Opowiesz mi o sobie?

– A co chce pan wiedzieć?

– Nie wiem. Co lubisz, jak się uczysz i takie tam. – Próbował odpalić papierosa, jego dłonie były na tyle niezdarne, że zapalniczka za wszelką cenę nie chciała się poddać.

– A więc?

– Lubię komiksy, szczególnie te zagraniczne, lubię też zwierzęta. I ciekawe mecze.

- Komu kibicujesz?
- Brat pokazał mi mecz Ajaxu Amsterdam i to chyba najfajniejsza drużyna, jaką dotąd widziałem.
- Masz jakiegoś ulubionego piłkarza?
- Mężczyzna sprawiał wrażenie kompletnie niezainteresowanego moimi odpowiedziami.
- Choć pytał, to wydawało mi się, że myślami krąży w zupełnie innym miejscu.
- Hm. Chyba Patrick Kluivert.
- Nie znam. A powiedz mi... jaki komiks chciałbyś ode mnie dostać?
- Od pana? Chce mi pan dać komiks?
- Tak. Zasłużyłeś na to po tym, co przeszedłeś ostatnio.
- Ale ja nie mogę dostawać, to znaczy brać prezentów od obcych.
- Nie jestem obcy. Jestem kolegą twojej mamy ze szkoły.
- No tak...
- Więc widzisz sam. Mów wprost. Kupię ci, jaki chcesz.
- Muszę wcześniej zapytać mamę, czy mi wolno.
- Nie! To znaczy nie – zaczął niemal szeptać – to będzie taki sekret. Chcę ci sprawić niespodziankę, a że jestem kolegą twojej mamy, to nie musisz pytać. Bo tylko od obcych nie możesz brać prezentów. Prawda?
- Pokiwałem głową. Rozegrał to wyśmienie.
- Ale jeśli nie chcesz być dłużny, to możesz coś dla mnie zrobić.
- Co takiego?
- Nic wielkiego. Polżesz tylko coś.
- W tym momencie mężczyzna dotknął swojego krocza. Jego oddech stał się niespokojny, jakby przebył maraton. Przymknął oczy, rozpinając rozporek, zamek wydał dyskretny pomruk, odsłaniając tanie bokserki.
- Cofnąłem się o krok, miałem przerażenie wymalowane na twarzy, moje policzki płonęły od skrępowania. Instykt podpowiadał mi ucieczkę, lecz nogi miałem jak z waty. Mężczyzna wyciągnął drugą dłoń w moim kierunku, pierwszą wykonywał dziwaczne ruchy, jakby drapał ranę po ugryzieniu komara. Głębokie oddechy zastąpiły rytmiczne sapanie, miał przymknięte powieki, skinął na mnie głową.
- No dalej. Nie wstydź się. – Jego głos był cichy, jakby unosił się na wietrze, dopadając mnie z każdej strony.
- Ale ja nie chcę.
- Czego nie chcesz?
- Nie chcę pana dotykać. – Cofnąłem się o kolejny krok.

Penis mężczyzny rósł, przypominając świeżą marchewkę. Był to pierwszy członek, jakie widziałem w swoim życiu, nie licząc własnego. Później, jak każdy nastolatek, widywałem dziesiątki innych w filmach porno.

– No chodź. Przecież chcesz dostać komiksy.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu pomocy. Brak żywej duszy dookoła dobił mnie ostatecznie. Byłem sam z obcym mężczyzną, który chciał ode mnie czegoś, na co nie miałem ochoty i co było przeznaczone dla dorosłych.

Doskoczył do mnie gwałtownie, jego dłoń była duża i silna. Chwycił mnie stanowczo, sprawiając mi ból. Nie potrafiłem wydobyć z siebie dźwięku, łzy popłynęły niczym wodospad. Czułem, jak spływają po rozpalonych policzkach, piekąc wstydem.

– Chodź i klęknij – wyszeptał z trudem.

Przyciągnął mnie tak mocno, że wylądowałem na kolanach. Przed moimi oczami ukazał się członek dojrzałego mężczyzny, był suchy i śmierdział czymś nieprzyjemnym. Kolega mamy chwycił mnie za tył głowy, po czym przyciągnął pomimo mojego oporu, bolał mnie kark, przez łzy prawie nic nie widziałem. Zamknąłem oczy, coś śliskiego musnęło mój nos, on dyszał, jakby biegł pod górę. Słyszałem, jak jego dłoń wykonuje mechaniczne ruchy, jak zbliża się do swojej ekstazy. Z jego ust wydobywał się pomruk przyjemności, cicho szeptał, bym wziął do ust, lecz zacisnąłem wargi, odchylając głowę pomimo wielgachnej dłoni, która mnie przytrzymywała.

Huk od strony lasu przestraszył nas obu. Facet puścił moją głowę, by rękoma podciągnąć spodnie, odruchowo podniosłem się z kolan.

Pobiegłem w kierunku stodoły, nawet nie wiedziałem, dokąd zmierzam. Minałem stary budynek, po czym wpadłem do lasu, drzewa schowały mnie przed napalonym grubasem.

Obserwowałem, jak mężczyzna poprawia rozporek i nerwowo rozgląda się dookoła. Pomimo odległości, która nas dzieliła, widziałem to w jego oczach. Wstyd i rozczarowanie, to samo, które miałem w dniu, gdy Emilka zniknęła.

– Obyś był kamieniem, głupi staruchu! – wyszeptałem do siebie.

Łzy popłynęły mimowolnie, drżałem z przeszywającego zimna i złości, której nie potrafiłem okiełznać.

– Obyś skamieniał, staruchu! – warczałem natrętnie, obserwując, jak zboczony gość znika w domu.

Mijały minuty, powoli wracałem do siebie. Twarz już mnie nie piekła, oczy przestały łzawić, moja głowa na nowo stała się chłodna. Ponownie byłem chłopcem, który naiwnie patrzy na świat, a wszelkie zło umiejscawia w wyobraźni.

Zmęczyło mnie stanie w lesie, wilgoć sprawiła, że trząsałem się z zimna. Samochód obcego nadal stał przed domem. Obawiałem się, że jakimś cudem staruch będzie u nas spał, a ja będę musiał spędzić noc na czuwaniu.

Dalsze czekanie jawiło się jako głupota. Równie dobrze mogłem stać tutaj do jutra, a obcy wyszedłby dopiero nad ranem. Pewna część mnie chciała powiedzieć mamie, kim jest jej przyjaciel z lat studenckich, lecz widziałem, że to nie to miejsce i pora, by mówić o takich rzeczach. Wróciła z dalekiej drogi, nie wiedziałem na jak długo. Być może to było ostatnie takie popołudnie, być może ostatni wieczór siedziała w swoim fotelu, a poranek przyniesie płacz i lament.

Ruszyłem w stronę domu, lecz głosy płynące od drzwi wyjściowych sprawiły, że się zatrzymałem. Rozmawiali, jakby nic się nie stało, jakby obślizły grubas był bohaterem bez skazy, któremu rodzina winna jest cześć i chwałę.

Obserwowałem, jak odjeżdża pośród pustych pól, jak ginie w gąszczu mętnej ciemności. Odczekałem umowne pięć minut, by moje nagłe pojawienie się nie okazało się zbyt dziwne, i ruszyłem do domu. Na korytarzu bracia rozmawiali o studenckich doświadczeniach, dziadek pomagał babci znosić brudne naczynia. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, mogłem wreszcie dostać się do mamy i choćby w ciszy popatrzeć, jak zasypia, gdy ból nie odbiera jej chęci do przebudzenia.

– O, jesteś.

Tata wyrósł przede mną jak spod ziemi, jego wzrok od razu zahaczył o moje mokre pantofle i dół spodni ubrudzony czymś podobnym do błota.

– Mama już śpi?

Chciałem wyprzedzić niewygodne pytanie, jednocześnie przygotowując w głowie swoją wersję.

– Tak, już śpi. Dlaczego masz mokre pantofle i spodnie?

– Spacerowałem.

– Pokazałeś naszemu przyjacielowi okolice?

– Ni... to znaczy tak. – W zasadzie nie było to kłamstwo.

– Ładnie z twojej strony. Jeśli chcesz, to zobacz, czy mama zasnęła. Ale jeśli śpi, to nie obudź jej! Potem możesz wpaść do mnie, coś pooglądamy, okej?

– Jasne, tato.

Delikatnie wchodziłem po schodach, uważałem, by stare drewno nie wydało irytującego zgrzytu – na tyle cichego, by rozejść pośród warkotu codzienności, lecz na tyle głośniego, by obudzić zmęczonego walką o życie człowieka.

Tamtego wieczoru długo obserwowałem śpiącą mamę. Faktycznie była już poza jawą, gdy zerknąłem do jej pokoju. Miała głowę odchyloną w stronę okna, ciemność

i przyjemna temperatura kołysały ją do snu. Usiadłem dobre dwa metry od niej, na krześle, które nigdy nie wydało zbytecznego dźwięku. Obserwowałem, jak jej klatka piersiowa opada i unosi się jak wahadełko w spokojnym rytmie odmierzające kolejne bicie serca. Wyglądała na spokojną, nawet nie drgnęła przez ponad godzinę, chwilami cicho chrapała, co nigdy jej się nie zdarzało. Po latach dowiedziałem się, że to rodzinna przypadłość.

Postanowiłem ją zostawić, była bezpieczna i spokojna. Żadna krzywda jej tu nie dosięgnie, byłem tego pewien, jakbym zawarł przymierze ze Stwórcą. Gdy szedłem w stronę gabinetu taty, zegar wskazywał dwudziestą pierwszą czterdzieści. Powinienem być już w łóżku, ale to był wyjątkowy dzień, więc wiedziałem, że tata nie będzie miał mi tego za złe. Delikatnie zapukałem do jego pokoju, ciche „proszę” ledwo przeszło przez zamknięte drzwi. Tata, jak można było się domyślić, studiował jakieś dokumenty, obowiązki dyrektora musiał nadrabiać nocami, przez co notorycznie pił kawę w olbrzymich ilościach.

Usiadłem naprzeciwko niego, wyciągnąłem jeden z moich komiksów, który ostatnio czytałem w gabinecie taty, a sen przerwał mi w połowie. Nie rozmawialiśmy, każdy z nas zajmował się swoim, lecz fakt bycia obok mówił sam za siebie. Wiedziałem, że moja obecność cieszy tatę, dla mnie stanowił koło ratunkowe. W sytuacji, gdy w dzieciństwie straciłem największą sympatię, a mama niemal przeszła na drugą stronę, był obok, choć myślami oddalał się z każdą złą wieścią na temat zdrowia mamy. Teraz było inaczej, mama wróciła, jakby nowe siły pompowały krew.

Patrząc na niego, zdałem sobie sprawę, że żyjemy dla innych, że mama walczyła dla nas. Nie dla siebie, nie z chęci przeżycia czegoś jeszcze. Myślę, że gdyby żyła w samotności, gdzieś na zachodzie, robiąc karierę, zarabiając kilkakrotnie więcej niż w Kamieńcu i mając jeszcze urodę po swojej stronie, toby się poddała. To my byliśmy jej życiem. A moim życiem stała się rodzina, każdy stanowił fundament, na którym budował swój świat.

Byłem zmęczony, już po pierwszych stronach moje powieki mimowolnie opadały. Z trudem koncentrowałem się na kolejnych fragmentach, wszystko rozlewało się, tworząc nielogiczną plamę. Tata zredukował stertę dokumentów do połowy, przed nim były jeszcze dobre dwie godziny ciężkiej pracy. Gdy miałem odpuścić i udać się do swojego łóżka, niemal jak gong rozbrzmiewający pod koniec rundy obudził mnie dzwonek telefonu. Stacjonarny aparat wył, jakby się paliło, tata próbował dostać się do niego poprzez rozrzucone kartki. Usłyszałem dwa kolejne dzwonki, aż wreszcie ojciec dorwał słuchawkę.

– Tak, słucham. Proszę?!

Nagle oczy taty stały się wielkie, jakby całe znużenie było jedynie ziewnięciem. Odchylił głowę, po czym opadł na oparcie.

– Nic nie dało się zrobić?

Słyszałem kobiecy głos, zimny, choć pełen empatii. Tata przytakiwał na kolejne zdania, potwierdzając przekaz prozaicznym „rozumieniem”. Przymknął oczy, ostatnią część rozmowy odbył w samotności; wyszedłem, by miał większą swobodę. Po odłożeniu słuchawki zastygł niczym głaz – z ręką na aparacie i głową skierowaną w stronę blatu biurka.

– Tato, coś się stało? – zapytałem, stojąc w drzwiach.

– Tak. Ten pan, który u nas był... Piotr... On miał wypadek.

– Jaki wypadek?

Zanim odpowiedział, przetarł oczy, podszedł do barku, gdzie znajdowało się kilka butelek z alkoholem, żadna nie była niezapieczętowana. Sięgnął po pierwszą z brzegu i nalał sobie do kieliszka, rozlewając trochę, czego nawet nie wytarł.

Przechyliwszy szkło, opróżnił całą zawartość, a potem spojrzął na mnie. Miał zmęczoną twarz, pełną bezradności i niewidocznych ran.

– Pan Piotr miał wypadek samochodowy. Podobno ze zbrocza spadło kilka kamieni, przez co zjechał z drogi i uderzył w drzewo. Zginął na miejscu.

Nie potrafiłem tego skomentować, zatkało mnie. Zboczeniec, który chciał mnie zmusić do seksu oralnego, właśnie zginął. A wszystko poprzedziło moje złorzeczenie. Tata poprosił mnie, bym na razie tego nie mówił mamie. Chciał wziąć to na swoją odpowiedzialność i powiedzieć, gdy będzie się dobrze czuła.

Wyszedłem z gabinetu, pozostało mi tylko jedno. W pokoju wszystko było na swoim miejscu, tak jak pozostawiłem – zaścielone łóżko, poukładane książki i komiksy, nie było śladu cudzej obecności. Ale wiedziałem, że tak będzie. Podszedłem do łóżka, podniosłem poduszkę, moim oczom ukazał się kamień. Kolejny do kolekcji.

Teraz

Ciemności egipskie powitały mnie po wybudzeniu się. Głowa pękała mi z bólu, próbowałem wymacać, czy dorobiłem się rozcięcia. Coś jednak szarpnęło mnie do przodu. Na dłoniach miałem stalowe łańcuchy, również stopy były związane, byłem przymocowany do czegoś. Ciemność sprawiła, że poczułem się jak w czarnej dziurze. Nie wiedziałem, czy otacza mnie wielka przestrzeń, czy tuż za mną czeka mnie twarda ściana. Być może mój porywacz siedział naprzeciwko i obserwował, jak miotam się niczym upolowana zwierzyna. W powietrzu unosiła się stęchlizna, zapach pleśni natarczywie wdierał się do nozdrzy, dodatkowo woń zwierzęcych odchodów była bardziej niż wyraźna. Dookoła panowała cisza, jakby cały boży świat wymarł, pozostawiając mnie na pastwę czasu.

Nie wyczuwałem obecności pani Wojtaszek, nie słyszałem cudzego oddechu ani tym bardziej wołania z ciemności. Jeśli nas rozdzielono, to miałem nadzieję, że czeka ją znacznie lepszy los od tego, który spotka mnie. Bo w całości z tego nie wyjdę, tego byłem pewien.

W głowie miałem obrazy z dziesiątek thrillerów, w których główni bohaterowie nieraz zmagali się z podobnymi trudnościami. Niemal zawsze finał miał pozytywny wydźwięk, lecz głównie zapamiętywałem te mroczne rozwiązania, zawsze wydawały mi się bardziej realne od cudownego wybawienia w ostatnim momencie. Teraz sam byłem bohaterem w pewnej opowieści, nie wiedziałem, jakie mam możliwości, czy mój przeciwnik ma zamiar dać mi szansę, czy tylko czeka, by zadać śmiertelny cios.

Raczej to drugie – podpowiadała mi podświadomość.

– Szczepan. – Cichy szept zabrzmiał gdzieś w oddali.

Wyteżyłem zmysł słuchu, słyszałem, jak serce bije w przerażeniu, a gardło przełyka zastygłą ślinę. Nic. Cisza. Nie odpowiedziała nic więcej.

Złapałem głęboki oddech, w ustach panowała susza, oczy piekły od pyłków kurzu krążących niczym stado wygłodniałych much.

– Widzimy się ponownie, chłopcze. Tym razem nie przychodzę sam.

Ktoś stojący w ciemności ponownie przemówił. Tym razem był to znajomy głos. Gdzieś tam krył się mój przeciwnik, znany mi od lat, choć nadal nie byłem gotowy na konfrontację.

– Lapis.

- Tak.
- Serio, musisz sięgać po jakieś debilne porwania?
- To nie ja.
- A kto? Święty Mikołaj?

Próbowałem odpowiadać z nutą cynizmu, by nie pokazać przestraszonej twarzy, lecz hardą postawę.

– Być może. Chociaż pewnie to ktoś, komu twoja obecność w Kamieńcu jest nie na rękę.

- A kim konkretnie jest ta osoba?
- Dowiesz się we właściwym czasie. Ale gwarantuję, że to nie ja jestem tą osobą.
- Więc z kim tu przyszedłeś?
- Z twoim starym, dobrym znajomym.
- Mam kilku takich, powiedz wprost.
- Sam się przedstawi.
- Dzień dobry, chłopcze!

Drugi głos zabrzmiał donośnie. Nagle poczułem, że ściany są całkiem blisko, gdy chropowaty ton odbił się od twardej powierzchni, wzmacniając echo.

- Kim ty, kurwa, jesteś?
- Znasz mnie.
- Jak wielu ludzi. Dawaj konkret.
- Piotr, ten, którego zabiłeś.

Szybko pożałowałem swojego uporu w wypytywaniu się. Jeśli nie zwariowałem, to kolejny zombie twierdził, że właśnie ze mną rozmawia.

- Co tak zamilkłeś? To niegrzeczne – wtrącił Lapis.
- A tak poważnie, kim jest kolega?
- Już się przedstawiłem.
- To czego chcesz?
- Byś był świadomy tego, co zrobiłeś.
- Mówi to pierdolony pedofil, który chciał zgwałcić dzieciaka. Nie bądź śmieszny.

A sorry, nie możesz być śmieszny, bo zdechłeś!

– Nie byłem święty. Żałuję tego, co robiłem, każdego skrzywdzonego dzieciaka, każdego wytrysku i złego dotyku. I to dzięki tobie pożałowałem.

- Dzięki mnie?
- Tak. Zamknąłeś mnie w ciasnej bryle, w której przez lata dławiły mnie wstyd i poczucie winy, wtedy zrozumiałem, jakiego zła się dopuściłem.
- Pokaż się.

– Lepiej nie.

– Nie pierdol, pokaż się, do kurwy!

Podniesiony głos odbił się od ścian, w ustach poczułem dziwny posmak, słodki, lecz niemiły. Czekałem, aż duch stanie ze mną twarzą w twarz, a moje wariactwo okaże się faktem. Iskra pośród ciemności nieśmiało zabłysła.

Z kropli światła rozlał się kwiat żółtego blasku, tuż za nim pojawiły się dwie twarze. Pierwszą znałem bardzo dobrze, wielokrotnie nawiedzała mnie w snach, drugą ledwo pamiętałem. Liczne bruzdy szpeciły pulchne policzki, górna część głowy była roztrzaskana. Światło ledwo musnęło śmiertelną ranę, ale dobrze widziałem wbity w głowę kamień.

– To twoje dzieło – rzekł, wysuwając się w stronę światła.

– Pierdol się. Chciałeś mnie zgwałcić.

– Tak, żałuję tego. Ale morderstwo jest poważniejszym grzechem.

– Nie zabiłem cię.

– Ależ tak. Rzuciłeś słowo, a ono stało się ciałem.

– Pierdolisz, to nie bajka. Nie mam w kieszeni pieprzonego dzina.

– Nie każde życzenie, które wypowiedzisz, stanie się faktem, ale to, które dotyczy cudzych serc, tak.

– No i zrobił się melodramat – zakpiłem z bezradności.

– Masz na koncie kilka osób. Ludzi, którzy próbowali ci zaszkodzić w karierze, faceta, który próbował odbić ci Anię, każdy z kamieniarzy ma swój cmentarz. Kolekcja świadczy o kolekcjonerze.

– O czym ty mówisz?

Z ciemności wyłoniły się kolejne twarze. Ich rysy stawały się coraz bardziej wyraźne, również w mojej głowie zyskiwały na wyrazistości. Każdą z nich spotkałem w życiu. Każdej z nich chciałem uniknąć, aż ostatecznie znikła.

– Jesteśmy twoją kolekcją kamieni.

– Widzisz. Możesz z tego wyjść jako wygrany. Ale to ma swoją cenę – poinformował Lapis.

Jego oczy były pełne złości, jakby chciał pokazać, kto triumfuje w ostatecznej rozgrywce.

– Kolejny kamień – odparłem bez chwili namysłu.

– Jeden więcej czy mniej. To chyba bez różnicy dla takiego kolekcjonera, prawda?

– A ty ile zbierałeś? Miałeś liczniejszą kolekcję?

Jego uśmiech był przerażający, świadczył o rozmiarze cierpienia i liczbie straconych dusz, które zebrał w swojej kolekcji. Gardziłem nim, choć byłem taki sam; obwinałem

go, choć robiłem to samo.

– Odejdźcie.

– Jesteś tego pewien?

– Tak. Nie chcę was widzieć. Nigdy.

– Ale pamiętaj. Z moją obecnością lub bez niej. Nie przestaniesz być kamieniarzem. Stałeś się nim, zanim nasze drogi się przecięły.

– Żegnaj – wyszeptalem ledwo słyszalnie.

Gasnący blask chował kolejne twarze, widziałem, jak mrok pochłania złodzieja moich pomysłów, byłego przyjaciela na boku podbijającego do mojej dziewczyny lub sublokatora, który próbował podrzucić mi narkotyki, by samemu nie skończyć za kratami. Ginęli pośród zimnego mroku i martwej ciszy, aż znikli.

A więc to koniec, koszmar z dzieciństwa przeminął. Choć tak naprawdę to ja byłem koszmarem dla wielu. Wszystko w życiu miało swoją cenę. Zatem tym razem to ja zapłacę i stanę się kamieniem w czyimś ogródku. Dam się zabić.

Wtedy

Jeden rok potrafi wiele zmienić, rok w życiu młodego człowieka jeszcze więcej. Gdy ma się naście lat, to dwanaście miesięcy staje się wiecznością.

Przez rok zdążyłem dorosnąć na tyle, by wiedzieć, że miłość jest czymś więcej niż sympatią, że ludzie kochają się tak naprawdę bardzo rzadko, że związki opierają się głównie na przyzwyczajeniu i powinności, a dzieci przychodzą na świat w wyniku chwilowej potrzeby.

Seks poznałem poprzez pornografię, już wtedy wiedziałem, że stosunki płciowe rzadko kiedy są wyrazem uczuć.

Dojrzewanie jest niczym innym jak skalpowaniem z naiwności, brutalnym wprowadzeniem w świat, w którym karty rozdaje egoizm. Zacząłem dostrzegać ludzką obłudę, zepsucie roznoszone niczym katar po klasie, zło wyzbyte rogów, ale tkwiące w nas samych. To właśnie otaczało każdego z nas – tak zwana dorosłość.

Nastały kolejne wakacje, przestałem być słodkim dzieciakiem, a wiek buntu dopadł mnie znienacka. Moje nastroje stały się chwiejne, język się wyostrzył, co było powodem wielu niesnasek między mną a rodzicami. Kłótnie pojawiały się coraz częściej, dźwięk trzaskania drzwiami stał się codziennością. Wraz z końcem roku szkolnego pojawiły się pierwsze szramy na mojej niewinności. Zapaliłem pierwszego papierosa, po którym wymiotowałem całe przedpołudnie. Obejrzałem pierwsze porno, było niemieckie, a aktorka miała absurdalnie wielkie piersi i tlenione loki przypominające makaron w zupkach chińskich. Wygrałem też pierwszą bójkę, w czym pomógł mi Romek, nauczywszy mnie, jak uderzać, by ogłuszyć przeciwnika i zyskać przewagę. Jedynym, czego nie udało się zaliczyć, podczas tamtych wakacji, był pierwszy pocałunek; zresztą podobnie jak większość chłopaków z ekipy zatrzymałem się w niewinnych macankach.

Gdy myślałem o lecie po zniknięciu Emilki, na myśl przychodził mi głównie pewien wieczór. Pierwsze dni wakacji były bardzo intensywne, niemal całe dnie spędzałem poza domem, zdarzało się jeść u kolegów, a nawet nocować u jednego. Robiliśmy wiele psikusów, jak na przykład pomalowanie czerwoną farbą wychodka starych Idziaków lub kradzież kołpaków z samochodu księdza. Najlepsze było to, że sam mu się przyznałem podczas spowiedzi, ale wiadomo – człowiek spowiada się Bogu, ksiądz

jest tylko pośrednikiem, więc nie mógł mi nic zrobić, bo tak naprawdę nie mógł tego słyszeć.

Po pierwszym tygodniu wakacji zachciało nam się poważniejszej akcji. W naszej paczce pojawił się Maciek, który przeniósł się do Kamieńca wraz z rodzicami, wcześniej mieszkał w Przemyślu, jego tata musiał się zająć chorą matką, więc przeprowadzili się do naszej dziury, co na początku Maćkowi nie pasowało, aż do momentu poznania naszej ekipy. Z Maćkiem dogadywałem się bardzo dobrze, mieliśmy wspólne zainteresowania, podobne poczucie humoru i sposób myślenia. Utrzymywaliśmy kontakt nawet wtedy, gdy rozjechaliśmy się po kraju, kilka lat temu jednak kontakt się urwał, nad czym długo ubolewałem.

Nie widziałem go aż do momentu trafienia do ciemnej celi, gdy blask od Lapisa rozświetlił skamieniałe dusze.

Tamtego dnia nowy wymyślił, że wkręcimy całą wieś, tak by wszyscy byli skołowani. Plan był prosty – mieliśmy upozorować świeży ślad obecności Emilki.

Z racji tego, że z nas wszystkich byłem najbliższą jej osobą, to do mnie należało najważniejsze zadanie – wybranie rzeczy, którą poznają inni.

W swoim pokoju miałem masę przedmiotów, które należały do niej, lecz o ich istnieniu wiedziała mama Emilki, więc musiałem sięgnąć po coś, co zniknęło wraz ze zaginięciem Emilki.

Nie musiałem długo kombinować, w starej ruderze koło rodzinnego domu Emilki wciąż znajdowała się nasza skrytka. Unikałem tego miejsca, rok wcześniej natrafiłem tam na Lapisa, gdy piłka trafiła przez ogrodzenie. Potem wpadaliśmy tam tylko po to, aby schować kilka naszych drobiazgów lub aby ukryć się przed dorosłymi, by mieć święty spokój.

Do skrytki trafiłem nawet pomimo zachodzącego słońca, wymacałem właściwy pustak, wystarczyło włożyć rękę, by dobrać się do moich starych rysunków, kart do gry lub lalki, którą Emilka lubiła najbardziej. Była to charakterystyczna lalka, pochodziła z Francji, gdzie mieszkał wujek dziewczynki. Lalka miała ręcznie robiony płaszcz, który uszyła babcia Emilki. Była to rzecz na tyle osobista, by pobudzić całą wieś.

Wspólnie zdecydowaliśmy, by lalkę podrzucić w najbardziej magiczne miejsce, jakie nam przyszło do głowy – czyli na Kamieńcu. Dodatkowo to miejsce miało jeszcze jeden atut, mama Emilki przechodziła tamtędy codziennie, idąc i wracając z pracy. Była sekretarką w miejscowej masarni. Jej praca w przeciwieństwie do innych oznaczała regularność niczym w szwajcarskim zegarku. Maciek podrzucił lalkę tuż przed pojawieniem się naszej ofiary. To ona musiała na nią trafić, nikt inny, więc zdecydowaliśmy na działanie na ostatnią chwilę.

Ukryci pomiędzy krzakami obserwowaliśmy, jak matka Emilki wrzeszczy z rozpacz, jak łzy płyną bez ustanku, a rozpacz rozdziera jej ciało. Nikt z nas tego nie powiedział, ale wszyscy wiedzieliśmy, że niewinny w teorii wybryk stał się przegięciem, z którego się już nie wypiszemy. Po chwilowej dezorientacji i ataku niekontrolowanych emocji udała się do domu. Biegła w dzikim szale, gubiąc buty oraz odrzucając na bok siatkę z zakupami.

– Chyba źle zrobiliśmy – rzekł Wiśnia.

Na jego rękach było pełno bąbli po pokrzywach, a twarz kleiła się od pozostałości po lodach. Jego udział w naszym wybryku był śladowy, ale jako pierwszy napiętnował nasze wspólne działanie.

– No tak, ale nie możemy się przyznać. Miałem z mamą jechać nad morze w sierpniu. Jeśli to wyjdzie, to dostanę szlaban i będzie dupa z morza – odpowiedział, niemal szlochając, Maciek.

– Przestańcie. Za parę dni któryś z nas powie, że lalka leżała w tym budynku koło ich domu, a potem miała być oddana, ale ktoś, idąc do nich, zostawił podczas odpoczynku – zaproponowałem bez emocji najwygodniejsze dla wszystkich kłamstwo.

– No, to może przejść – dodał Maciek, tradycyjnie mnie wspierając.

– Właśnie, odczekamy kilka dni. Potem ten, który najbardziej się obijał przy akcji, powie naszą wersję i tyle.

Na moje słowa Wiśnia zrobił dziwną minę, zmarszczył czoło i przygryzł wargi. Zakładając ręce, dał wyraz swojego protestu.

– Musisz to zrobić.

– Bo co?

– Bo jak nie powiesz, to my powiemy, że to twoja sprawka i tylko twoja. Myślisz, że komu uwierzą, naszej piątce, która ma dobre oceny ze sprawowania, czy tobie?

Był to chwyt poniżej pasa. Wiśnia pochodził z patologicznej rodziny, kilka miesięcy później jego matka trafiła do ośrodka dla uzależnionych. Jej leczenie z alkoholizmu trwało do dziś, podobno jej wątroba już dawno umarła, ale ona jeszcze trzymała się życia, choć nikt nie wiedział po co. Jego ojciec kradł od zawsze, chyba nie było rzeczy, której nie ukradł w życiu, łącznie z damską bielizną i szczotką do kibla. Sam Wiśnia już wtedy był na dobrej drodze do upadku. Z trudem przeszedł do kolejnej klasy, w zasadzie to mój tata go przepchnął. Nie chciał, by chłopak staczał się wraz z rodziną, lecz to się nie udało. Kilka lat później Wiśnia utopił się po pijaku. W dniu śmierci miał na koncie już dwie odsiadki oraz kilka spłodzonych istnień, które czekał podobny żywot.

W tej sytuacji również nie miał pola manewru. Zaakceptował nasz plan i nie puścił pary z ust, czego akurat byliśmy pewni, bo w naszej grupie nigdy nie było miejsca dla kapusiów. Sytuacja z lalką faktycznie nie przeszła bez echa. Pojawiała się policja, lokalne media nagłośniły sytuację. Przyjechała nawet stacja radiowa, dla dziennikarzy RMF-u była to jedna z najgłośniejszych spraw w tamtym roku. Nagrali kilka materiałów, które potem krążyły po eterze. Wiśnia odbębnił swoje, za co pewnie i tak oberwał od ojca. Pomimo lania nie zdradził kumpli, czym zyskał nasz respekt. Sprawa przycichła równie szybko, jak i stała się głośna. Dziennikarze zniknęli, ludzie przestali gadać, skupiając się na codzienności, a żniwa zrobiły resztę.

Jedynie rodzice Emilki nie potrafili pójść dalej. Wierzyli, że znaleziona lalka nie jest przypadkiem. Wynajęli jasnowidza znanego z telewizji, za co oberwało im się od proboszcza. „Żeby ją odnaleźć pójdę nawet do piekła” – podobno tak odpowiedziała kobieta, która od roku czekała na córkę. Ksiądz niby pogroził palcem, ale po cichu opłacił paranormalnego detektywa. Kilka dni chodzili po lesie, odwiedzili dziwne miejsca, takie jak stare piwnice, wysuszone studnie i opuszczone domy. Efektów nie było, co jeszcze bardziej ściągnęło na dno zrozpaczoną dwójkę. Stare rany krwawiły na nowo; by znaleźć choćby ślad istnienia córki, chwytali się rozmaitych możliwości. Kolejni prywatni detektywi, a nawet medium. Podobno podczas seansu spirytystycznego udało się połączyć z duszą Emilki. Miała przebywać w czyścicu, choć otarła się o piekło, przechodząc przez jego kolejne kręgi. Rzekomo nadal cierpiała, a na pytanie o to, co ją spotkało, odpowiedziała jednym słowem – Szczepan.

Teraz

Musiałem zasnąć, film mi się urwał i nie miałem pojęcia, ile straciłem czy minął kwadrans, czy kilka godzin. Nadal przebywałem pośród ciemności, jedyne, co się zmieniło, to zapach. Smród stał się bardziej intensywny, na szyi czułem delikatny przeciąg, jakby ktoś nie domknął drzwi. Próbowałem się podnieść, lecz łańcuchy nadal wbijały mnie w podłogę. Staralem się wyteńczyć zmysły, rozczytać coś, co było nieczytelne.

Nasłuchiwałem ciszy, nic nie przebijało się przez ścianę ciemności, nawet szczekanie psa, które było osobliwą częścią życia na wsi.

Ból głowy osłabiał moją koncentrację, nie miałem, o co się oprzeć, więc i kręgosłup dał mi popalić. Ułożyłem się na boku, zimna podłoga nie była niczym przyjemnym. Na ziemi wyczułem kilka lepkich plam, po zapachu odgadłem, że to odchody – prawdopodobnie świńskie. Koło naszej szkoły jeden z farmerów hodował dziesiątki osobników, więc i ten zapach będzie mi towarzyszył do końca życia. Dosłownie i w przenośni.

Staralem się wyczuć sposób mocowania łańcuchów, znaleźć choćby niewielki słaby punkt, który przeoczył porywacz. Elementy były grube, nawet Hulk nie dałby rady ich sforsować. Gdy pociągnąłem jeden z nich, poczułem opór. Ściana musiała być całkiem blisko. Przesuwałem się do tyłu, a moje ubranie wycierało kolejne fekalia leżące na ziemi. Łańcuch rolował się tuż za moimi plecami, następne centymetry metalu przesuwałem wraz z moim ciałem, aż dotarłem do ściany. Była równie zimna, jak i podłoga, goła cegła, na której wyczułem szczeliny wypełnione cementem. Oparłem się plecami, głowa spoczęła, a chłód muru stał się kojący dla piekącej rany. Nadal nic nie widziałem, lecz świadomość oparcia sprawiała, że spokój stał się bardziej namacalny niż dotychczas.

Chyba jestem gotów – pomyślałem, choć nawet nie wiedziałem na co.

Zacząłem ocierać łańcuchem o ścianę, licząc, że szorstka nawierzchnia pomoże mi je choćby poluzować. I pomogła mi w impasie, lecz zamiast luźniejszego łańcucha przede mną ukazał się delikatny słup światła. Oczy potrzebowały chwili, by zaadaptować się ponownie do jasności, ciekawość z trudem przebijała się przez zmęczone ciało. Chciałem coś wydusić, lecz język ugrzązł mi w gardle.

– Nie śpisz już? To dobrze – przemówił nieznajomy, po czym ruszył w moją stronę.

Staralem się pobudzić mięśnie, być gotowym do walki. Cała moja żalosna próba uzbrojenia się minęła, gdy obcy zarzucił mi worek na głowę. Poczułem, jak stara tkanina otula moje policzki, a drobinki ziemi sypią się do oczu.

Obcy kombinował coś przy ścianie. Jego oddech był przyspieszony, mężczyzna sapał cicho, jakby nie mógł sobie poradzić z rzeczą, którą sam zrobił.

– Kim jesteś?

– Zamknij się!

– No mów, kurwa!

– Morda.

But obcego trafił w mój brzuch. Ból targał mną, a krzyk rozchodził się po ścianach i powracał niczym bumerang. Z moich ust wylała się ślina, specyficzny posmak, który poczułem na podniebieniu, przypominał krew. Chwilę później szarpnięto mnie, a moje ciało stało się marionetką. Szurałem po ziemi, trafiając na progi, leżące gwoździe i inne śmieci, których nie brakowało.

Mijałem kolejne metry, czułem każdą zmianę kierunku, przez worek widziałem, jak światło to się przebija, to znika w ciemności.

Wreszcie się zatrzymaliśmy.

– Co chcesz zrobić?

Obcy nie odpowiedział. Słyszałem metaliczne trzaski, chwilę później moje ręce pociągnięto ku górze, co sprawiło mi okropny ból. Wykręcone do tyłu nie dość, że uniemożliwiały jakikolwiek ruch, to jeszcze utrudniały oddech. Poczułem kolejne szarpnięcia i moje ciało się podniosło. Nim zorientowałem się, co się dzieje, wisiałem nad ziemią.

Mój oprawca obszedł mnie i stanął tuż za moimi plecami. Jednym ruchem ściągnął mi worek, a ja nieśmiało uchyliłem powieki. Przed moimi oczami ukazało się pomieszczenie wypełnione białymi kafelkami; kilka blatów o stalowej powierzchni znajdowało się na wysepkach przypominających stanowiska pracownicze. Lecz to, co najbardziej przykuło moją uwagę, było gorsze od sennych koszmarów. W pojemniku przypominającym wannę leżała pani Wojtaszek, jej ciało topiło się niczym świeca, wydając okropny zapach.

Przygryzłem wargę, zadrzałem, uświadamiając sobie, że wkrótce zajmę jej miejsce. Próbowałem się wyrwać, co było z góry skazane na porażkę. Nawet najmniejszy ruch sprawiał mi niewyobrażalny ból. Moje ciało wisiało bezwładnie; im bardziej próbowałem się oswobodzić, tym bardziej tańczyłem na łańcuchu. Przyczepiony do haka na suficie byłem bezbronny, odchylone ręce uniemożliwiały mi wszelkie próby uwolnienia się. Szybko straciłem siły, ledwo łapałem powietrze.

Obcy wyczuł moją bezradność, czułem, jak przygląda mi się niczym drapieżnik swojej ofierze. Słyszałem jego oddech, facet był całkiem blisko. Przesuwał się, aż wyłonił się z mojej lewej strony. Wyobrażałem sobie wcielenie zła, a moim oczom ukazał się ten, którego uważałem za ofiarę ludzkiej próżności i zepsucia.

Wtedy

Nasz psikus przeszedł do historii, wieś żyła pracami na polu, zbiorami, żniwami oraz wejściem telekomunikacji do każdego domu. Telefony, niegdyś dostępne dla wybranych, teraz zagościły u każdego. To przełożyło się na wiejską codzienność. Dawniej na kawę umawiano się przed sklepem lub kościołem. Najbliżsi sąsiedzi krzyczeli z okien, a zaproszenie rozchodziło się po okolicy. Pod cudzym oknem częściej można było usłyszeć plotki niż radiową Jedynkę. Teraz ludzie wydzwaniali do siebie, ciesząc się nową zabawką. Na wsi zapanował większy spokój, liczba pałętających się po okolicy w celu znalezienia rozmówcy znacznie zmalała. Również zbliżająca się pierwsza rocznica zaginięcia Emilki wpłynęła na wyciszenie życia na wsi.

Po rzekomym nawiedzeniu ducha Emilki i wypowiedzeniu mojego imienia ponownie stałem się celem starszych kobiet szepczących, gdziekolwiek się pojawiłem. Niektóre zegnały się na mój widok, jakbym był przedstawicielem piekła, inne ograniczały się jedynie do złowrogich spojrzeń. Na szczęście była to tylko niewielka grupka, większość potraktowała medium niczym wróżenie z fusów. Rodzice Emilki trafili do grupy wiejskich dziwaków, których lepiej unikać, ograniczając się jedynie do mówienia „dzień dobry”.

Sytuacja zmieniła się, gdy mama Emilki trafiła do szpitala psychiatrycznego.

Wyszła po kilku dniach, ale była już inną osobą. Na nowo stała się „normalna”, wróciła do pracy, odwiedzała znajomych, nawet w naszym domu często gościła. Moja mama stała się jej dobrą koleżanką, przez co kilkakrotnie trafiałem na nią, gdy przychodziłem na obiad.

Z początku jej wzrok był przeszywający, widziałem, że chce zobaczyć we mnie winę, przyznanie się do popełnionej zbrodni. Ale z czasem na nowo patrzyła na mnie jak na zwykłego dzieciaka. Podobno chodziła do psychologa, który wybił jej z głowy toksyczne mądrości, które mężczyzna będący medium próbował wcisnąć w zamian za grubą kopertę.

Mama wspierała ją w okresie poprzedzającym rocznicę. Na barkach mamy Emilki były przygotowania do mszy świętej; pismaki z Tarnowa, które przypomniały sobie o taniej sensacji, i spojrzenia pełne politowania, w których przeglądała się jak w lustrze. Miała na barkach ciężar, który większość ludzi przygniótłby do ziemi. Ją

jednak nie, godnie radziła sobie z wścibskością, nawet przygotowania do mszy przebiegły całkiem sprawnie. Być może incydent, do którego doprowadziliśmy, ją wzmocnił, czasem ludzie wychodzą silniejsi z koszmaru, niż z pozornie przyjemnego snu.

Wspólnie z ekipą pomogliśmy rozłożyć ławki i przynieść prowizoryczny ołtarz przygotowany na Boże Ciało. Kamieniec zawsze jawił mi się jako ołtarz zła, teraz ciało Chrystusa zagościło w miejscu, gdzie zło nieraz zbierało swe żniwo.

Czuliśmy obowiązek pomocy w zamian za incydent z lalką. Chętnie podjęliśmy się sprzątania okolicy, niesienia krzyża lub rozłożenia ciast i napojów, które miały osłodzić ludziom płacz i lament najbliższych zaginionej. Prowizoryczna świątynia pośród drzew i pogańskiej relikwii sprawiała wrażenie bajkowej scenerii. Bajki, która w okamgnieniu mogła stać się najgorszym koszmarem.

Na uroczystości pojawili się niemal wszyscy mieszkańcy, nawet stary Grzelak zasiadł w jednej z ostatnich ławek, był zupełnie trzeźwy. Moi rodzice poprosili mnie, bym usiadł wraz z nimi, pierwsza ławka, rząd po lewej, usiadłem jak najbliżej krańca ławki i jednocześnie jak najdalej od rodziców Emilki. Rodzice stanowili parawan, dzięki któremu mogłem schować się przed wścibskimi spojrzzeniami. Rocznicą sprawiała, że ludzie na ten jeden dzień ponownie stali się świadkami nieszczęścia. Wszystko odżyło, płacz ponownie brzmiał jak ścieżka dźwiękowa rodem z piekła, łzy na nowo leciały, jakby nie miały zamiaru przestać. Gdzieś w tym wszystkim tkwiło piękno, wyczuwałem je tak, jak rozpoznaje się ludzkie intencje. Piękno nie zawsze stanowi czystą formę, czasem wypływa z największego koszmaru, z bólu i ciemności. Kątem oka obserwowałem mamę Emilki, z początku płakała, chowając głowę w ramionach męża. Wraz z kolejnymi słowami księdza wracała do córki, by na koniec podnieść twarz wolną od wyrazu rozpacz. Być może tak działała Boża sprawczość, a Duch Święty obdarzał łaską, być może w ten sposób wolność stawała się czymś więcej niż tylko hasłem nabazgrany na ścianie. Tak właśnie było z tą kobietą. Wówczas uświadomiłem sobie, że można przejść przez piekło, by trafić do lepszego miejsca.

Msza była dosyć krótka, ksiądz skupił się na kazaniu, które zanudziło wszystkich, łącznie z orszakiem starszych pań zawsze oddanych niezachwianemu słowu kaznodziei. Jego gładzenie o wybaczeniu i odpuszczeniu w poszukiwaniu prawdy nijak miało się do rzeczywistości. Myślami krążyłem wokół Kamieńca, w miejscach, które miałem na wyciągnięcie ręki i w których po raz ostatni widziałem Emilkę. Jako dorosły dowiedziałem się, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni, że niemal zawsze stoi w pierwszym rzędzie, by nic nie umknęło jego uwadze. Idealnie wpasowałem się w ten trend. Pierwsza ławka stawała się bardzo niewygodna, pod

koniec mszy kręciłem się, jakby dziesiątki mrówek opanowały moje spodnie. Liczyłem na szybkie zakończenie i ucieczkę w bezpieczne rewiry. Los chciał inaczej.

Część zgromadzonych wróciła pospiesznie do swych codziennych obowiązków, reszta po prostu zdezerterowała, uważając, że to nie ich sprawa. Pozostali podtrzymywali atmosferę smutku, pograżając się w kolejnych rozmowach. Poszczególne grupki wymieniały się składem, niczym kostka Rubika, która po przekręceniu stawała się zupełnie inną bryłą. Liczyłem, że los nie połączy nas z rodzicami Emilki, że jakimś cudem moim rodzicom uda się trafić na innych rozmówców. I tak się stało, lecz ja i tak nie uciekłem od przeznaczenia.

Znudzony rozmowami dorosłych chciałem choćby na chwilę dołączyć do swoich ziomeków. Dostrzegłem ich na samym końcu, byli schowali pod drzewem, gdzie opóźniali kolejne butelki coli. Odłączyłem się od rodziców, ruszając w ich stronę, byłem już w połowie drogi, gdy przede mną pojawiła się ona.

– Fajnie, że przyszedłeś i że tak dzielnie pomogłeś nam z przygotowaniami. – Mama Emilki wpatrywała się we mnie niczym w dzieło sztuki. Jej oczy były zaszkłone i pełne miłości, której wcześniej nie dostrzegałem lub nie potrafiłem dostrzec.

– Dziękuję, ale to razem z kolegami zrobiliśmy. Nie tylko ja.

– Wiem. Ale znając ciebie, pewnie ich namówiłeś.

– Trochę. Ale nie musiałem, sami też chcieli.

– Pewnie i dla ciebie nie jest to łatwy dzień. – Gdy mama Emilki wypowiedziała te słowa, jej twarz zmieniła wyraz. Kości policzkowe stały się bardziej wyraziste, zyskując diabelskie rysy.

Nawet drzewa skryły promienie słońca, przez co mrok przemknął ukradkiem.

– Tak...

– Nie musisz nic więcej mówić. Wiem wszystko.

– Wszystko? – Niemal upadłem. Poczułem, jak gorąco rozpala mnie od wewnątrz.

– Tak. Nie musisz się martwić. Bóg nas wszystkich osądzi.

Odeszła. Starłem się rozczytać jej słowa, jakby były wypowiedziane w obcym języku. Cokolwiek uznawała za „wszystko”, było niczym w porównaniu z tym, co się wydarzyło. Byłem oprawcą na miejscu zbrodni, początkiem i końcem tej historii. Podszedłem do ołtarza utworzonego na Kamieńcu, nawet przez biały materiał poszczególne kontury były wyraźnie widoczne. To wówczas na odbitej twarzy skamieniałego mężczyzny dostrzegłem samego siebie.

VI



Teraz

Chyba ponownie oberwałem, tym razem w twarz. Policzki piekły mnie, jakby ktoś oblał mnie wrzącą wodą. Chwilę po odzyskaniu świadomości poczułem rozcinający ból, który odbierał mi oddech. Nie mogłem złapać tchu, czułem, jak tracę resztkę sił, stając się kompletnie bezbronny.

– Gotowy?

– Na co?

– Słaby jesteś. Co chwilę tracisz świadomość. Zaraz ręka będzie mnie boleć od lania cię po ryju. Ale spokojnie, zaraz będziesz miał tyle bólu, że nie zaśniesz. – Zaśmiał się, jakby opowiedział błyskotliwy żart.

– Dlaczego, Romek? Co zrobiła ci stara Wojtaszkowa? Czego chcesz ode mnie?

– Ty to jednak tępny jesteś, wiesz?

Odchyliłem się w jego stronę, to, co dostrzegłem, było zupełnie inne niż dotychczas.

Twarz Romka była pełna bystrości, jakby całe upośledzenie okazało się wyłącznie mrzonką, z której się wyleczył. Był ubrany w robotnicze rybaczki pełne krwistych plam, które zdążyły szernieć.

– No co jest? Już nie jesteś taki cwany? – Jego uśmiech świadczył nie tylko o przewadze, ale również o udanej grze, którą toczył od wielu lat.

– Dlaczego? Przynajmniej na to odpowiedz.

– Spokojnie. Opowiem ci wszystko. Przecież nie zabiję cię ot tak. Zasłużyłeś na to, by umrzeć jako skończony frajer. – Zaśmiał się po raz kolejny.

– Dlaczego ja?

– Po kolei. Jak większość tych wiejskich ćwoków żyłeś w naiwności. Moi starszycy szybko rozkminili, że mając debila, dostaną od państwa darmową forszę. W dodatku miałem nie trafić do wojska, dzięki czemu nie ubyłaby im para rąk do pracy. Kazali mi więc udawać idiotę, ale wiesz, dzieciakowi to nie stwarza problemu. Nie uczyli mnie, przyzwalali na debilne zachowania i takie tam. Z czasem z łatwością przyszło mi granie głupka, ale nie do końca. Było kilka osób, które od lat były blisko odkrycia prawdy, między innymi ta stara kurwa. Ty również na początku wydawałeś mi się niebezpieczny. Ale mnie rozczarowałeś, jak wszyscy połknąłeś haczyk o moim upośledzeniu. Długo starałem się być blisko ciebie, byś kupił ten kit, sporo się starałem, no i, jak widać, uwierzyłeś.

– Po to to wszystko? Dla marnych kilku stów co miesiąc?

– Tak. Ludzie tutaj udają, że ich dziadkowie żyją, by wyciągnąć emeryturkę za kolejny miesiąc. Zdrowi stają się niepełnosprawni, by móc spędzać całe dni pod sklepem i nie pocić się jak głupia świnia na jakiejś budowie za parę groszy. Ale wracając do sprawy... Ty mogłeś mnie rozgryźć, lecz, jak zaobserwowałem, sam okazałeś się walnięty. I to nieźle.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że jesteś pojebany. Wiesz? – Splunął, niemal trafiając mnie w twarz.

Zaczął krążyć wokół mnie, aż podszedł do jednego ze stanowisk za moimi plecami.

Na chwilę zamilkł, słyszałem jedynie metaliczny dźwięk, jakby ktoś ostrzył narzędzia.

– Mów jaśniej!

– Pamiętasz wtedy w lesie? Lapis, aaaaaaa. – Nagle pojawił się przede mną, zrobił minę obłąkanej osoby drżącej, jakby szaleństwo starało się wydostać na zewnątrz.

– Nie... to nie ma sensu – wyszeptalem, lecz nie na tyle cicho, by słowa pozostały wyłącznie dla mnie.

– Już wcześniej słyszałem, jak gadasz do siebie. Wtedy, gdy pobiegłeś za psem, zostawiając swoją dupę, więc wiedziałem, jak i co zagrać. Udało się! Łyknąłeś to jak młody pelikan. Pewnie nadal myślisz, że to jakiś stwór zabija? – Zaśmiał się złowieszczo, poklepując mnie po policzkach.

– A co z Emilką?

– A co ma być, debilu? Zajebałem ją.

Nie zareagowałem na jego wyznanie, jedynie poczułem ulgę, że prawda wyszła na jaw. Od razu zrobiło mi się żal samego siebie, ale nie dlatego, że przez lata czułem się winny śmierci Emilki i że straciłem młodość na życie w strachu, ale z powodu braku emocji. Kto normalny przeszedłby obojętnie wobec przyznania się do zabicia?

– Halo! Nie odpływaj do tego swojego Lapis. On nie przyjdzie ci na ratunek. Nikt nie przyjdzie. Policja myśli, że to ty zabijasz. Wkrótce zidentyfikują zwłoki znalezione w starej leśniczówce i to też przypiszą tobie. Podobnie jak zabójstwo tej tutaj.

– Jak?

– Co jak?

– Jak ją zabiłeś i dlaczego?

– Jak? To akurat bardzo nudne. Udusiłem. Wierzgała, bo bardzo chciałem ją podotykać...

– Ty zboku jebany!

Ogłuszył mnie niespodziewany cios, z prawego łuku brwiowego poleciała mi krew, drażniła oko na tyle, że widziałem tylko przez jedno.

– Tak, lubię macać i jebać! To prawo natury, lamusie! Emilka była pierwszą kobitą, którą zajebałem. Potem była jakaś młoda kurwa na wycieczce w Krakowie, dojechałem ją w publicznym WC. Przez kolejne lata doszły dwie kolejne. Też nie chciały dać dupy. No i ta stara szmata, którą kwas rozkłada. Ale ty będziesz pierwszym facetem. Wiesz? Nigdy cię nie lubiłem. Dlatego ciebie nie uduszę. Pobawimy się, wiesz?

– Wal się, zboku – wydusiłem, licząc, że sprowokuję go na tyle, by popełnił błąd.

– Spokojnie. Nie jestem homo. Wiesz, tata miał dużo książek, choć żadnej nie przeczytał. Chyba nigdy nie przeczytał książki, może dlatego, że nikt nie wydał książki pod tytułem *Jak pić za darmo i żyć do setki*, taką z pewnością by przeczytał. Ale chuj z nim. Książki znalazł na wysypisku, liczył, że sprzeda je jak płyty winylowe. Niestety nie udało się. Na moje szczęście jednak je zachował. Jedną z książek, które wygrzebałem, był instruktarz masarza. Wiesz, jak dobrze kroić, by mięso odchodziło od kości, jak omijać miejsca trudne do wycięcia i tym podobne. Myślę, że będzie zabawnie, jak będę karmił tobą psy, a kości zmielę w wilku, pewnie nie wiesz, ale tak nazywa się takie urządzenie. Zresztą tego nie musisz już wiedzieć. Będziesz trupem, tak czy siak.

– Romek?

– No co tam?

Podszedł do mnie, mając triumf wypisany na twarzy. Nie przypominał chłopca, którego znałem od lat. Ta twarz była zupełnie inna, wprawdzie rysy wciąż były te same, lecz mimika należała do zupełnie innej osoby – inteligentnej, wyrafinowanej i zepsutej do cna.

– Myślisz, że nikt cię nie rozczyta?

– Przecież od lat nikt mnie nie rozczytał. Wiesz, ile miałem wizyt u specjalistów i psychologów dziecięcych? Myślisz, że łatwo w dzisiejszych czasach utrzymać zasiłek i rentę? No może, jak kombajn urwie ci rękę, ale by dostać hajs na głowę, to trzeba naprawdę być powalonym. Pewnie jestem dobrym aktorem i mógłbym zarobić fortunę w Hollywood, no ale nie znam angielskiego, więc sam rozumiesz. Dobra. Nie chce mi się już gadać, wiesz już, co miałeś wiedzieć. Nie ma sensu uciekać od tego, co i tak się wydarzy.

Odszedł na bok. Kątem oka dostrzegłem, jak rozkłada jakieś narzędzia, popijając tanie piwo. Wcześniej byłem gotów zapłacić za swoje grzechy, ale teraz nie chciałem płacić za coś, czego nie zrobiłem. Nie takiego końca tej historii się spodziewałem. Ta prawda nie mogła pozostać w tych czterech ścianach. Ból głowy i osłabienie nie

ułatwiały mi zadania, przez odchylone ramiona z trudem oddychałem. Przypominałem sobie, że to właśnie z powodu uduszenia zmarł Jezus na krzyżu. Wprawdzie moja pozycja była inna, lecz efekt był mniej więcej taki sam – brakowało mi powietrza, mięśnie nie były dotlenione, a zmęczenie dopełniało bezradności. Jedyne adrenalina mogła pobudzić mnie do działania.

– Wybacz na chwilę. Skończyło mi się piwko i zapomniałem fajek. – Wyszedł z pomieszczenia zupełnie swobodnie, jakby nie miał przed sobą brutalnego zabójstwa.

Próbowałem się podciągnąć, lecz moje ciało ważyło znacznie więcej niż dotychczas. Czułem się jak kotwica spuszczone na dno oceanu. Łańcuchy, na których wisiałem, były napięte, związały mnie na tyle mocno, że brakowało mi pola manewru do oswobodzenia. Kciuki blokowały moje dłonie. Romek nadal nie wracał, czas nie był po mojej stronie. Musiałem podjąć decyzję bez głębszego zastanowienia.

Dłonie były moim narzędziem pracy, bez nich byłbym kompletnie nieproduktywny. Dlatego ruch, na który się zdecydowałem, był aktem desperacji. Prawą ręką docisnąłem kciuk w lewej dłoni. Zrobiłem to z całej siły, choć nie było jej zbyt wiele. Ból już nie był przeszkodą, przywykłem do niego przez ostatnie minuty, ale pozycja, w jakiej się znajdowałem, utrudniała wszelkie ruchy. Trzask łamanej kości zabrzmiał niczym grzmot pośród kompletnej ciszy, starałem się zatrzymać jęk w ustach, być może się udało. Romek nadal nie wracał. Ponownie docisnąłem, tym razem tak, jakby od tego zależało moje życie. Kość ustąpiła, a wraz z nią poczułem luz. Dłoń była prawie wolna, lecz w takiej pozycji całkowite oswobodzenie okazało się prawie niemożliwe.

Z oddali usłyszałem ciężkie kroki, zbliżały się w szybkim tempie.

– Już jestem. Wybacz, ale musiałem się wysrać. Nie chciałem, by potem coś mi przeszkadzało w zabawie. Przepraszam, nie mi, ale nam. Zapomniałem, że obaj się bawimy, prawda?

– Taa, jasne – odpowiedziałem z trudem.

Pot ściekał ze mnie, przez co musiałem wyglądać, jakbym dopiero wziął prysznic. Próba uwolnienia ręki mnie wycieńczyła, adrenalina była parabolą. Raz byłem już po tamtej stronie, by chwilę później ponownie stanąć do walki.

– Wiesz, najpierw pozbawię cię rąk. Nie po to, byś nie walczył. Dostaniesz zastrzyk, który zwiotczy mięśnie. Ale spokojnie, będziesz czuł. – Uśmiechnął się zalotnie, niczym szkolny prymus, który błyszczał przy tablicy.

Starałem się znaleźć coś, co pomoże mi w walce. Lustrowałem pomieszczenie, to, co nadawało się do walki, było zbyt blisko Romka. Narzędzia do rozbioru mięsa, stara siekiera pełna rdzy, oparta o kafelki jednego ze stanowisk. Dwa metry przede mną

znajdowało się wiadro pełne haków do wieszania. Podobnie jak siekiera, swoje lata już miały i raczej nie nadawały się do walki przeciwko świeżo naostrzonym nożom. Romek miał znaczną przewagę, pełnię sił, ostre przedmioty i znajomość terenu, po mojej stronie były jedynie wola walki i chęć, by prawda wyszła z tych murów, a ja razem z nią.

Podszedł do mnie, miał na sobie plastikowy fartuch zasłaniający całą klatkę piersiową i ramiona, oraz gumki.

– No to co? Gotowy?

– Muszę ci coś powiedzieć.

Starąłem się grać na czas, tak, by mój przeciwnik znalazł się po mojej prawej stronie. Patrzyłem prosto w jego oczy, by pokazać, że nie mam w sobie strachu oraz by nie zauważył mojej luźnej dłoni.

– No! Mów, nie mam zamiaru czekać, aż coś wydukasz.

– Popeliłeś błąd.

– Niby, kurwa, jaki?

– Taki.

Kopnąłem go z całych sił, jednocześnie wyciągając dłoń. Moje ciało spadło kilka centymetrów, ból przeszył mnie niczym piorun. Wisiałem na jednej dłoni.

Romek upadł na blat. Z trudem zorientował się w swoim nowym położeniu. Mój atak wytrącił go z równowagi. Teraz nasze szanse rozkładały się w miarę po równo, wciąż jednak przewaga była po jego stronie. Odruchowo sięgnął po siekiere, lecz gumki ślizgały się na śliskich płytkach.

Wykorzystałem moment bezradności przeciwnika, podniosłem się resztkami sił, moja prawda dłoń wyswobodziła się z łańcucha. Upadłem na blat. Twarda powierzchnia sprawiła, że poczułem się, jakbym upadł z wysokości kilku pięter. Nie było jednak czasu na rozczulanie się nad sobą, bo mój przeciwnik zdążył podnieść się z kolan.

Stał tuż nade mną, siekiere miał uniesioną nad głową. Wszystko działo się zbyt szybko, nie wiedziałem, czy pierwszy rzuciłem w niego leżącym na blacie pękiem kluczy, czy on zrobił zamach, wyprzedzając mój ruch. Niezależnie od kolejności uderzyłem go wprost między oczy. Cios był na tyle silny, że Romek stracił równowagę, lecz on z kolei z pełnym impetem trafił mnie tuż pod kolanem.

Noga odpadła niczym przełamana na pół zapalka, ból rozerwał moje ciało. Swoim wrzaskiem obudziłem cały cmentarz. W amoku nie kontrolowałem położenia Romka, spojrzałem jedynie na nogę, krwawa wyrwa pozbawiona łydki przypominała kadr wycięty z serii filmów Piła. Czułem, jakby ktoś oblał mnie rozżarzone metal, świat wirował, a serce niemal eksplodowało.

Mój przeciwnik się podniósł, czułem, że zbliża się pełen wściekłości, a zabawa dopiero co się rozpoczęła. Starłem się podciągnąć na koniec blatu, lecz śliskie płytki i mokre dłonie uniemożliwiały mi ruch, czułem się, jakbym ugrzązł na samym środku bagna i zapadł się, niezależnie od tego, co próbowałem zrobić.

– Już, kurwa, po tobie. Zajebię cię! Będziesz, kurwo, zdychał długo i boleśnie. Masz na to moje słowo.

Przyjrzałem mu się. Na twarzy miał krwawego siniaka, oko zabarwiło się na czerwono, nos odchylony był w lewo, a górna warga pękła niczym dojrzały pomidor.

Cisnął siekierę na bok. Widziałem, jak zbliża się do mnie, mając w prawej dłoni strzykawkę. Odrzucił moją uciętą nogę do wanny, w której leżała pani Wojtaszek, kwas chlusnął wysoko lecz ominął nas obu. Romek podszedł do mnie i docisnął moją głowę całym ciężarem swojego ciała. Skierował igłę na tętnicę szyjną, z jego ust wydobywał się stek bluźnierstw. Czułem, jak płonie z gniewu, jak zło, które nosił od lat, zbiera swe żniwo. Odruchowo uderzyłem go w ucho, podziałało. Cios był na tyle silny, że Romek stracił równowagę, prawdopodobnie naruszyłem jego błędnik. Tym zyskałem na czasie.

Walczył z defektem niczym zwierzę dopadnięte przez watahę wrogów. Jego nogi plątały się, a wokół oczu pojawiły się krwawe plamy. Próbował wrócić do mnie, lecz na każdy krok do przodu odpowiadały dwa wstecz mające na celu utrzymanie równowagi. Być może zapomniał, że tuż za nim jest wanna z kwasem i zwłokami kobiety; być może pokonałem go, wprowadzając w sytuację, nad którą nie miał już kontroli. Nieważne jak, ważne, że wybroniłem się z rąk kata.

Bok wanny podciął mu nogi, Romek momentalnie poleciał i upadł na plecy, jakby kładł się do kąpieli po trudnym dniu. Kolejne chluśnięcie kwasu także mnie ominęło. Mężczyzna próbował się wydostać, lecz i jemu śliska powierzchnia nie pomagała. Trwało to być może dwie minuty, wrzaski, jęki, odgłosy towarzyszące umieraniu, które można było usłyszeć w horrorach, dopiero w rzeczywistości miały prawdziwą formę.

Po wszystkim nastąpiła cisza, jedynie delikatne syczenie świadczące o rozkładzie ciała umilało mi czas. Smród rozkładających się zwłok przestał mi przeszkadzać, ból zajął całą moją uwagę. Noga krwawiła jakby ktoś odkręcił kran, wiedziałem, że wykrwawię się w przeciągu kilku minut. Dopadła mnie ciemność, była błoga i ciepła, wprowadzała do innego świata. Być może w nim ją spotkam.

Wtedy

Ogarnięcie bajzlu po obchodach rocznicy potrwało całe popołudnie. Wróciłem wykończony, z obolałymi rękoma i przeciążonym kręgosłupem. Wraz z kolegami żartowaliśmy, że to forma siłowni i dzięki temu będziemy mieli lepsze rwanie. Niestety, może i rwanie było, ale uroda nie była łaskawa dla dziewcząt w naszym wieku.

Wychowałem się w wierzącej rodzinie. Sam również byłem wierzący, uważałem, że Bóg widzi wszystkie czyny, wie, co tak naprawdę ludzie chowają w sercach. Wierzyłem również w magiczną moc modlitwy. Być może dlatego ukląknęłem w swoim pokoju, trzymając w dłoni różaniec od babci. Wiedziałem, jak odmawia się całą modlitwę, lecz zawsze wydawała mi się mechaniczna, rytualna i pozbawiona głębi. Tym razem modliłem się w konkretnej intencji, pragnąłem, by Emilka była wolna. Aby żaden ból już jej nie spotkał, by zło, które ją dosięgło, przeminęło i jeśli nie żyła, to by znajdowała się w królestwie niebieskim.

Prosiłem Matkę Boską o miłosierdzie, dla niej i dla mnie. By wstawiła się do Boga i moje złorzeczenie, które doprowadziło do tragedii, było wybaczone. Bałem się piekła, bałem się, że ktokolwiek z mojego otoczenia na wieki spocznie w ciemności. Kolejne paciorki różańca przemykały przez moje palce, a wraz z nimi kolejny żal za grzechy.

Modliłem się kompulsywnie, wyrzucałem z ust słowa *Zdrowaś Mario*, kolejne torsje mroku paliły mnie od wewnątrz. Ciemność otuliła mnie niczym ciepły koc. Nawet nie zauważyłem, jak noc stała się faktem, a za oknem deszcz natrętnie dobijał się do okien. Spojrzałem ku górze, drewniany krzyż, a na nim Zbawiciel patrzący na mnie. Od razu potępiłem swoją pyszność. Nie, nie byłem wyjątkowy, byłem tylko grzesznikiem. Jednym z wielu grzeszników na tej ziemi.

– Boże, wybacz mi – wyszeptałem, by nikt nie usłyszał.

Zastygłem na długie minuty, kolana piekły mnie niemiłosiernie, ale chciałem kary, bólu lub pokuty. Czegokolwiek, co sprawiłoby, że zrzuciłbym ten ciężar. Nadal byłem dzieckiem noszącym ogromny ciężar, chowającym prawdę przed całym światem. W tamtym momencie trafiłem do czyśćca, przez lata trwałem w tym miejscu. Piekło czy raj – to nie były konkretne miejsca, to był jedynie stan świadomości. Brzmiało to jak banał, lecz to właśnie największe banały mówiły najważniejsze prawdy o świecie.

Podszedłem do okna, deszcz padał, lecz spokojnie. Cała złość, którą wyrażała natura, przeszła gdzieś obok. Teraz delikatny lament padał z nieba, znacząc wyniszczonej ziemię. Wiedziałem, co zastanę za oknem. Dziwną postać skrytą pomiędzy drzewami. Być może był to Lapis, być może inny dziwak. Zło z lasu miało przecież wiele imion.

Teraz

Jasne światło wdzierało się do moich oczu, było natarczywe niczym akwizytor na przystanku. Być może taki był cel oświetlenia na sali – by pacjenci wybudzali się od mocnego światła żarówek. Na mnie podziałało. Potrzebowałem chwili, by obraz stał się ostry, a plamy nabrały kształtów. Lekko żółte ściany, zapach środków do dezynfekcji i dźwięki rozmów. Od płaczu po śmiech, mieszanka życia w jednym budynku, tym zawsze były dla mnie szpitale.

Rozejrzałem się dookoła, przy moim łóżku siedział tata. Zmęczona twarz, worki pod oczami, rozrzedzone włosy. Wyglądał na starszego o dekadę, lecz usta mówiły co innego. Uśmiechnął się subtelnie, dotykając mojej ręki. Obaj czekaliśmy, aż ten drugi się odezwie, chyba czuliśmy, że słowa nie oddadzą całego bagażu emocjonalnego, lecz musiały paść.

– Cześć, synku. – Jego głos drżał, a oczy zabłyस्zczały od łez.

Spodziewałem się, że nie będzie w stanie wydusić niczego więcej. On jednak wziął oddech i zapanował nad mową.

– Bałem się o ciebie.

– Co ja tu robię? – Mój głos brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle. Usta miałem suche, język przypominał papier ścierny w dodatku odmawiał posłuszeństwa.

– Nic nie pamiętasz?

– Pamiętam wszystko. Ale nie wiem, jak się tu znalazłem. Myślałem, że się wykrwawię.

– Miałeś ze sobą telefon. Policja was namierzyła, to znaczy region, gdzie możecie być. To nie działa jak w filmach, że padnie konkretna lokalizacja. Wrzaski były jednak na tyle głośne, że udało się do was dotrzeć. Gdy weszliśmy do środka, on i Ela już nie żyli. Ty straciłeś przytomność, byłeś bliski wykrwawienia się. Cała wieś była gotowa oddać dla ciebie krew, niemal z każdego gospodarstwa ktoś oddał. Pielęgniarki narzekały, że nie da się przejść przez korytarz.

– Tato...

– Tak? Chcesz mi coś powiedzieć? – Zabrzmiało to jak oczywistość, ale w tamtym momencie nic nie było oczywiste.

– Wiesz, że to nie ja.

– Wiem. Przeszukali dom Grzelaków, znaleźli rzeczy, które należały do zaginionych kobiet, także do Emilki. Widocznie Romek brał pamiątki po swoich zbrodniach.

– Czyli wiesz, że to on?

– Że to on zabił Emilkę?

Pokiwałem głową, język zastygł mi w ustach.

– Tak wiem. Sprawa stała się oczywista, nie wiemy, dlaczego zabijał. Stary Grzelak przyznał się, że Romek nie był upośledzony, a jedynie udawał, ponieważ sami mu kazali. Wiesz, świadczenia socjalne to zawsze jakiś grosz.

– Muszę ci powiedzieć.

– Co chcesz powiedzieć?

Sprawa miała wrażenie wszechwiedzącego. Jego brwi i mimika przypominały mi tego tatę, który był pewnym dyrektorem mającym odpowiedź na każde, nawet najdziwniejsze pytanie.

– Lapis.

– Co?

– Lapis. On...

– Kto to jest Lapis?

– To człowiek z lasu. On...

– Nie, Szczepan. Nie powiedzieliśmy ci czegoś, choć powinniśmy byli. – Odwrócił głowę, jakby szukał inspiracji do wypowiedzenia dalszych słów. – Powinniśmy byli z mamą ci powiedzieć lata temu, kiedy jeszcze żyła. Ale nie cofniemy tego, choć bardzo bym chciał.

Wpatrywałem się w niego, moje oczy domagały się wyjaśnienia, starałem się spojrzaniem wydobyć to, czego nie byłem w stanie wypowiedzieć.

– Było podejrzenie, że masz... że masz schizofrenię. Tak jak dziadek.

– Dziadek miał schizofrenię? – wyszeptałem z wielkim trudem.

– Tak. Wiktor i Marek też o tym wiedzą. Poinformowałem ich, bo chciałem, by sami podjęli decyzję. Czy zbadać swój kod genetyczny i mieć pewność, czy żyć w nieświadomości. Obaj zdecydowali się, by poznać prawdę. Na szczęście okazało się, że to piętno ich nie dopadło. Ale w twoim przypadku... Byłeś dzieckiem, to było trudne dla dorosłych już chłopaków, a co dopiero dla dziecka... Tym bardziej po tym, co się stało po zniknięciu Emilki. Nie mieliśmy serca, by sprowadzać cię do kolejnego koszmaru. A potem dorastałeś normalnie, myślałem, że to cię nie dosięgło.

– Jak to?

– Jest tu twoja Ania. Mówiła, że się dziwnie zachowywałaś przez pewien czas. Dlatego pozwoliła ci do nas przyjechać. Wierzyła, że poznasz prawdę i po powrocie

podejmiesz leczenie.

– Ja nie jestem chory. Dziadek też nie był.

– Mylisz się. Nie pamiętasz, bo nie możesz pamiętać. Nocami chodził po lesie, twierdził, że gdzieś tam zakopany jest wóz pełen złota, a niemieccy żołnierze powiedzieli mu to w zamian za wolność. Dziadek brał leki, bywało po nich różnie. Raz miał dziwne akcje, a potem miesiącami nie było żadnych dziwnych zachowań.

– Ja... ja... – Staralem się wydobyć słowa sprzeciwu.

Mózg podpowiadał mi, że to wszystko jest koszmarem, z którego się nie wybudziłem, albo piekłem, do którego trafiłem.

– Ania mówiła, o dziwnych rzeczach. Podobno rysowałeś dla wydawnictwa, które nie istnieje, i że miałeś kolegę, którego nikt nie poznał, a każdy słyszał o nim jedynie z twoich opowieści.

– Nie...

– Nie twierdzą, że twoje życie i kariera są wymysłem choroby. Ale musimy cię zbadać.

– Lapis...

– Szczepan, lapis po łacinie oznacza kamień. Pewnie usłyszałeś to na lekcji biologii i bujna wyobraźnia dodała resztę.

– Tato...

– Szczepan, nikt taki nie istnieje. Poza tym. Ktoś chce cię zobaczyć.

Wyszedł na korytarz.

Łzy samoistnie pojawiły się w moich oczach – jakbym miał milion powodów do płaczu, choć wszystkie okazały się kłamstwem, które sam stworzyłem.

W drzwiach pojawiła się Ania, miała oczy czerwone od płaczu i wyblakłą twarz. Podeszła do mnie, jakbym był tykającą bombą. Czekałem, aż pierwsza przemówi, nie chciałem, by to okazało się kolejnym wymysłem mojej wyobraźni.

– Cześć, kochanie. – Ten głos był ciepły i zmysłowy, nawet gdy przepełniony był smutkiem.

– Ania?

– Tak, to ja.

Jej dłoń gładziła moje czoło. Była ciepła i delikatna – taka, jaką pamiętałem. Musnęła ranę nad łukiem brwiowym, czule jak matka, która starała się oswoić dziecko z konsekwencjami nieudanej przygody.

– Co tu robisz?

Język przykleił się do podniebienia niczym martwy kawałek mięsa. Dostałem szklanekę wody; choć upiłem zaledwie kilka drobnych łyków, to poczułem, że w moich

ustach na nowo jest życie.

– Twój tata zadzwonił. Powiedział o wszystkim.

– Przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać. Przeciwnie, dzięki tobie morderca przepadł.

– Ale jej nie uratowałem.

– To nie twoja wina. Walczyłeś, by ją uratować. Twój brat mówił, że szukałeś jej na własną rękę. Zrobiłeś bardzo dużo, nie możesz się obwiniać.

Ania się myliła, nie uratowałem Emilki, to ona zginęła przez moje rozchwiane emocje. Nie było klątwy, która zamieniła ją w kamień, ani groźnego starca, który ją porwał. Zginęła przez niedojrzałość, moją niedojrzałość.

Czasem człowiekowi wydaje się, że świat kręci się wokół niego, że ludzie, którzy są w jego życiu, powinni pełnić role drugorzędne, niektórym przypisuje statystowanie, jakby na scenie było miejsce tylko dla jednej osoby. Ale świat jest wspólną sceną, na której ścierają się miliony scenariuszy.

W moim Emilka była klasycznym przedstawicielem ofiary, niewinnej, którą zło tego świata złapało w swe macki. Ale to zło jest w człowieku i to ludzie rozsyłają je po świecie.

– Kochanie, w porządku?

– Tak.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Powiedz.

Obawiałem się, że to nie koniec koszmaru i że zaraz wrócę do krainy mroku.

– Jestem w ciąży.

– Proszę?

– Szczepan, jestem w ciąży.

– To... to cudownie.

Nie skłamałem. Choć to nie do końca była prawda.

Później

Tata upierał się, byśmy zamiast do Krakowa udali się ze szpitala do Kamieńca. Tłumaczył to chęcią zaciśnięcia więzów rodzinnych, ale tak naprawdę chciał mieć na mnie oko. Jeszcze w szpitalu odwiedził mnie psychiatra. Przeprowadził, szereg testów i wywiadów, po których wydał prosty osąd.

– Ma pan schizofrenię paranoidalną.

Przez kolejne dni zamieniłem się w królika doświadczalnego, przyjmowałem wszystko od Zolafrenu po Rispolept, dni upływały szybko, za oknami krajobraz zmieniał się wraz z kolejną kartką kalendarza. Zima ustąpiła miejsca wiośnie; dopiero gdy zobaczyłem kwitnące krzewy, zrozumiałem, ile czasu spędziłem w szpitalnych murach.

Tata oraz Wiktor odwiedzali mnie regularnie, niemal codziennie przemierzali zatłoczone korytarze. Przez te tygodnie wpasowali się w scenerię, nawet przeszli na ty z personelem. Podobnie jak Ania, która zrezygnowała z pracy. Stałem się jej nowym etatem, osobą, którą zajmowała się niemal cały dzień. Raz po raz żartowała, że to przygotowanie do opieki nad dzieckiem i w zasadzie wyjdzie jej to na dobre, ale w gruncie rzeczy wiedziałem, że okradam ją z życia, że tak naprawdę jej młodość ze mną będzie oznaczać ciągłe ograniczenia.

– Kocham cię i będę przy tobie – powtarzała wielokrotnie, lecz wiedziałem, że czas weryfikuje wypowiedziane deklaracje.

Jedyną osobą, która mnie nie odwiedziła, był Marek. Poza braterską więzią łączyło nas coś jeszcze. Od wydarzeń w lesie byliśmy połączeni historią pani Wojtaszek. Jej zniknięcie przypisano Romkowi, niemal z automatu uznano, że skorą ją zabił, to jest odpowiedzialny również za samo jej uprowadzenie. Jedyne nasza dwójka znała niewygodną prawdę. Czekałem, aż Marek pojawi się w drzwiach, aż na ekranie telefonu wyświetli się jego imię. Na darmo.

Droga do Kamieńca nie przypominała tej, którą pokonałem ostatnio. Wszystko wyglądało znacznie barwniej, być może to zasługa wiosennej aury lub solidnej dawki medykamentów. Ale wmawiałem sobie, że uwolniony od Lapisa otworzyłem oczy na rzeczywistość dookoła. To, co jawiło się jako szarość, zyskało milion odcieni, głębię i kształt zmienny zależnie od kąta padania światła. Obok mnie siedziała Ania, trzymała mnie za dłoń przez całą drogę. Podobno ta wizyta miała mnie skonfrontować

z rzeczywistością, która będzie stawiać przede mną duże oczekiwania. Miałem na nowo nauczyć się żyć. Jako schizofrenik, człowiek bez nogi i przyszły ojciec – mój świat zmienił się nie do poznania. W przeciwieństwie do tego, co zastałem w Kamieńcu.

Agnieszka powitała nas, jakbyśmy powrócili z drugiego końca świata. Nowe obowiązki sołtysa wsi spowodowały, że rzadko mnie odwiedzała, za co notorycznie przepraszała, śląc dziesiątki SMS-ów. Dzieci obskoczyły nas niczym chmara owadów, przytulały mnie i pytały, jak mogą pomóc, tata wy dostał z bagażnika jeden z najdroższy wózków, jakie znalazł w sieci. Podobno był stosunkowo lekki na tle innych, miał wspomaganie, dobre opony, wygodne siedzenie i oparcie, brakowało tylko autopilota i funkcji spieniania mleka. W każdym razie tak żartowałem dla rozładowania atmosfery. Wiktor wziął wolne, by służyć pomocą w razie, gdybym miał gorszy moment. Jedynie Marka brakowało, podobno swoją nieobecność tłumaczył kwestiami zawodowymi i zapewnił, że zjawi się na wieczór. Nie wierzyłem. Siedząc w salonie i przysłuchując się wesołym rozmowom, co chwilę spoglądałem za okno, licząc, że dostrzegę jego samochód.

Gdy niemal straciłem nadzieję, dźwięk silnika przemknął niczym komar. Chwilę później wysiadł z auta, trzymając kwiaty dla Ani i wielkie pudło.

– Marek, co ty? Nowy telewizor kupiłeś? – Tata starał się podejść brata starą metodą.

– Nie. To dla Szczepana. A raczej dla jego i Ani potomka.

– Dziękuję bardzo. Prawda? – Spojrzała na mnie. Liczyła na gorliwe podziękowania i serię tekstów negujących potrzebę prezentu.

– Dziękuję – powiedziałem zamiast tego.

Zmęczyły mnie rozmowy przy kawie, po raz pierwszy siedziałem na innym wózku niż szpitalny, w dodatku siedzisko nie było jeszcze wysiedziane, przez co paliło mnie w pośladki. Kolejne anegdoty i wspominki irytowały niczym mucha krąząca nad głową przed zaśnięciem. Wyczekiwałem nocy, zatopienia się w łóżku i zaśnięcia. Leki, które przepisał mi lekarz, miały wiele wad – spadło mi libido, miałem gorszy apetyt oraz ciągłe pragnienie. Podobno z czasem wszystko się unormuje, ale najgorsze było pewne wyobcowanie, czułem się jak kosmita. Uczucie inności nie było czymś nowym w moim życiu. Odkąd trafiłem na Lapisa, to miałem na sobie łątkę dziwaka, którą sam sobie przykleiłem. Teraz byłem kosmitą z udowodnioną wadą genetyczną, z piętnem szaleńca, który z defektem musi iść przez całe życie. Oficjalnie stałem się alienem.

Pomimo wielu trudności, które dopadły mnie z zaskoczenia, było kilka plusów. Leki sprawiały, że sypiałem jak niemowlę, koszmary stały się przeszłością, podobnie jak dziwne rzeczy, które czasem widywałem.

Jedno nadal pozostawało zagadką. Skoro Lapis był wytworem mojej choroby, to jak trafiały do mnie te kamienie? Czy to również skutek wypaczonej osobowości?

Nigdy się tego nie dowiem.

Leżałem w łóżku obok niej. Tuż pod nami znajdowało się pudełko, a w nim one. Ostre, twarde i zimne. Takie same, jak w chwili, gdy je odnajdywałem. Czas ich nie dotykał, omijał niczym poluzowany szczebel drabiny.

Nazajutrz przebudziłem się jako pierwszy. Niestety to również był efekt działania leków. Budziłem się po szóstej, Ania pomagała mi dostać się na wózek. Obiecowałem jej, że nie będę kombinował z zejściem na dół. Ale na górze nie miałem za bardzo co robić.

Podjechałem pod gabinet taty, czułem, że łamię niepisaną zasadę, choć wiedziałem, że za drzwiami nie znajduje się nic, co trzeba by było ukrywać. Mimo wszystko czułem lekki strach, chwilę później zatrzymałem się przed biurkiem ojca. Było pełne naszych zdjęć, na jednym z nich mama uśmiecha się, jakby złapała Pana Boga za nogi. Na innym mały Wiktor płakał, siedząc na grzbiecie osła.

– Nie możesz spać?

Odwrociłem się, choć wiedziałem, kto do mnie przemówił. Marek wszedł bezszelestnie, prawdopodobnie noc spędził w rodzinnym domu. Być może czekał na ten moment podobnie jak ja. Nie wiedziałem tego, teraz miałem wreszcie szansę na rozliczenie.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Lubisz tak walić prosto z mostu?

– Czekałem tygodniami.

– Wiem i przepraszam, że cię nie odwiedzałem, a nawet nie zadzwoniłem. To bardzo żałosne z mojej strony. Ale szpital to nie miejsce na taką rozmowę. Przez telefon jeszcze gorzej byłoby rozmawiać.

– Nie chcę twoich tłumaczeń.

– Ale ja chcę się wytłumaczyć. Jesteśmy braćmi i nie było dnia, bym nie pragnął wyrwać się wcześniej z pracy i posiedzieć przy tobie. Gdybym nie odszedł wtedy w lesie, to...

– To mogłeś zginąć, mogliśmy obaj zginąć, być może jeszcze ktoś inny padłby ofiarą Romka. Tego się nie dowiemy, po co gdybać.

– Ale to ja powinienem teraz być na twoim miejscu.

– Nie jesteś. I nie mam ci tego za złe.

– Dziękuję. – Zwiesił głowę.

Wyglądał jak zdjęty z krzyża, z naszej dwójki to on był prawdziwym inwalidą – emocjonalnym.

– Mam ci za złe jedynie to, że nie wzięłeś na siebie prawdy o Wojtaszkowej.

– To by niczego nie zmieniło, Szczepan.

– Zmieniłoby. Bylibyśmy wolni.

– Doceniam, że mnie nie wsypałeś. W końcu to ja narobiłem syfu, a ty za to zapłaciłeś...

– Przestań. Nie chcę twojego uzalania się.

On jednak nie potrafił przestać. Łzy pojawiły się w jego oczach, przypominał bezradnego dzieciaka. Choć był najstarszy z naszej trójki, to jednak najśłabszy. Jego solidna postura nijak miała się tego, co się za nią chowało.

– Wyjedź.

– Proszę?

– Wyjedź. Nie możesz tak po prostu sobie żyć tutaj. Wszystko ma swoją cenę. Myślę, że ty również powinieneś zapłacić swoją.

– Ale, Szczepan...

– Nie chcę twoich tłumaczeń. Tata ma Wiktora i Agnieszkę, nie potrzebuje syna, który i tak żyje na uboczu. Postaram się wypełnić twój brak. Masz fach w rękę, na pewno odnajdziesz swoje miejsce z daleka od Kamieńca.

– Wiem. Po obiedzie porozmawiam z tatą. Powiem mu, że wyjeżdżam za granicę.

– Powodzenia. Teraz zostaw mnie samego.

Nie odpowiedział, cisza była naszym pożegnaniem.

Po południu nie tylko Marek żegnał się z Kamieńcem. Dla mnie jednak wyjazd oznaczał jedynie chwilową rozłąkę. Umówiliśmy się na wspólne święta wielkanocne, które się zbliżały. W międzyczasie tata miał wpaść do nas na kawę. Twierdził, że chce spędzić z przyszłą synową nieco więcej czasu. Ale w gruncie rzeczy chyba wszyscy wiedzieliśmy, że odwiedzi przede wszystkim schizofrenika.

Do Krakowa jechaliśmy w miłej atmosferze, The Fugess umilało nam kolejne kilometry, a dwa termosy z herbatą lipową sprawiły, że przydrożne parkingi były przez nas często odwiedzane. Zbliżając się do domu, czułem niepokój. Jakby cień padał coraz bardziej, zalewając mnie do cna. Mijając Bochnię, z trudem utrzymywałem pozory normalności, przez lata odgrywałem normalność, lecz teraz była ona jeszcze trudniejsza. Bo już za parę miesięcy pojawi się kolejna osoba, przed którą będę zakładał maski.

Nasze mieszkanie się nie zmieniło, Ania nie przesunęła nawet wazonu choćby o centymetr. Jedyne zwiędłe kwiatki i zalegający na półkach kurz świadczyły o mojej

długiej nieobecności. Wkrótce oboje będziemy musieli przywyknąć do nowych porządków. Mój wózek z trudem mieścił się pomiędzy kolejnymi meblami, ubikacja nie miała udogodnień dla inwalidy. Nie zamierzałem jednak narzekać. Byliśmy razem, wyszedłem ze świata, w którym śmierć była jedyną drogą.

Ania poszła do kuchni, by przygotować podwieczorek, ja nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Gdziekolwiek chciałem podjechać, wózek uderzał o meble lub ściany. Czuje się jak chomik w za ciasnym akwarium. Wjechałem do naszej sypialni, wiosenny zachód słońca był bogaty w piękne barwy. Sepia, którą tylko niebiosy mogły uraczyć. Odurzałem się, pochłaniałem odcień zbyt piękny, by człowiek go odwzorował. Czasem największe piękno było tuż obok, wystarczyło nie odwracać oczu. Dlatego podjechałem do łóżka. Było staranie zaścielone, nawet moja mama byłaby pod wrażeniem. Odłożyłem poduszkę na bok, nie wiedziałem po co. Po prostu czułem, że to muszę zrobić. Kamień był średniej wielkości, zmieścił się w mojej dłoni. Czysty, jakby ktoś umył go z ziemi, kształtem przypominał ziemniaka, barwą rysik ołówka. Kolejny do mojej kolekcji. Koszmar jednak był prawdą.

EPILOG



Agnieszka miała pełne przyzwolenie, mogła wyrzucić, co tylko chciała. Dzieciaki rosły, a kolejne piętro byłoby udogodnieniem dla wszystkich. Ze strychu znikwały następne kartony, wraz z Wiktorem przeglądała je, rzucając okiem jedynie na górną część. To, co znajdowało się pod stertą rupieci, było skazane na taki los jak rzeczy leżące na wierzchu. Do wyrzucenia przeznaczili lwią część staroci. Agnieszka uznała, że skoro poddasze ma stać się powierzchnią mieszkalną, to lepiej będzie, jak raz, a porządnie pozbędą się śladów przeszłości, o które nikt się nie dopominał.

Szczepanowi było to na rękę, podczas świątecznej wizyty przeglądał kilka pudeł, zrobił to głównie dla świętego spokoju. Twierdził, że to, co istotne, ma w swoim dawnym pokoju. Marek odpisał jej, że może wyrzucić, co jej się podoba, również Wiktor i teść uznali, że rządy w tym domu sprawuje Agnieszka, a wszyscy mieszkańcy należą do społeczności funkcjonującej na podstawie demokracji przedstawicielskiej. Skoro oddali swoją władzę na rzecz zarządcy, to dlaczego nagle mieliby mieć coś do powiedzenia? Ona zrobiła, jak chciała, wynajęta ciężarówka zapełniała się błyskawicznie. Kartonowe pudełka trafiały w kolejne wolne miejsca. Były jak klocki w tetris, choć bez punktów bonusowych za ułożenie linii.

– Uf – stwierdziła, gdy ostatnie pudło zostało umieszczone na pace auta.

Z trudem, ale jednak cała niechciana i nikomu niepotrzebna przeszłość została wysłana na wysypisko.

Kierowca ciężarówki dostał stówkę premii w zamian za poświęcenie swojego czasu w sobotnie przedpołudnie. Oprócz tego postanowił, że sam odbierze dodatkową premię. Miał już doświadczenie z rzeczami, które z teorii miały nie być warte uwagi, a w praktyce okazywały się warte kilka stów. Na wiosnę wywoził graty po zmarłej staruszce. Według wnuków denatki miały to być meble w opłakanym stanie, którymi nawet bezdomny by pogardził. Kierowca Mietek znalazł pośród wyrzuconych rzeczy skórzany abażur, krzesło z XIX wieku i kilka innych ciekawostek. Całość sprzedał na pchlim targu za ponad dwa tysiące. Wystarczyło poświęcić kilka godzin na grzebanie i kolejne godziny na placu targowym, by dwa koła trafiły do kieszeni. Praca marzeń.

Gdy wjechał na śmietnisko, powitał go Andrzej – stary dozorca, który wyjątkowo nie miał problemu, by ustać przez dłuższą chwilę. Zwykle po dwunastej już czuć było od niego tanie piwo, po siedemnastej bełkotał, jakby dopiero uczył się mówić, a po dwudziestej nadawał się tylko do oddychania. Telewizor ustawiony na Polonię1, tanie pierogi z Biedronki i chleb, który często załatywał pleśnią. Było to naturalne środowisko jego dyżurki, której nigdy nie opuszczał. Nawet zakupy robiła mu stara

Ewcia, w zamian za to kopulował z nią od czasu do czasu, co i tak było formą masturbacji, bo w głowie miewał wówczas aktorki z tanich filmów na Tele5.

Tego popołudnia był jednak trzeźwy, twierdził, że nie może pić, bo w poniedziałek ma wizytację firmy i musi wyglądać jak człowiek. Zamienili kilka zdań i Mietek udał się w dyskretne miejsce. Wysypywał pudło za pudłem, ubrania, zabawki, którymi już nikt by się nie bawił, książki zeżarte przez mole – nic, co nadawałoby się do sprzedaży. Kolejne pudła lądowały na stercie śmieci, wszystkie zawierały rzeczy, które co najwyżej mogły trafić do jakiegoś ośrodka dla ubogich. Na handel nie nadawał się choćby jeden bibelot!

To niebywałe – stwierdził w duchu.

Kilkakrotnie już handlował rzeczami, których ktoś się pozbył. Zawsze zarabiał dodatkowe stówki. Minimum trzysta, ale jednak. A teraz? Szykował się smutny powrót do domu, upał nie odpuszczał, smród odbierał ochotę do igraszek, a dodatkowa kasa nie trafiła do kieszeni.

– Niech to szlag! – wrzasnął wraz z przetrzepaniem ostatniego kubła.

Przetarł spocone czoło, czuł się, jakby pot wypływał z każdej komórki jego ciała i miał wypocić cały Ocean Spokojny. Gdy zwiesił głowę, by odpocząć od silnego słońca, coś przykuło jego uwagę. Mała, drewniana skrzyneczka. Wziął ją do ręki, była lekka, przypominała przenośny sejf, lecz nie miała zabezpieczenia. Na górze widniał napis: „Śniadanie Szczepana”. Pewnie dzieciak nosił w tym żarcie do szkoły, ale może potem coś schował w środku.

Kto wie, może jakieś dolary od cioci z Ameryki? – pomyślał życzeniowo.

Uchylił wieko, spodziewał się, że ze środka wyjdą jakieś robale, które żywiły się starą, zapomnianą kanapką. Nic takiego nie miało miejsca, choć w środku znajdował się wyschnięty worek. Kształt znaleźziska był znajomy. Mietek mógłby przysiąc, że już wielokrotnie widywał taką bryłę. Po chwili doznał olśnienia. To serce! Wrzasnął, odrzucając narząd z powrotem do szkatułki. Gdy zorientował się, że czerwono-czarne plamy nie są efektem odbicia szkolnej pieczętki, a wynikiem cudzej śmierci, poczuł przerażenie. Coś jednak nadal nęciło jego ciekawość. Pod spodem znajdował się dowód osobisty. Kobieta na zdjęciu była atrakcyjna, miała góra czterdziestkę na karku, piękne włosy i wyraziste kości policzkowe.

Musiała być niezłą dupą – pomyślał.

Na dowodzie widniały imię i nazwisko – Beata Klemens.

Klemens? Tak jak ta rodzinka, od której odebrałem graty? – Ta myśl krążyła wokół niego, gdy pędził na złamanie karku w stronę najbliższego komisariatu.

KONIEC